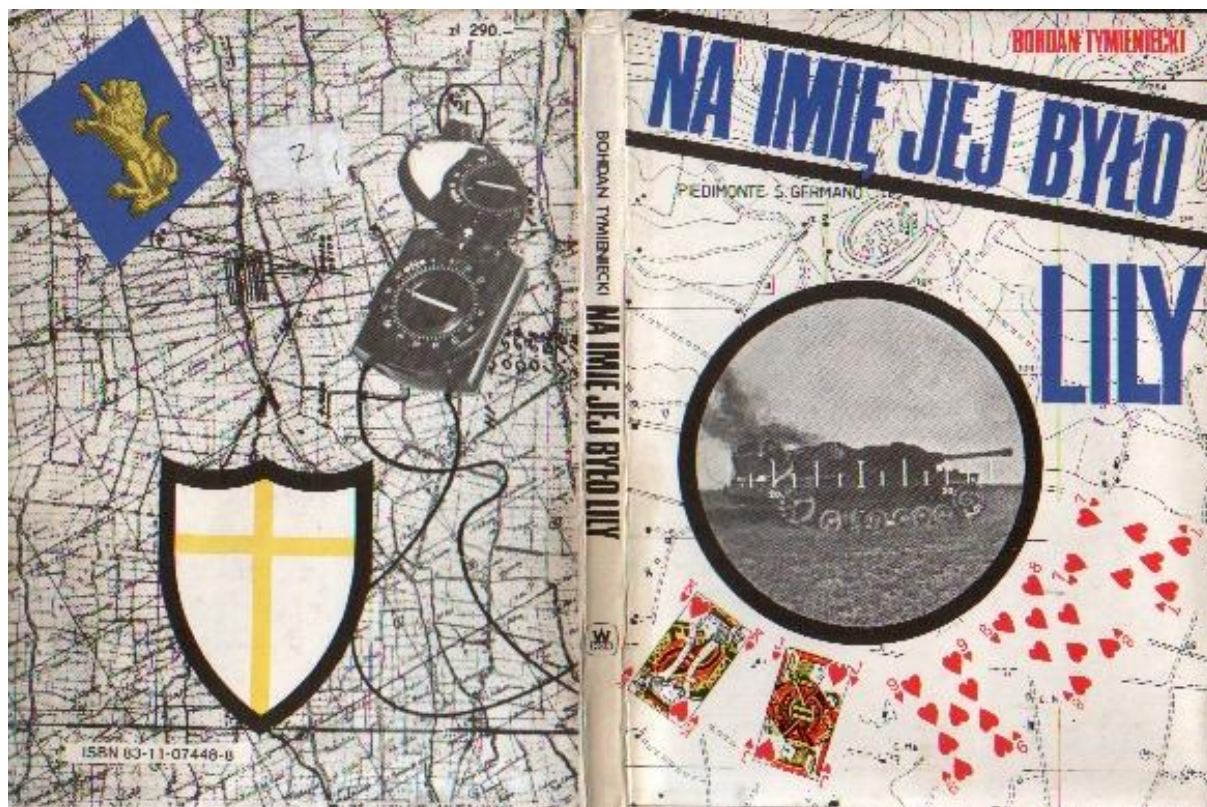


Na imię jej było Lily

Bohdan Tymieniecki



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Wprowadzenie

Już z pierwszych kartek fragmentów wspomnień majora Tymienieckiego wyłania się obraz przeżyć tych tysięcy polskich żołnierzy, którzy me zrażeni druzgocącą „klęską września” ruszyli wszystkimi możliwymi drogami świata, by znowu porwać za broń w obronie swojej, tak drogiej im Ojczyzny.

Odżywają nadzieje. We Francji generał Sikorski tworzy Armię Polską. W Syrii generał Kopański formuje Brygadę Karpacką. Zewsząd nadciągają ochotnicy.

I znowu zawód klęski. Runęła Francja, załamali się ludzie. Resztki Armii Polskiej przedostają się do Wielkiej Brytanii. Brygada Karpacka przebija się do Palestyny.

Zaczynamy wszystko od początku.

Bliski Wschód, Libia, Pustynia Zachodnia, Delta Nilu, rejon Kanału Sueskiego, rozległe piaski pustyni i wybrzeża morskie, rojne miasta arabskie - cały ten obszar spalony słońcem i owiany czarem legendy i tysięcy historii stał się w latach 1940-1943 terenem i widowiskiem zaciętych walk.

Wojska Imperium Brytyjskiego, z początku nieliczne i słabo uzbrojone, broniły najniezbędniejszej linii komunikacyjnej przez Suez. Łączyła ona bowiem metropolię brytyjską z dominiami i koloniami.

Zagrożenie przyszło z zachodu, z włoskiej Trypolitanii, we wrześniu 1940 roku. Armia włoska marszałka Grazianiego rozpoczęła ofensywę. Okupacyjne wojska włoskie w Etiopii przygotowywały uderzenie na kolonie. Zaistniała możliwość powstań i ruchów arabskich.

Pomoc nadejść mogła tylko przez Kanał Sueski z Australii, Nowej Zelandii, Indii i Afryki Południowej. Kraje te przedstawiały duży potencjał ludzki, ale nie były gotowe. Potrzebny był czas. O ten czas musiały walczyć garnizony brytyjskie

We wrześniu 1940 roku przybyła z Syrii na teren Egiptu polska Brygada Karpacka, witana z radością przez dowództwo brytyjskie, które wówczas ceniło sobie każdy karabin. Brygada Karpacka weszła z miejsca w skład tej armii o organizacji odbiegającej daleko od przyjętego szablonu.

Wojska pospolitego ruszenia - z Australii, Nowej Zelandii, Afryki Południowej. Brytyjskie bataliony gwardii pieszej i pułki pancerne kawalerii, których tradycje sięgały setek lat. Składające się z różnych szczepli regularne pułki hinduskie, dowodzone przez brytyjskich oficerów, i nowo przybyła Brygada Karpacka.

Naczelnym dowódcą na tym terenie, generał Sir Archibald Wavell, grając po mistrzowsku po wewnętrznych liniach komunikacji, przeszedł do ofensywy. Rozbił koncentrację włoską w Etiopii, zniszczył w Pustyni Zachodniej armię włoską marszałka Grazianiego, wziął sto trzydzieści tysięcy jeńców i zdobył twierdze: Bardię i Tobruk.

Było to przysłowiowe „pięć przed dwunastą”, bo właśnie lądował w Trypolitanii Rommel ze swoim Afrika-Korps.

Ta wojna pustynna, tak niepodobna do innych i raczej przypominająca swą ruchliwością walki plemion koczowniczych przed laty tysiącem lub bitwy wielkich flot na morzu, stworzyła nowe zasady strategii i taktyki. Wytworzył się nowy typ dowódcy i żołnierza, powstały nowe prawa, zwyczaje, a nawet wymogi elegancji.

Szczupłość sił, koncentracja wszystkich oddziałów na jednej osi drogi nadmorskiej, na jednej bazie zaopatrzenia i wyszkolenia w Kairze, spowodowały niezwykle zgranie się wzajemne oddziałów.

Brygada Karpacka pozyskała sobie szybko sympatię i uznanie tego pustynnego wojska. Pułk Ułanów Karpackich, którym dowodziłem w kampanii libijskiej, zdobył sobie serce i szacunek najlepszych pułków pancernych kawalerii brytyjskiej.

W roku 1942, równocześnie prawie z rozbiciem pod El Alamein Afrika-Korps i wojsk włoskich, generał Władysław Anders przyprowadził na teren Środkowego Wschodu - przez Persję - sto trzydzieści tysięcy żołnierzy polskich z ich rodzinami. Niebawem przystąpił do organizacji i szkolenia swoich żołnierzy.

Doświadczenie walk pancernych i wysoki poziom wyszkolenia przydał się wkrótce moim Ułanom Karpackim. Już wiosną 1943 roku, na terenie Iraku, otrzymałem zadanie wyłonienia instruktorów dla wyszkolenia nowo tworzących się pułków rozpoznawczych i kawalerii pancernej generała Andersa.

Zadanie było trudne. Oficerowie i szeregowi byli nie tylko wyniszczeni fizycznie głodem i malarią, ale zupełnie nie obeznani z nowoczesnym uzbrojeniem, a tym samym nową taktyką walki. Wielu rzeczy musieli się uczyć od podstaw i nieraz odrzucać przedwojenne regulaminy i zasady, które dotychczas były podstawą ich rozumowania.

Dotyczyło to przede wszystkim broni pancernej i oddziałów rozpoznawczych. Dodatkową trudnością był język. Wszystkie podręczniki, regulaminy i centra wyszkolenia były angielskie, a liczba tłumaczy ograniczona.

Wyszkolenie pancerne zostało oparte na brytyjskiej szkole broni pancernej w Kairze, Royal Armoured Corps School Abbasya, w której istniał już poprzednio szwadron szkolny pułku Ułanów Karpackich, tak zwany Polish Wing. Dowództwo polskie z Wielkiej Brytanii przysłało pewną liczbę oficerów i podchorążych już przeszkolonych w swoich specjalnościach na kursach brytyjskich i władających językiem angielskim.

Wśród nich znajdował się autor książki, Bohdan Tymieniecki. Autor przeżył klęskę Francji jako tragedię osobistą. Pobyt w Wielkiej Brytanii obudził sceptycyzm i krytyczny stosunek do metod dotychczasowych. Szkolony przez ośrodki brytyjskie, przyjmuje jako dogmat, że tylko żołnierz na najwyższym poziomie wyszkolenia, o zmechanizowanym systemie myślenia, wygrywa bitwę.

Przydzielony do RAC School Abbasya, trafił tam na warunki i atmosferę, do których dążył instynktownie od dawna. Wszedł w środowisko weteranów wojny pustynnej. Spotkał instruktorów, od dowódcy czołgu do dowódców brygad, przybywających tu wprost z pola bitwy, aby podzielić się swoimi najnowszymi doświadczeniami z praktycznego rozwiązywania problemów bojowych. Tutaj, w RAC School, przyjął szybko nową wiedzę i nowe metody oraz przyswoił sobie prawa i zwyczaje otoczenia.

Ale ta wiedza i nowe metody obalały w znacznym stopniu zasady pancernych przedwojennych regulaminów, opartych na starych regulaminach polskich i francuskich z 1918 roku.

Nic dziwnego, że oficerowie polscy z obozów jenieckich mieli trudności w opanowaniu zupełnie nowego dla nich przedmiotu. Niektórzy, głównie starsi, ustosunkowali się niechętnie i z niedowierzaniem do nowych wytycznych. Dało się to odczuć w początkowej fazie naszych walk we

Włoszech. Również jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że młodzi oficerowie przyjmowali nowe zasady szybciej i bez zastrzeżeń. Dawało to nieraz okazję do tarć wewnętrznych i niepotrzebnych zadrażeń.

Tłó, które staram się przedstawić, tłumaczy wiele spostrzeżeń i często ostrych uwag majora Tymienieckiego, który był nie tylko znakomitym żołnierzem, ale i fanatykiem wyszkolenia i sprawności bojowej. W okresie szkolenia brygady pancernej zostaje wyznaczony do 6 pułku pancernego na stanowisko instruktora, z uprawnieniami znacznie przewyższającymi jego stopień wojskowy.

Pułk 6 pancerny osiąga wysoki poziom wyszkolenia bojowego.

W kampanii włoskiej 2 Korpus Polski wchodzi w skład 8 armii brytyjskiej, która rozbiwszy Niemców w Afryce, poszła zdobywać Europę.

Jako zastępca dowódcy brygady pancernej 2 korpusu dowodziłem wielokrotnie zgrupowaniami bojowymi, w których skład wchodził 6 pułk pancerny, i wiele razy miałem okazję widzieć autora, zawsze na najbardziej eksponowanym odcinku, zawsze dowodzącego swymi czołgami w najbardziej agresywny i skuteczny sposób i z nie zawodzącym go nigdy dobrym humorem.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się pod ogniem w bitwie o Piedimonte, za którą - na mój wniosek - został Tymieniecki odznaczony przez generała Andersa Krzyżem Virtuti Militari. A potem - jak przez kartki tych wspomnień - przyszła bitwa o Castelfidardo i przerwanie frontu pod Ankoną. Autor wspomina je z goryczą, widząc niewykorzystanie przez dowódcę brygady okazji do zagonu pancernego w wielkim stylu.

Normalnie w każdej akcji, szukając elementów decyzji, dowodziłem z pierwszej linii. Nieodmiennie znajdowałem się koło czołgu porucznika Tymienieckiego. Tak to obserwowałem ten nieprawdopodobny strzał pod Chiaravalle, w którego opis autor wkłada tyle głębokiego sentymentu. I na Cerasa-Monte Rosario widziałem pojedynek z pantherą.

Pod koniec kampanii włoskiej straciłem autora z oczu. Odszedłem, by objąć dowództwo nowo tworzącej się brygady pancernej kawalerii. Świetny 6 pułk pancerny został na froncie włoskim, a z nim Bohdan Tymieniecki.

Upłynęło wiele czasu. Dał on możliwość zastanowienia się i przemyśleń. Przyszła pora na wnioski.

Myślę, że nam, wszystkim żołnierzom tamtej wojny, niezależnie od narodowości, rzuca się w oczy, że literatura powojenna i film starają się uporczywie obniżyć wartości żołnierskie, a nawet je ośmieszyć. W powieści i w filmie ustala się pewien szablonowy typ żołnierza.

Ma to być jakoby bohater pozytywny, który idzie na wojnę w rozterce duchowej, mając już z góry wyrzuty sumienia. Typ ten cierpi codziennie, a nie goli się nigdy. W końcu poświęca się, aby oddać swe życie za ojczyznę i... ginie niepotrzebnie. Albo jest to tani awanturnik życiowy, podszyty gangsterem, który każdą nadarzącą się okazję stara się wykorzystać dla osobistej korzyści. Naturalnie, jest bezlitosny, okrutny, budzący odrazę widza i czytelnika.

Dla nas, żołnierzy z prawdziwego zdarzenia, oba te przykłady, podstawione przez propagandę pacyfistyczną czy inne czynniki, są tak nietypowe, jak i nierealne. Pierwszy typ w ogóle do wojska się nie nadawał, bo zanim włożył mundur, już cierpiał i chciał się poświęcić i umierać. A żołnierz musi żyć i kochać życie, aby wygrać wojnę. Awanturnik i gangster jest z reguły bezwartościowym żołnierzem,

gotów zawsze do terroryzowania słabszych i bezbronnych, natomiast napotkawszy równorzędnego przeciwnika, nie ma zamiaru narażać swego bezpieczeństwa i zawsze stara się wykręcić ze swoich obowiązków.

Dowodziłem na trzech frontach wojny, zawsze z pierwszej linii, i moje doświadczenie daje mi inną definicję wartości żołnierza.

Dobrym i bardzo dobrym żołnierzem jest ten, kto ma nie tylko wiarę i pełną świadomość celu, o który się bije, ale i wystarczającą wolę i siłę moralną, aby być gotowym do największego ryzyka w imię obowiązku.

Im większe przygotowanie i znajomość zawodu, tym większa pewność siebie, tym większa szybkość decyzji i skuteczność wykonywanego zadania. Żołnierz ten żyje i kocha życie, wiara w siebie daje mu radość walki, odczuwa jej urok i widzi jej piękno.

Bitwy wygrywają żołnierze, którzy czują się szczęśliwi w walce. Oni porywają za sobą innych, bardziej pasywnych, do czynów decydujących.

Książka Bohdana Tymienieckiego, który był właśnie takim wspaniałym żołnierzem, daje nam w swych opisach epizodów bojowych nie spotykane dotąd, a wierne odtworzenie życia żołnierza pancernego w walce. Żołnierza, któremu walka weszła do krwi. Żołnierza, który kochał wojnę, bo go ta wojna zrodziła. Tak jak i jego Lily.

Władysław J. Bobiński, OBE, DSO
Generał brygady

*Kto w dzieciństwie był ptakiem,
szybował górnym szlakiem
w młodości błyskawicach.
Kto czuł, jak płoną lica,
gdy czarnych chmur straszycła
przelecieć trza na skrzydłach
w drodze ku gwiazdom...*

Wszystkim znużonym jazdą
garść wspomnień tych
poświęcam.

TAK WYPADAŁO Z TRADYCJI

Szwadron nasz wracał z dalekiego podjazdu, idąc pełnym klusem w stronę dochodzących do nas odgłosów walki. Godzina była wczesna, dzień bezwietrzny i słoneczny, piękny dzień naszej jesieni, pól pełnych słońca i zapachu kwitnących poplonów. Pogoda zapowiadała jak zwykle wściekłe ataki nieprzyjacielskich samolotów na nasze kolumny.

W takt końskich kroków trzęsły się przewieszane przez plecy karabinki i głucho dudniły opony jadących za nami taczanek z cekaemami. Z rzadka padały słowa urywanej rozmowy:

Daj papierosa.

Czy Janek się z tego wyliże?

Ale on ma szczęście!

Widziałeś?

Trochę bliżej i dłuższa seria nieprzyjacielskiego kaemu przerwała rozmowę, konie wyciągnęły krok, padła komenda. Przed nami już wieś. Wpadamy na drogę ocienioną topolami i idącą w jary, rzeczka, most i skrzyżowanie się dwóch takich typowo polskich dróg, szerokich i piaszczystych, pełnych najrozmaitszych niespodzianek o każdej porze roku.

Na skrzyżowaniu samochód i kilku oficerów.

- To pułkownik Płonka, widzisz? A ten drugi to pewnie Kopeć! Szwadron zjechał w cień drzew. Krótka rozmowa, poparta szybką gestykulacją naszego rotmistrza:

- Galopem za mną... marsz!

I walimy całym pędem przez wioskę robiącą wrażenie wymarłej. Co chwila zabłąkana kula gwizdże przeciągle gdzieś w górze. Skręcamy w prawo, dróżka za wąska, wywraca się taczanka - chwila zamieszania i znowu w cwał. Gubię zaczętego przed chwilą papierosa. Łączka, kępa olszyn, rów.

- Stój!

Przed nami małe wzniesienie, zasłaniające przedpole.

- Z koni! Przygotowanie do walki pieszej!

- Pręęędzaj!

Chwila kłótni, bo nikt nie chce zostać koniowodnym. Przedwczoraj było nas dużo więcej, dzisiaj musimy zostawić jednego na siedem koni - niech się martwią.

Biorę kbk od koniowoda, dziesięć nabo.

- Wystarczy!

Wychodzimy do natarcia. Mam pluton kierunkowy, lewy prowadzi rotmistrz Petrulewicz, prawy - podporucznik, którego nazwiska już dziś nie pamiętam, wołamy na niego Pieter; ma małą blond bródkę i zdecydowane oczy. Tyralierka - i na wzgórze. Przed nami... równina.

Szachownica chłopskich poletek, zagon ziemniaków, jakaś wyschnięta podorywka, półko złotego w słońcu łubinu. W dali paląca się wieś, dystans - 600 metrów. Idziemy wolno naprzód. O kilkadziesiąt kroków mijamy ukryty w ziemniakach ckm. To szwoleżerowie. Leżą w brzdach i strzelają do czegoś, czego my jeszcze nie widzimy.

Karabin maszynowy pruje krótkimi seriami, pryskają łuski, z chłodnicy wolno unosi się para. Kilka wesółych słów i reszta zostaje w gardle. Twarzą do słońca, z zaciśniętymi kurczowo pięściami, z odrzuconymi nogami, leży zabity - nasz. Krew jeszcze sączy się spod hełmu - dostał w sam łeb!

Do wioski jeszcze z trzysta metrów. Mała łączka i takie trzy czy cztery chałupy luzem w polu. Słońce gra na szybie pierwszej z nich, jakby złudzenie ognia.

Trrrtatatat... trrrtatatat... trrr...

Zagotowała się ziemia: przed nami - koło - za! Z wyschniętej roli małe obłoczki kurzu.

- Biegiem!

Coś gwizdże, szarpie, drzeć zaczyna powietrze jak kawał płótna. Jeszcze dwadzieścia metrów! Ktoś z tyłu krzyknął:

- Jesteśmy w chałupach!

Wściekły, jakby oszalały terkot. Sypią się szyby, trzaski po drzewach, z białą bielonej ściany leci gruz. Kilkunastu Niemców ucieka do wsi będącej nie dalej jak sto metrów. Widzę ich, jak schyleni biegną i ktoś koło mnie strzelił.

Ostatni z lewej wali się na wznak - trzask! Drugi potyka się i kładzie jak długi. Trzeci!

Oglądam się - to podchorąży. Ten to umie strzelać, ziemiański synek! Leżymy wzdłuż dróżki łączącej chałupy za drzewami i starym, na pół zgniłym płotkiem. Chłopcy zaczynają strzelać. Liczę ludzi. Świetnie! Tylko trzech. Jeden na czysto, dwóch rannych. Jeden ma śmiesznie oderwane ucho, krew wali z niego jak z fontanny. Ktoś go opatruje.

Kto zabity?

Sowa!

Niemożliwe!

Mój ulubieniec! Krakowskie „wybijokno”, o zawsze uśmiechniętych oczach.

- Gdzie dostał? Może żyje?

Wstaję i wracam. O kilkanaście kroków od pierwszej chałupy, na zagonie nie zoranej ścierni, z wyrzuconym przed siebie kbk i twarzą wciśniętą w ziemię - leży Sowa.

Czołgam się... krzyczę... szarpnię... Nic! Dostał w środek. Pewnie kula naruszyła kręgosłup.

- Psiakrew! - Wracam.

Chłopcy walą na całego. Zaczynają warczeć nasze „szczeniaki”¹ model 30. Leżę za grubą topolą i przez lornetkę oglądam przedpole.

Wieś pali się z lewego końca. Na prawo dwie chałupy i jakaś droga. Na górze kościół, może sto dwadzieścia metrów. Dzieli nas zwykłe, chłopskie pastwisko. Hej! Teraz widzę: za krzyżem przydrożnym, w dołku - trzy hełmy. Dalej, za rogiem chałupy, km w prawo. Boże! Nie dalej jak osiemdziesiąt kroków za małym kopczykiem.

Podciągnąłem mauzera. Dobrze - nie - trochę niżej. Przeszło mi błyskawicznie przez mózg wspomnienie ostatniego rogowca; był zgórowany. Wolno naciskam spust - rozłożył się płasko jak szmata. Szukam drugiego. Ten za węglem, może się więcej wysunie. Ot tak! Jeszcze! Wprowadzam trzeci nabój.

Z płotu, trochę wyżej i na prawo, sypią się drzazgi. Z tyłu ruch. Oglądam się - to rotmistrz Chruszczewski prowadzi nam szwadron na wsparcie. Mają cztery cekaemy. Dobrze!

Wołają mnie za chałupę. Wolno wyczołguję się. Rotmistrz, stary rotmistrz Petrulewicz; złośliwi w szwadronie przebąkiwali, że z koniem ma trudności i że raczej pachnie kapitanem. Ale żołnierz był zuchwały i może kiedyś tam, w dalekiej Polsce, doczeka się więcej niż tej wzmianki. Uśmiechnął się do mnie:

- Gorąco, co? . . .

A tu, na domiar złego, samolot. Wali prosto na nas. Messerschmitt. Niziutko, z piekielną szybkością. Kurzy się ziemia od pocisków, gwizdże powietrze. Rotmistrz śmieje się:

- Nic nam nie zrobi.

- Daleko masz do nich?

- Sto metrów, może mniej.

- Czy nie pogubili bagnetów?

- Nie!

- Przygotuj do szturmu, może się uda... Marsz!

Już nie kryjąc się wypadam zza węgła.

- Bagnet na broń! Szturm!

Skaczę przez płot, walą się deski. Ułamki sekund, rów - skok, hurra, hurra! Parę metrów - krzyż i... te trzy hełmy. Rzucam w biegu karabin i wyciągam zdobyczne parabellum. Jeszcze z dziesięć kroków. Stanąłem. Mignął mi się w szczybinie guzik na płaszczu. Ściągnąłem spust. Hełm i biała z przerażenia twarz, skurcz palca i lekki odrzut lufy, a trzeci w tę zieloną masę munduru i ładownic!

Krzyk. Jakieś postacie z wyciągniętymi do góry rękami, biała płachta, ktoś się śmieje. Jesteśmy we wsi!

¹ Lekkie karabiny maszynowe.

Tak zdobyliśmy szturmem na bagnety południową część wsi Dzwola dnia 29 września 1939 roku, bronią przez dywizjon przeciwpancerny legendarnego „Kondora”.

Ceres, 1941

PRZEBIŁEM

Przy wyjściu z ciemnej bramy fortecy pierwszą spotkaną osobą był Staś Wołoszowski. Rzucił się do nas:

- Pewny byłem, że to wy! Wiedziałem, że jak tylko wam się uda, to tu wylądujecie. Czekam na was już od dwóch dni. Chodźmy gdzieś na stronę. Zanim zaczną was indagować, muszę was oświecić, co w trawie piszczy.

To jest obóz oficerski. Ci oficerowie to przeważnie z zapasów, jakiś korpus geografów, trochę z administracji, reszta to rezerwisty, lekarze, aptekarze, urzędniki, naród niewojenny. Życie znośne, nawet wygodne. Węgry kochane płacą ponoć jakieś pobory czy zasiłki. Naturalnie jest i dowódca, podobno najstarszy stopniem, jakiś pułkownik Sas Kulczycki; ma koło siebie cały sztab Siedzą tu od dwóch miesięcy i zdążyli już obrosnąć w piórka. Ale tu coś się dzieje, jakaś dziwna polityka odchodzi, bardzo trudno się dowiedzieć, bo nie dopuszczają do poufałości. Wszystko cholernie zakamuflowane. Są podobno dwie frakcje: jedna chce tworzyć jakiś legion na Węgrzech Ten pułkownik Sas podobno bardzo przywoity człowiek, ale nie ma nic do powiedzenia, trzymają go na figuranta.

Wyjechać stąd bardzo trudno, bo wypuszczają tylko wybranych.

Węgrzy na wszystko patrzą przez palce, pomagają, jak tylko im dyscyplina na to pozwoli Kto obrotniejszy, wyrywa do Budapesztu na własną rękę. Co dzień ktoś ubywa. Ale wszystko po cichu... Sza! Wiedzą tylko wybrani, a w ogóle. Pinkerton!²

Pamiętajcie, że jutro wezmą was do sztabu na weryfikację. Z Kołaczkowskim i Szlankiem nie ma kłopotu, ale Bohdan nie przejdzie, bo ogniomistrz, i odeślą do innego obozu. To przewidziałem i dzisiaj zwąchałem się z łapsiakami z dwójki. Oni też coś kombinują na własną rękę i werbują ochotników na agentów do Polski Dotychczas nikogo nie namówili, no to ja ciebie, kotku, sprzedałem Zgódź się na wszystko - że pojedziesz, że nawet Hitlera utrupisz, a oni już dla ciebie papiery szykują na porucznika, z całym twoim życiorysem, i tym cię zweryfikują. Proszę cię, nie nawal, obiecuj cuda, a później wyrwiemy i... mogą cię pocałować w podogonie.

Cieszę się z was jak cholera. Zawsze mówiłem, że swój brat nie zginie. Wy prujcie za tym dudkiem a ja z Bohdanem do tego biura awansowego

Staś miał rację, do narzekań nie było powodu. Coś jak zameczek czy forteczka, długa, ciemna brama z wartownikiem trochę na obdrapańca, duże brukowane podwórce, szare budynki koszarowe. Na dole duże sale po szesnaście łózek dla młodszych oficerów, na górze salki na czterech lub sześciu oficerów starszych. Podobno płacą im po sto osiemdziesiąt pengö miesięcznie.

Właściwie zupełna swoboda. Za specjalną przepustką można zejść do Egeru, uroczego miasteczka w dole.

Tak minęło dziesięć dni. Czas leci, a tam we Francji Sikorski tworzy nową armię, do której ciągną z całego świata, a my... nic!

² Słynny detektyw amerykański.

Trudno nawiązać jakąś znajomość, trudno się czegoś dowiedzieć. Nie budzimy zaufania. Nasze przechwałki o „przewagach” wojennych zraziły do nas całe otoczenie, słuchano ich z zażenowaniem i niechętnie. Naród ten - jak mówi Staś - niewojenny, a raczej przezorny, ma wrodzony wstręt do każdego gwałtu fizycznego.

Wyrwać! Za wszelką cenę wyrwać!

Ale na to, aby wyrwać, trzeba mieć rubla. Dostaliśmy skromny forszus, który rozchodzi się na niezbędne drobiazgi, ale na to, ażeby ubrać czterech ludzi, na cztery bilety do Budapesztu potrzeba najmniej cztery setki. Skąd je wziąć?

W piątek po obiedzie zabrano nas do łaźni. Idziemy eskortowani przez obdartusa, środkiem ulicy, gapiąc się na wszystko, na czym tylko zaczepić się mogło oko, i nagle doznałem objawienia! Naprzeciw nas, chodnikiem, prowadziły się cztery okazy jak do portretów Gottlieba: czapy lisie, szuby atłasowe, brody po sam pas, pejsy skręcone w misterne grajczarki, cycelesami aż zamiatają ulicę, obraz dostojności, powagi i... to będzie nasz ratunek

Grzecznie zasalutowałem z szeregu. Rysia aż poderwało:

Co ty, mysiuresów salutujesz? Zwariowałaś czy co?

Rysiu drogi, ja kochanego rubelka salutuję, i to pewnego.

Łaźnia okazała się ślicznie urządzonymi łaźniakami i basenami, z czego jeden, największy, na świeżym powietrzu, zasilany z naturalnych ciepłych źródeł. Mróz na dworze dobrych dziesięć stopni, a tu żaby kumkają jak na miradowskich bagnach.

- Słuchajcie, Ryś i Szlank, buch do wody nie na dłużej jak na trzy minuty, ubierać się i usiądziemy w tej czytelni. Mam cudowny plan i tylko należy omówić wykonanie.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach, wyciągnąłem papierosy:

- Słuchaj, Szlank. Dotąd myśmy za ciebie myśleli i wyprowadzili z ziemi niewoli, teraz kolej na ciebie prostować nasze drogi. Jak nawalisz, to prędzej wojna się skończy, niż się stąd wydostaniemy.

Szlank był to chłopak bardzo równy, podporucznik artylerii, przeszedł chrzest bojowy gdzieś pod Mławą, emocjonalnie odważny. Razem z nami bez wahania poszedł na najryzykowniejszą awanturę. Był nawet trochę zuchwały, miał ojca podpułkownika i był Żydem.

- Słuchajcie uważnie. Widzieliście tych czterech wspaniałych samców, których salutowałem. Otóż mam myśl: Szlank, ładny chłopak jesteś, ale podobieństwa z Radziwiłłami dopatrzeć się w tobie trudno, natomiast na pewno znajdziesz pomiędzy swoimi dziadkami jakiegoś „podrabka”, bo rodzina zacna i z tradycją. I tu zaczyna się twoja wielka rola. Pójdiesz do nich, i to gementes et flentes, i płacz! Płacz, że Niemcy ci siostrę zgwałcili...

- Nie mam siostry - warknął Szlank.

- To nie szkodzi, bo mógłbyś ją mieć, a po drugie nie przerywaj! Że ojca i matkę ze skóry żywcem obdzierali...

Szlank aż się zerwał. Podniosłem rękę.

Sza! Przedstawisz im całą grozę katuszy i nieszczęść, jakie przeszła cała twoja rodzina. Zrobisz to obrazowo, i uważaj, jakie wrażenie to robi. Jak zobaczysz, że wzięto i zaczynają mięknąć, przedstaw delikatnie sytuację, poproś o pomoc. Na pewno nie odmówią i zrobią jakąś kwestę dla nas, a my... jak tylko pieniędzy dostaniemy do rączki, to pošlemy im piękną laurkę z Montmartre'u... Jasne?

A ja tego nie zrobię - stanowczo wygłosił Szlank. - Na takie kanty i kłamstwa honor oficerski mi nie pozwala; twoje jezuickie metody nie odpowiadają mi, zresztą nie jesteś oficerem, to tego nie rozumiesz.

Zgoda, Szlank, ja nie rozumiem, nie jestem oficerem i wolny jestem od tego tak dla ciebie świętego balastu, ale jeśli tak, to może powiesz, dlaczego kiedy ci pełni zaszczytnego tego honoru jak stado szli w plen, nie poszedłeś za nimi, lecz poszedłeś za tym... jezuitą? Nie będziemy się kłócić, honor honorem, ale za żaden honor stąd się nie wydostaniemy. To nie jest oszustwo, to podstęp, fortel, może nawet przebiegłość. Byli więksi od nas, których te metody, jak je nazywasz, jezuickie, wyniosły na świeczniki historii. Patrz: Metternich, Machiavelli, nawet stary Ulisses. Poszedłbym z tobą, bo nos mam na Rothschildowego bratanka, ale co będzie, gdy te rabiny będą chciały nas zweryfikować? Przecież ja w żaden sposób nie przejdę

Ty z poważnych rzeczy robisz kpiny, dla ciebie nie ma świętości, i dość mam tych głupich aluzji. Ta wczorajsza pogaduszka o Żabotyńskim³ to też była w moją stronę. Nie mam nic wspólnego z żadnymi Żabotyńskimi, jestem polskim oficerem i na żadne twoje propozycje nie pójdę, mimo że mam wielki dla ciebie szacunek za twoją odwagę i zdecydowanie.

Ty, kochany Szlank, jesteś zły gracz i do pokera nie siadaj. Nie umiesz zachować bonne mine... przegrywając. Żabotyński jest większy juhas od ciebie i nie zniechęcał się tak jak ty byle trudnościami. W zeszłym roku w maju, bodaj w niedzielę wczesnym rankiem, prowadził tysiąc swoich sokołów na jakieś maniewry. Szli Świętokrzyską, gromko i ze śpiewem. Bojowy śpiew zaniepokoił wilczura Elny Gistead⁴. Pies wyszedł z nerw, to wiesz, gdzie połapał swoich hoplitów? Na Grochowcie i mimo poważnych strat marszowych i trudności poszukiwań, do końca doprowadził ćwiczenia. Życzę mu, żeby go szwabki nie złapały.

Ale Szlank gadać nie chciał i cały mój projekt tak jakby leżał.

- Wiesz co, Szlank? Nie ma większego nieszczęścia, niż kiedy Pan Bóg stworzy głupiego Żyda. Żeby się nad tobą nie litował, jak nad tym polskim oficerem, to zapaliłbym ci czarną świecę i Szwarcie Jur rzucił na twoją głowę i potomstwo, którego i tak się nie doczekasz.

Rozmowę przerwały nam ryki śmiechu i gwałtowna awantura. Historia jak do kina. Jakiś kapitaś z piechoty, którego trochę w kąpielni przypiliło, zobaczywszy bidet w łazience, a będąc niezwykajny takich wymyślnych urządzeń, kropnął sobie... kupkę. Na domiar złego usiłował spuścić wodę, dostał wszystko w gębę! Obsługa szalała z radości, nasz kapitan rzucał się jak wściekły, my w śmiech, on do nas, ledwo Węgry załagodziły.

³ Włodzimierz Żabotyński - przywódca skrajnie nacjonalistycznego ugrupowania ruchu syjonistycznego.

⁴ Znana warszawska aktorka operetkowa.

Zastaliśmy Stasia leżącego na moim łóżku i usiłującego wciągnąć do rozmowy jednego z tych wtajemniczonych Pinkertonów, o którym szeptano, że konstruuje czy obsługuje jakąś tajną radiostację.

- Widzę możliwość zrobienia kupy pieniędzy - szeptem wyrzucił Staś - i trochę przygotowań już poczyniłem. Teraz kolej na ciebie. Otóż tam na piętrze, w jednym pokoju u sztabowych, idzie partia pokera. Grywa ich czterech: dwóch majorów i kapitan - geograf. Dochodzi jeden kapitan bodaj z liczyportków. Mają pieniądze, bo płacą im już od dwóch miesięcy. Ja nie mam szans, bo wiedzą, że mam gołodupiec, ale ja tak od niechcenia wspominałem o tobie, żeś ziemianin, że lekko grasz w pokera i że masz kupę dolarów. To chwyciło. Któryś niby cię zna czy o tobie słyszał, dolary nie poszły w las. Bardzo chętnie cię poznają i zaprosili nas jutro na herbatę. Ogromne nadzieje pokładam w tobie, bo jeśli mogłeś mnie tak obłupić pod Janowem, to tym patałachom powinieneś gacie przez głowę ściągnąć.

Założenie mi odpowiadało, bo dawało możliwości, a wszystko, co dawało jakieś możliwości, było dobre. Ale na tę imprezę potrzebny był kapitał zakładowy. Obliczyliśmy - razem mieliśmy niecałe dwadzieścia pengö, bez najmniej osiemdziesięciu nie można zaczynać.

Bez namysłu ściągnąłem z szyi złotą odznakę Wielkiej Łoży i pomaszerowałem powoli w róg sali, gdzie leżąc na łóżku i czytając książkę przeżuwał w spokoju kolację jeden z „handlowych”, a tak zapobiegliwych i przezornych, że skupował od potrzebujących nawet złote obrączki. Zaczął się długi targ, ale ciężar złota przeważał. Sprzedałem, z prawem odkupu na trzy dni, za czterdzieści pengö.

Na drugi dzień w obiad Staś przyniósł dwadzieścia pengö, które wycygał na konto przyszłych poborów od jakiegoś naiwniaka. Ryś wypożyczył od kogoś przywoitą kurtkę mundurową ze śladami po odprutych proporczykach. Pierwsze trudności i niepewność pozostały za nami.

O czwartej pomaszerowaliśmy na górę. Staś mnie przedstawił z małą oracją. Przyjęto nas uprzejmie, z uśmiechem i kubkiem herbaty.

Rozmowa naturalnie o wojnie, którą w konsekwencji Niemcy muszą przegrać w pół roku, zmiażdżeni potęgą Francji i Anglii; posypały się dane, liczby, wszystkie przewagi. Twierdzenia były wygłaszane autorytatywnie i bardzo przekonująco, ale nie dla nas taki „bałak”; obydwaj byliśmy na froncie i... długo, mieliśmy wyrobione zdanie o przeciwniku i nie bardzo nam się chciało wierzyć, żeby po tamtej wojnie i *Feu Barbusse*'a Francuzi byli tacy chybitni do tego miażdżącego ataku, ale potakiwaliśmy zgodnie i grzecznie przyjmowaliśmy te wszystkie banialuki.

Po półgodzinie tak pouczającej rozmowy major poprawił cwikery i zaproponował:

- Może by tak małego pokerka? Po pół pengö? My tu tak trochę grywamy dla zabicia czasu. Jeśli pan ma ochotę, to możemy w piątkę z dokupem...

Z uśmiechem kiwnąłem głową:

- Z przyjemnością.

Nakryto stół kocem, dwie blaszane pokrywki od pudełek na popielniczki, rozdano karty, pociągnęliśmy miejsca. Z lewej mam kapitana, naprzeciwko dwóch majorów, z prawej tego liczyportka, Staś usiadł za mną.

Gra wlokła się przeraźliwie nudno, banki po parę pengö, żadnego spotkania, nikt się nawet na włos nie wychylił. Po godzinie byłem przegrany prawie piętnaście pengö, otworzył kapitan z lewej, który był już wygrany co najmniej dwudziestaka. Weszli wszyscy beze mnie. Po dokupię major rozpoczął z dwóch, dodali, kapitan przebił... i pięć... dodali... fuli asowski!

To jest już co zaportkować, prawie pięćdziesiąt. Nagle uderzyło mnie, że kapitanowi zbierającemu ze środka stołu pieniądze drżą końce palców - już go wzięto, a jeśli tak, to go mam!

Rozochocony zwycięzca wstał, wyjął spod poduszki butelkę pralinki. Zauważyłem, że nalał tylko pięć filiżanek. Nieznacznie podsunąłem Stasiowi swoją.

Gdzieś przez kręgosłup przeszło lekkie drgnięcie jak iskierka. Machinalnie poprawiłem się w krześle. Każdym nerwem czułem, że mój czas nadszedł, moje piętnaście minut!

Pierwsze rozdanie... nic. Dodaliśmy, kapitan zachęcony powodzeniem otworzył po ciemku. Major w szklach rozdawał karty.

W ręku mam trzy króle, asa pik i dyskę karo. Pierwszy dodał, drugi dodał, zerknąłem na kapitana z lewej - wyraźnie mu się trzęsły ręce... dodałem.

Przebiłem i pięć - wykrztusił kapitan. Wszyscy spokojnie dodali.

Przebiłem i dziesięć!

Zrobiła się maleńka konsternacja] tego przebicia nikt się nie spodziewał. Kapitan z kwaśnym uśmiechem rzucił karty, major poprawił cwikery i powoli położył na stole papieraek dziesięciopengöwy, następny położył karty, „mnie nie ma” - mruknął liczyportek.

Wyrzucam asa, kupuję jedną kartę, major bierze dwie, pewno ma wysoką trójkę.

Major znowu poprawił szkła, odliczył pięć nikielków... Zagrałem! Spokojnie, bez zaglądania w karty, przebiłem i dwadzieścia! Major sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel i położył na stole nową dwudziestopengöwkę... „Dodałem” - chrząknął. Leciutko przesunąłem w palcach karty... Przyszła dziesiątka kier.

- Fuli królewski - spokojnie oznajmiłem.

To było już co schować, prawie siedemdziesiąt. Poczułem się cholernie pewny, czułem, że panuję nad stołem, że te cztery urzędasy w mundurach dostały bakcyła, niezwyčajne takiego tempa muszą się wychylić i jak woły pójdą do rzeźni.

Staś z tyłu uszczypnął mnie w plecy, nawet się nie obejrzałem. Ten od liczyportków rozdawał karty, otworzyłem po ciemku. Dwóch weszło... przebiłem i dwa, obydwaj kapitanowie dołożyli. Nie miałem nic, kupiłem ot tak na wariata dwie karty. Poczekali, ja też.

W banku piętnaście, ja rozdaję... Otworzyłem po ciemku.

Teraz już wyraźnie czuć było napięcie, powoli, z drganiem palców, filowali karty.

Wszyscy sięgnęli do kieszeni. Major znowu poprawił szkła, musi mieć kartę. Dodałem... dodałem... dodałem. „Dodałem” - warknął liczyportek.

Wolno, z rozmysłem, nie spiesząc się, koniuszkami palców prawej ręki przesuwałem karty: król, walet, ósemka i siódemka kier, ostatni as - pik.. złamany kolor! No, teraz albo nigdy!

Przebiłem... i trzydzieści!

Wyjąłem z kupki trzy dziesiątki i rzuciłem na stół.

To było do przewidzenia i na ten moment czekałem. Na czołach pokazały się krople potu, kapitanowi latały ręce, był czerwony. Czułem wewnętrzną radość walki i pewność przewagi. Z radosnej emocji pulsowały mi końce palców. Staś za mną wstrzymał oddech.

- Muszę dodać - jakby usprawiedliwiał się kapitan; oba majory dodały, liczyportek rzucił karty i wstał coś mrużąc pod nosem.

Pierwszy... jedna, drugi... jedna, trzeci major - dwie karty, ja jedną. Kapitan filował długo, radość mignęła mu w oczach, sięgnął do portek.

- Otworzę z dwudziestu - wyrecytował.

Major zrobił bardzo skupioną minę i bez słowa położył dwudziestopengówkę, była bardzo nowa; drugi major przecząco pokręcił głową i położył karty.

Po co się śpieszyć? Wyjąłem i przetarłem monokl, mam czas. Zdawałem sobie sprawę, że czy kupiłem, czy nie kupiłem, przebić muszę. Kciukiem lewej ręki powoli przesunąłem karty. Poczułem na sobie gorączkowo wlepione oczy, wszyscy wstrzymali oddech. Król... walet i... dziewiątka... kier! Przyszła dziewiątka!

Szlagier baccaratowy!

Przebiłem!... I sześćdziesiąt pengö!

Cisza. Kapitan wstał, podszedł do łóżka i wyjął spod materaca szarą kopertę, odliczył sześć dziesiątek, położył na kupce banknotów. Dodałem!

Major bez słowa znowu odliczył trzy nowe dwudziestki.

Kolor w kierach!

Co za spotkanie! Trafiłem na dwa fulle, asowski kapitana i damski majora.

Niedbałym ruchem zacząłem składać papierki, zrobiło mi się gorąco, mijało napięcie, byłem wygrany fortunę, razem ponad cztery setki. Cel został osiągnięty. Poczułem w nozdrzach zapach paryskiego metra.

Odezwał się ten od liczyportków:

- Nie podobają mi się pańskie metody gry. Z towarzyskiego pokera zrobił pan hazard, to nie bardzo wygląda na amatorską grę.

Zesztywniały mi policzki:

- Panie kapitanie, poker to nie jest gra towarzyska, to nie jest gra salonowa ani dla przyjemności, to jest... poker! - Wstałem. - Dziękuję panom za miłą partię i za przyjęcie.

- Jak to - zerwał się major z cwikerem - pan odchodzi? Tak nie można, pan nas wszystkich ograł, nam się należy rewanż.

- Ależ naturalnie, obiecuję panom rewanż, ale nie dziś.

- A więc kiedy? - wyrzucił major.

- Kiedy Madelon viendra nous servir à boire!⁵ Proszę panów.

Węgry, Eger, zima 1939

⁵ Madelon poda nam coś do picia.

CZARNY ROK

W bramie czekał już na mnie Józek Kernes.

- Słuchaj, Bohdan, zaczyna wyglądać niedobrze. Jakąś godzinę temu pułk przeszedł w kierunku Ploërmel, wycofuje się cała dywizja. Są pogłoski, że Niemcy o parę kilometrów. Rotmistrz Minkowski odszedł z trzema plutonami, na dowództwie tutaj zostawiono rotmistrza z częścią jego szwadronu. Ponieważ to wszystko zaczyna mi śmierdzieć, dałem twoim ludziom rozkaz spakowania się i gotowości marszowej.

Wróciłem z patrolu do sąsiedniej wioski, na który wyszliśmy o świcie, prawie pięć kilometrów. Wszędzie panował zupełny spokój, nikt nawet na nas nie zwracał uwagi, żadnego śladu uchodźców czy jakiegos niepokoju. Spotkaliśmy tylko jeden camion z bańkami mleka, normalna vie quotidienne

*

Oddział rozpoznawczy 3 dywizji był dopiero w początkowym okresie szkolenia. Stany mieliśmy pełne, ale uzbrojenie i wyekwipowanie niekompletne; oczekiwaliśmy z dnia na dzień na sprzęt motorowy, armatki i ciągniki.

Nie mieliśmy ani jednego oficera o wyszkoleniu francuskim i całe instruowanie oparte na podchorążych, improwizujących na podstawie starych instrukcji kawaleryjskich. Na cały pułk ja jeden miałem ukończone dwa kursy francuskie armatek ppanc, 25 mm w Coëtquidan i 40 mm z zapalnikiem błyskowym w Laverdon.

Poza normalnym szkoleniem podstawowym i strzelaniem z kb i rkm na podstawie posiadanych instrukcji francuskich szkoliliśmy razem z Kernesem wybierania, okopywania i maskowania stanowisk armatek o ciągu motorowym.

Nasza wyprawa do Coëtquidan na kurs armatek i strzelanie zakończyła się katastrofą.

Podporucznik Drobniak, dowódca plutonu konnego armatek i jako oficer dowódca całości, po przeprowadzeniu nas na wyznaczone kwatery poszedł zameldować się w dowództwie obozu. W tym czasie jakiś major z dwoma oficerami wszedł na kwatery Drobniaka i mimo tłumaczeń zabrał prawie cały pluton na uzupełnienie swojego oddziału. Zaalarmowany Drobniak przyleciał interweniować, ale... podporucznik Drobniak był oficerem zawodowym i mimo tego bezprzykładnego bezprawia, gdy ówże major wrzasnął na niego: „Rozkaz!”, bezradny Drobniak stanął na baczność i... stracił dwudziestu czterech ludzi.

Z plutonem motorowym sprawa przybrała inny obrót. Podniecony powodzeniem major wpadł ze swoimi oficerami na salkę, gdzie pod ścianami na siennikach i materacach siedzieli moi ludzie.

- Powstać! I maszerować za tym panem porucznikiem! Powstałem tylko ja:

- Panie majorze, ci ludzie są z trzeciego OR-u, przysłani na kurs armatek ppanc i nigdzie nie pójdą bez rozkazu swojego dowódcy.

- Milczeć! Jedno słowo i kula w łeb! Zrobiłem krok w tył.

- Niech pan spróbuje! - Za mną trzasnęły zamki ładowanych karabinków; zanosiło się na straszną awanturę. Major wypadł jak oszalały.

- Ja was nauczę! - Krzyczał jeszcze za drzwiami.

Moi żołnierze to nie ułańskie ciubaryki plutonu konnego Drobniaka: jeden plutonowy, czterech kaprali rezerwy, trzech studentów, pięciu maturzystów, sześciu marynarzy z floty wojennej, reszta młodzi emigranci z Francji, element inteligentny, a do tego nie z poboru, ale ochotniczy - na to wszystko jeden kapral zawodowy, Uliaszek. Całość bardzo zdyscyplinowana, żołnierz bardzo pewny swoich wartości i żołnierz zbyt inteligentny, by mógł być dowodzony przez przeciętnego oficera zawodowego, a do tego jeszcze z kawalerii.

Co było teraz robić?

Zrozpaczony Drobniak zawyrokował:

- Uciekamy!

Uciekliśmy bocznymi drózkami do pułku.

*

- Gdzie jest porucznik Drobniak?

- Odszedł z rotmistrzem Minkowskim, zostawił ci resztkę swojego plutonu, ośmiu ludzi, mają kb, dwa erkaemy i sześć skrzynek amunicji.

Wygląda znowu na odwrót, i tak wszystko niejasne, tak dziwnie niedopowiedziane. Co ja mam robić?

Poszedłem na kwaterę pożegnać się z Jeannette; tu znowu łzy, płacz, ledwie się mogłem jako tako spakować. W myśl starego „omnia mea mecum porto” wszystko w dwa chlebaczki, a resztki już nagromadzonych dóbr Jeannette na otarcie łez. Wysłała nawet mamą z judaszową zmarszczką współczucia... Adieu!

Wracającego, dopadł mnie na szosie podchorąży Wilczyński:

Panie kolego, rotmistrz Marcisz wydał rozkaz złożenia broni, ja złapałem te kaemy i niosę do pana. Co pan myśli robić?

Panie podchorąży, chodźmy do Kernesa, musimy się naradzić, co nam jeszcze pozostało. To wszystko prawie nie do uwierzenia.

Zarządziłem zbiórkę:

- Słuchajcie, niedoszli bohaterowie, znaleźliśmy się w parszywej sytuacji. Niemcy prawie na zadupiu - wybór niewielki: albo gawera w łapę, garść naboju i w krzaki na zabawę w chowanego, albo „Hände hoch” i w plen. Kto wyrwie do chałupy, temu bonne chance. Ja wybieram to pierwsze, bo dużo zabawniejsze, ale kto ma inne plany, niech wystąpi!

Myślałem przez chwilę, że wezmą to poważnie, że się zmartwią, że zaczną radzić, a nawet przeklinać. Gdzie tam! Ta łobuzeria zaczęła się śmiać i pokpiwać. Trzech wystąpiło, i to śmiejąc się, że właściwie

oni niedaleko mieszkają i chętnie poszliby do domów, ale jeżeli coś mam przeciwko temu to naturalnie zostaną. Kazałem im wyrwać, i to natychmiast.

- A wy, szanowna młodzieży? Wyrwał się Bańko:

Wiadomo, idziemy z panem. Jak ma być wesele, to niech je będzie słycać.

Ano, jak chcecie igraszek, to wliźcie teraz w cień, bo was słońce rozpuści. Panie Wilczyński, niech pan wraca pod dowództwo i jak tylko zobaczy pan coś alarmującego, biegiem do nas.

Usiedliśmy z Józkiem w cieniu. Trudno było nawet gadać; znowu ucieczka, znowu niepewność, znowu wielka niewiadoma. Po cholere ja się w to pcham? Paszport mam, nawet wizę szwajcarską mam, nie potrzebuję uchodzić za refugiata. Ciotka w ostatnim liście zaklina mnie, żeby przyjeżdżać, że Francja się wali, a ja najmniej pomogę. Z drugiej strony tu może być nawet ciekawie, przecież mnie w tych krzakach nikt z tymi chłopakami nie złapie, chyba w Marsylii. A z tym Marciszem to musi być przesada, Wilczyński trochę panikarz; niemożliwe, żeby rotmistrz kawalerii broń oddawał bez strzału, przecież by mu inni oficerowie nie pozwolili.

- Ty, uważaj, leci Wilczyński. Jeszcze nie dobiegł, jak zaczął wołać:

- Niech pan maszeruje, granda! Marcisz chce tu zostać, złożyć broń i czekać na Niemców, by się poddać, a rozkaz dowódcy był, że idziemy w tylnej straży. Niech pan maszeruje.

Dwa plutony stanęły w mig, trójkami, karabinki przez szyję, 150 naboji na kb, osiem erkaemów, dwadzieścia skrzynek amunicji.

Szliśmy z Kernesem przed plutonami, minęliśmy kościół, w cieniu na środku szosy stali Marcisz, porucznik Barylski i porucznik Tuński. Podeszliśmy na dziesięć metrów.

- Oddział... stój!

Parę kroków naprzód, stanąłem na baczność, zsalutowałem:

- Na rozkaz, parne rotmistrzu!

- Kto ogniomistrzowi kazał tu przyjść?

- Podchorąży Wilczyński powtórzył mi rozkaz maszerowania.

- Ogniomistrz zaprowadzi swoich ludzi i złoży broń u mera.

To było dla mnie za silne, tego nie pojmowałem, zrobiło mi się lodowato zimno, poczułem słodki smak w ustach. Byle tylko się opanować, pierwsza myśl będzie najlepsza.

- Panie rotmistrzu, pan tego nie może... - zaczął Barylski.

- Powiedziałem: rozkaz, Niemcy o parę kilometrów, lada chwila jak ich tu patrzeć. Przecież on - pokazał na mnie ręką - otworzy ogień, wszystkich nas tu wybiją. Ogniomistrz wykona rozkaz natychmiast!

To mi zupełnie wystarczyło. Wolno zrobiłem krok w tył, szarpnąłem kolbę nagana. Barylski rzucił się na mnie zasłaniając ciałem Marcisza: Na miłość boską! Na pamięć swego ojca! Nie rób tego!

Poderwał się porucznik Tuński:

- Nie masz prawa wydawać rozkazu złożenia broni temu wojsku, a do tego w cywilne ręce. Teraz poniesiesz konsekwencje, oni strzelą ci w łeb, zobacz!

Obejrzałem się. Pierwsza trójka - Starzyński, kapral Wojczak i Kukurowski - trzymała w rękach gotowe do strzału karabinki.

I to ma być to nowe wojsko? To jakoby lepsze wojsko? Lepsi dowódcy? Wszystko, co w Polsce, było złe: rząd zły, wojsko źle dowodzone, oni dopiero nam pokażą, co to jest wojsko! Ładny początek! To wstyd, mało wstyd, to...

Marcisz chwilę stał bez słowa, wreszcie machnął ręką i odszedł - Róbcie, co chcecie - rzucił za siebie.

Porucznik Barylski objął komendę. Oddział wyruszył w kierunku na Ploërmel, ja ze swoimi w pół godziny później.

Kernes wpadł na pomysł, żeby wykorzystać ten czas i umundurować ludzi. Magazyn był nie ruszony i w pół godziny oddział wyglądał jak z Bon Marche⁶, wszystko nowiuteńkie: mundury, berety, owijacze, płaszcze, pasy, ładownice; nie pozwoliłem tylko brać butów.

Ale cholera Józek nie wytrzymał i dopasował sobie nowe żółte kamasze Będziesz ty wył na te kamaszki, Nosaczu.

Droga do Ploërmel trochę się dłużyła. Gorąco było wściekle i rozpalony asfalt ział żarem, drogi były puste i przez miasteczko przeszliśmy z poczuciem jakby winy. Ludzie w milczeniu i obojętnie witali nasz przemarsz - ani jednego słowa, ani jednego uśmiechu.

Przed samym wieczorem, w Peillac, dogoniliśmy pułk. Poszedłem zameldować się rotmistrzowi Minkowskiemu, który aż cmoknął na widok tak pięknie umundurowanego oddziału.

Przenocowaliśmy w ogrodach, odebrawszy uprzednio grabiącym angielskie magazyny paysanom trochę konserw i papierosów, których całe skrzynie targali, jak kto mógł - wozami, taczkami i na plecach.

Żał mi Kernes. Gdyby się szczęśliwie nie przytrzymał do jakiegoś motocyklisty, nigdy by się tutaj na tych swoich odparzonych nogach nie dowłókł. Ma całe stopy w ranach. Zachciało mu się żółtych kamaszków! Kto takiego upartego muła przekona? Trudno, musi jechać camionem.

*

Rano wyszliśmy na Redon. Wzięty w rękę oddział wrócił do równowagi, wczorajszy incydent poszedł w chwilowe zapomnienie, znowu jest wojsko!

⁶ Wielki i znany sklep w Paryżu.

Teraz idę ze swoimi na czele spiesznej kolumny, gros pułku załadowało się wesoło na zafasowane psim śwędem camiony. Tutaj na drodze zaczynamy coraz częściej spotykać swojackie grupy, beładnie wlokące się w tym samym kierunku. Widząc zorganizowany oddział, powoli zaczynają się samorzutnie dołączać; trochę młodych oficerów i podchorążych, sama rezerwa. Dowódcy już dawno ich odjechali.

Na głównym skrzyżowaniu dróg, przed Redon, spotykamy dowódcę 3 OR-u, majora Łączyńskiego, który postanawia okopać się na skrzyżowaniu, celem ubezpieczenia naszego odwrotu. Zostaje prawie osiemdziesięciu ludzi i trzech oficerów, między nimi Drobniak.

Dowództwo wycofującego się pułku obejmuje rotmistrz Kornberger.

Dostaję camion i zadanie dojechać do St. Nazaire, rozpoznać i ubezpieczyć.

Ale dlaczego ja? Przecież jest tylu oficerów! Sam się podstawiłem jak ten, co gra na fortepianie, a wszystko przez tego Nosacza, to jego był pomysł umundurowania plutonu. Początkowo mnie to bawiło, ale teraz przestało cieszyć.

Kierowca wielkiego camionu, sprawnie przechwycony na szosie, nie objawia wielkiego entuzjazmu na widok po zęby uzbrojonego oddziału. Jest marynarzem floty wojennej, ma beret z pięknym czerwonym pomponem i papieros wiszący w samym kąciku ust. Moje sąsiedztwo w kabinie też mu nie odpowiada, ale ma logiczne podejście do problemu: lepiej być kierowcą tych... Polonais, niż ryzykować dziurę w pięknym berecie.

Na szosie spotykamy nareszcie to, co kiedyś miało być armią III Republiki. Brudne to, zarośnięte, bez broni, obwieszeni tobołami i bidonami z winem, piechotą, na rowerach, camiony wojskowe pełne tego parszystwa. Patrzą na nas w milczeniu, spode łba. Jedziemy.

Dotarliśmy do St. Nazaire parę minut po piątej. Na ulicach przy wjeździe pełno naszych, są nawet samochody z oficerami; fotografuję uważnie jeden po drugim. Marynarz zna drogę do doków, zostawiam po drodze łączników. W dokach zaczyna się bieganie za możliwościami przeprawy przez Loarę, żeby gdzieś zahaczyć jakiś pokaźniejszy kuterek, jakąś większą łódź motorową. Wszystko natrafia na ponure milczenie.

O zmierzchu nadjechał z resztą pułku rotmistrz Kornberger; krótka odprawa oficerów. Postanowiono, że pułk pójdzie w kierunku na La Baule, ja zostanę ze swoim plutonem, bo jakiś urzędnik portowy doniósł, że na końcu wschodniego doku znajduje się duża łódź patrolowa marynarki wojennej i, ponieważ władam francuskim, mam za zadanie przekonać Francuzów o konieczności pomocy. Ze mną zostaje samorzutnie podporucznik Eckhardt.

Bolą mnie strasznie nogi od ustawicznego biegania, ale idziemy. Nad dokami przelatuje co pewien czas samolot niemiecki, ale ponieważ ani nie strzelał, ani nie bombardował, nie zwracaliśmy na niego uwagi i to nas zgubiło. Szliśmy brzegiem małej plaży, gdy wypadł zza dachów i spikował. Rzuciliśmy się jak na komendę w piach, zawarczała seria kaemów, zakurzył się piach, rzuciło ziemią. Wszystko za późno: na piachu zostało bezwładne ciało kaprała Uliaszka

Biegiem

W doku, ze dwa piętra w dole, stoi wielka łódź motorowa. Jest prawie zupełnie ciemno Oddaję komendę plutonu Eckhardtowi. Po namyśle zdejmuję z pasa nagan, oddaję Wilczyńskiemu i schodzę w dół.

Wpuszczono mnie do środka, sprawdzono, czy nie jestem uzbrojony. W maleńkiej kabince pięciu oficerów w rozpiętych mundurach z nieodstępnymi papierosami w kątach ust, w ręku szklanki z winem, pełno dymu, pół-ciemno. Przedstawiam się, mówię, tłumaczę, proszę - nie robi to żadnego wrażenia Nie mają rozkazu admiralicji i w ogóle armia, a tym bardziej nasza, nic ich nie interesuje. Obojętne ruchy głowy i... non! Próbuje od początku Mija już pół godziny, na twarzach tych ludzi nic tylko obojętna bezmyślność.

Ej, żeby nie zakaz Kornbergera, i do tego do mnie skierowany, żeby bez żadnych gwałtów, jedna seria z kaemu i woziliby nas jak te raby.

Wyprowadzono mnie na zewnątrz. Ludzi ani śladu, zniknęli. Co się stało? Jest zupełnie ciemno, ani żywej duszy, nieprzyjemna, jakby złowieszczą cisza. Od strony miasta dochodzą od czasu do czasu pojedyncze strzały karabinowe Jestem sam.

Idę brzegiem kamiennego mola w prawdopodobnym kierunku jakiejś głównej arterii. W dole mieniące się światłem księżycy fale biją niespokojnie o kamienne podmurowanie, nastrój jak do marsza pogrzebowego. Z bramy pierwszego domu na rogu wypełzła czarna sylwetka Kukurowskiego z erkaemem i skrzynką amunicji. Został jako mój łącznik. Eckhardt, nie mogąc się mnie doczekać, poprowadził pluton za rotmistrzem. Po dobrej godzinie nocnego błędzenia, ku wielkiej naszej radości spotkaliśmy pułk na samym skrzyżowaniu.

Brak mi czterech ludzi: Uliaszek zabity, Robizak ranny został w St. Nazaire, ale gdzie jest Szłaga i Starzyński? Czy im się co nie przydarzyło? Jak dowódca może gubić ludzi? Nie chcę wywoływać teraz awantury z Eckhardtem.

Dwiema wielkimi lorami przyjeżdżają Barylski i Kernes. Uruchomili je w opuszczonym przez Anglików parku samochodowym, mają pełne baki benzyny.

Teraz na wozy i jazda! Wozy idą pełnym gazem szosą nadbrzeżną. Mijamy La Baule i prawie brzegiem morza do pierwszego porciku, gdzie może znajdziemy przeprawę. W pełnym księżycu wjechaliśmy do Le Croisic. Maleńka portowa miejscina o wąskich uliczkach, ale w porcie duży magazyn benzynowy i budynek admiralicji. Wszędzie cisza nocy.

Wozy wracają po następną partię. Rotmistrz Kornberger poleca ustawić karabiny maszynowe na kierunkach i okopać, wyznacza służby.

Ja mogę się nareszcie przespać; rozkładamy się pod kasztanami przy nabrzeżu.

Rano awantura od samego świtu. Grupa oficerów francuskich, która nadjechała w nocy, zaczęła napastować Kornbergera. Wezwano mnie na tłumacza. Major Francuz w bardzo niegrzeczny sposób rozkazuje Kornbergerowi natychmiastowe opuszczenie miasteczka, bo w razie nadejścia Niemców uzbrojony oddział może ściągnąć represje na mieszkańców, a w ogóle wojna jest skończona.

Spokojnie tłumaczę, ale właściwie bardziej mnie interesuje nastrój i reakcja otaczającej nas gromady ludzi, którzy przyglądają się i słuchają sprzeczki.

W pewnym momencie Francuz, widząc spokój Kornbergera i jego argumentów, nabiera pewności siebie i machnąwszy pogardliwie ręką, wyrzucił: va t'en! - Precz!

Kornberger spokojnie, jakby z namysłem, bez pośpiechu zamachnął się i wyciął w mordę! Pięknie obszyty złotem kaszkiecik majora poleciał w tłum, major złapał się za okrwawione usta.

- C'est la réponse d'un officier polonais, mon commandant - uprzejmie objaśniłem.

Z milczącego tłumu wyszła kobieta ciemno ubrana, podeszła do majora i plunęła mu prosto w twarz!

- Lâche! - Tchórz!

Oficerowie francuscy bez słowa oddalili się w stronę budynku admiralicji, lufy naszych kaemów nie wyglądały zbyt zachęcająco.

Barylski ładuje dwie ciężarówki ludźmi i wiezie do La Turballe; tam jest duży statek idący do Anglii. Do La Turballe tylko kilka kilometrów.

Nabrzeże portowe zaczęło się zaludniać wyrrywającymi rodakami; wszystkie rodzaje broni, poza naszym oddziałem najwięcej z artylerii.

Nadjechał Barylski po następny transport, gdy prawie równocześnie jakaś nędza w czapce oficera marynarki przybiegła z budynku admiralicji z wiadomością, że trzy torpedowce angielskie wejdą do portu i mogą zabrać pewną, ograniczoną ilość polskich żołnierzy i że oni dostarczą dwie łodzie motorowe do przewozu na statki. Ponieważ byliśmy jedynym oddziałem wojska, i do tego uzbrojonym, mieliśmy pierwszeństwo załadunku.

Daleko na horyzoncie ukazały się smukłe sylwetki okrętów wojennych.

Rozkaz do załadowania pierwszego torpedowca dostał adiutant pułku, porucznik Piotrowski. I tutaj zaczął się kontredans - wrzask, krzyk, bieganina, trzy razy kazał nam zmieniać miejsce zbiórki, a gdy podeszła pierwsza łódź, to granda na cały regulator. Mój pluton ładował się pierwszy, ale zanim dotarliśmy do łodzi, już kilku przezornych zajęło miejsca, pułkownik Łakiński i znany jeździec, kapitan Dąbski-Nerlich, jakiś oficerzyna z artylerii i bodaj syn pułkownika w mundurze żołnierskim. Łódź była bardzo obszerna i wszystko by poszło naturalnie i spokojnie, gdyby nie duża, biała waliza pułkownika. To wystarczyło Piotrowskiemu:

- Co?! - wrzasnął - tu wojsko się ładuje, miejsca dla ludzi nie ma, a on walizy wozi! Do wody!

Moim marynarzom nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu, trzech skoczyło do łodzi.

- Stój!

- Panie poruczniku, moim ludziom ja wydaję rozkazy, a pan może tylko wydać rozkaz mnie... ładować się!

Jakoś przeszło, Piotrowski się uspokoił, ale posmaczek awantury pozostał.

Na torpedowcu powitało nas gromkie hura, jednak oficer dowódca, zobaczywszy nas tak uzbrojonych, zatrzymał mnie i łamaną francuszczyzną polecił oddać broń, tłumacząc prawem okrętów Jego Królewskiej Mości, że na statku nikt nie może mieć broni poza załogą okrętu. To mnie przekonało.

Ładowanie zajęło dobre dwie godziny. Na taki maleńki stateczek zmieściło się prawie trzystu ludzi. Pokład wystaje ponad wody nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Jeszcze nie ruszyliśmy, a już zaczęto nam rozdawać herbatę z mlekiem w blaszanych dużych kubkach i pajdy białego chleba z jakąś marmoladą.

Na statku oprócz naszych ludzi, którymi dowodzi Piotrowski, jest jeszcze kupa zbieraniny i kilkunastu oficerów, którzy ze strachu zdjęli gwiazdki. Na tych zaczął używać sobie nasz adiutant.

Nareszcie ruszyliśmy. Zdawało się, że przy tak pięknej pogodzie całe to wyczekiwanie i niepewność ostatnich godzin zakończy uroczą przejażdżka. Po kubku herbaty i na widok świetnie wyglądających marynarzy zmora ostatnich przeżyć rozlała się w niepamięci, ale jeszcze nie odeszliśmy daleko od brzegu, jeszcze między trzecim torpedowcem a portem krążyły łodzie, gdy zagwizdano na alarm...
Dorniery!

Kontrtorpedowiec nasz aż krztusił się szybkością wysyłanych pocisków. Boforsy, dwa działa, sprzężone pom-pomy pluły ogniem, jakby prześcigając się w sprawności, ale nasz podziw budziła obsługa, bez słowa, spokojnie, bez żadnego zbędnego ruchu, jak automaty! Nie na darmo mają opinię najlepszej floty świata.

Ledwie odlecieli pierwsi, już nadlatywali następni. Statek aż trząśnięto od wysiłku silników, szedł pełną prędkością, wijąc się jak piskorz między fontannami wybuchów. Niektóre wykwiwały niepokojąco blisko, lecz spokojne, uśmiechnięte, pewne siebie twarze załogi były dla nas jakby rękojmią bezpieczeństwa.

Przed zachodem słońca wydano nam herbatę, chleb i jakieś mielone mięso, nawet smaczne. Nastroje były dobre, wróciła pewność siebie, na wszystkich twarzach widać było zadowolenie, ale nie na długo.

Kapitan Dąbski-Nerlich wezwał mnie do pułkownika. Pułkownik Łakiński wydał mi rozkaz dostarczenia mu spisu wszystkich ludzi.

- Panie pułkowniku, melduję, że moim dowódcą jest porucznik Piotrowski i jemu przekażę rozkaz pana pułkownika.

Nadbiegł Piotrowski.

- Co? Spis ludzi! Komu?

Jako najstarszy stopniem oficer obejmuję komendę nad tym wojskiem - spokojnie powiedział pułkownik Łakiński.

- Co? Pan nad moim wojskiem? A gdzie pan zostawił swoje wojsko? Pan może sobie dowodzić swoim synkiem i tymi uciekinierami bez gwiazdek.

- Ja panu daję rozkaz!

- A ja pański rozkaz mam gdzieś! Dla mnie pan nie jest żadnym pułkownikiem, ale uciekinierem z własnym synkiem i walizkami.

Piotrowski obrócił się tyłem i kazał mi iść z sobą. Na to patrzyli ludzie.

Zaczyna się walka o władzę, o wykazanie się, o koryto. Piotrowski na pewno ma rację, ale można by to ubrać w inną formę, nie publicznie, przy wojsku. Nie zdaje egzaminu ten korpus zawodowy, jednostki tylko są dobre, reszta... pożałuj się Boże.

Pod wieczór rozdano nam trochę koców, zaczęło się robić chłodno. Żołnierze pokładli się gdzie kto mógł, zostawiając wolne przejście dla załogi. Wybraliśmy z Kernesem i Lisickim kącik zasłaniający nas od wiatru; Bolek Lisicki trząsał się całą z zimna, więc wzięliśmy go w środek. Przechodzący marynarz rzucił nam do okrycia swój gruby płaszcz wołfokowy. Zapaliliśmy. Natychmiast podbiegł marynarz i wyjął nam z rąk papierosy. Nie wolno!

Kernes podciągnął nakrycie pod brodę, ułożył nosisko, tylną na mnie okiem i zaczął pocieszać:

- Coś taki smutny? Martwisz się, że przyjaciół pogubiłeś? Nie martw się, wszyscy się znajdują, i Sikorski, i z nim cała wystawa żółtych butów z „Reginy”, i Marcisz cię z kwiatkiem powita w pierwszym porcie, a za to wymachiwanie pistolem to oni wszyscy cię uściskają, a jeśli ci za mało, to ten pułkownik też ci coś niecoś dorzuci.

Tak, moje perspektywy nie wyglądały najróżniej, podsumowanie ostatnich miesięcy nie dawało nadziei jasnego jutra. W Polsce wywinąłem się czerwonym, na Węgrzech dałem się wrobić łapsom z dwójki w tego porucznika; wyjść to wyszło, ale żeby mnie w porę nie uprzedzono i nie pomoc generała Jatelnickiego w Paryżu, to bym się sam usidlił na fest. Później to cholerne Coëtquidan! Było nie było ukradłem osiemdziesięciu ludzi, i to mi pięknie wyszło, ale awantura z majorem, a później ten cały Marcisz, tego mi zupaki nigdy nie darują; ten pułkownik - jak mówi Kernes - też mi coś dołoży.

Cała ta Francja, Paryż, Coëtquidan, ta cała organizacja, polityka, kłótnie, jakieś rozgrywki, to całe wojsko - to istny jarmark głupców, tu nie ma miejsca na homo sapiens, tu trzeba w najlepszym wypadku grać wesołka, ot tak trochę na Stańczyka.

Pokład cały drżał od wysiłku silników, zaczęło huśtać, ale torpedowiec szedł w tę czarną noc, tnąc wodę, której bryzgi wiatr rzucał na pokład. Zaczęło mi być coraz zimniej.

I jak tu usnąć? Zimno jak cholera i do tego możliwość powitania z... kwiatkami! Jak Żydzi mówią, czarny rok na mnie. Ale dlaczego?

Crawford, czerwiec 1940

„BARON”

Znowu łało, wlekliśmy się Ignąc po kostki w tym, co latem ma być piaskiem, a teraz obrzydliwą, czerwoną, oślizłą gliną, trzymającą się buta tak, że na każdym nieśliśmy chyba kilogramy.

I tu miał być podobno... raj!

Miała być Ewa bez majtek, wstydlivy Adam i chytry wąż z jabłkiem. Ten, co tę historię wymyślił, miał wyobraźnię na Nobla.

Kierunek wzięliśmy na łączność, bo tam Turek wywęszył jakąś okazijną popijawę. Turek na tym „terenie” był moim towarzyszem nierozłącznym. Pasowaliśmy do siebie jak przysłowiowy rycerz z La Manchy ze swoim famulusem. Prawda, że kompan był great! Dowcipny, inteligentny, cudownie wygadany, z górnym węchem na każdą podbawkę. Gdy tylko w promieniu brygady zapowiadało się albo celebrowano jakąś uroczystość imieninową czy inną galówkę, Turek w mig się przewiadywał. We dwóch urabialiśmy zaczepienie i... nie mogliśmy narzekać na brak urozmaiceń życia towarzyskiego nad Diyala⁷.

Ale ponieważ nie same rodziniki tkwią w cieście, i Turek miał swoje mankamenty. Pierwszy - to nieprawdopodobne uczulenie na zapach każdego alkoholu, drugi - to dziwna, rzewna słabość do kawalerii! Chłopak był z miasta, konia znał tylko z dorożki, ale ostrogi były dla niego symbolem czegoś jakby wyższego, no i naturalnie pchał się do kawalerskiego towarzystwa.

Stanąłem.

- Turek - mówię - mam dla ciebie niespodziankę. Dostałem zaproszenie na party. Staś Tunikowski przyjęcie urzęda w Karpackim Pułku, to będzie przyjęcie! Jedzenie prima. I trunki same „katolickie”.

- Co? W Karpackim Pułku, mówisz... A gdzie ja?

- Turek kochany, przyjacielem moim jesteś i zaproszenie pokrywa i ciebie, ale... pod kondycjami.

- Co ty mi tu z jakimiś kondycjami wyjeżdżasz? Jakie kondycje? Znowu się czegoś czepiasz!

- Odstaw czepianie! To sprawa poważna i w skrócie ci wyoślę, warunek sine qua non. Primo - że nie zalejesz się, bo daleko i znowu cię na plecach dźwigać nie będę, a secundo - niech cię ręka boska broni *Czerwone róże ...*

Don't dare!

Czerwone róże to był numer popisowy Turka w stadium ostatnich przebłysków przytomności i prawie zawsze ta „performance” była w konsekwencjach połączona z nieprzewidzianymi przykrościami, które zupełnie słusznie uważaliśmy za niezasłużone.

Zaczęło się w Krechowieckim. Podejmowano nas wylewnie, koniak palestyński szedł jak woda. Przebrnąłem przez wszystkie husia-susia niezliczonych żurawiejek, nastrój jak za prawosławia, atmosfera pełna uroku. Wypiliśmy już i za cara, i za rodzinu, i z lekka zacząłem się oglądać, jakby tu

⁷ Dopytyw Tygrysu.

zahaczyć kompana i przepilotować do wyjścia, gdy ku mojemu przerażeniu Turek był już na połowie środkowego masztu!

Na interwencję było za późno. Niech się dzieje, co chce. Wgramolił się pod sam dach. Tam poprawił cwikery, wyrócił ślepią jak bohaterski tenor i zaryczał... *Czerwone róże!* Doszedł prawie do połowy zwrotki i... gruchnął jak spod starej baby łbem w piach.

Co za sztemp! Ośmieszyliśmy się zupełnie. Nie będzie można się tam pokazać co najmniej dwa tygodnie. Cholera mu nadała te *Czerwone róże!*

Dwa dni nie gadaliśmy z sobą, trzeciego Turek złapał mnie za namiotem, mina pewna siebie, jakby nic się nie stało, i mówi:

- Słuchaj, Bohdan, możnych przyjaciół się ma! Przybojeszczak z Transportowej Zbigniewa celebrytuje. Sam rozumiesz. Tam „Dziubdzius” za komandira. Nawet whisky będzie, prujemy!

Popruliśmy!

I rzeczywiście, przyjęcie jak na Transportową, godne ludzi, co przy dobrach doczesno-wojskowych siedzą. Whisky była, ale Turek, daktylówką samorodną, a z rzadka żydowskim koniakiem pojony, whisky nie wytrzymał. Zaczął od swoich przygód wojennych w Polsce. Fantazję miał; dwa dublety z ekspresu⁸ do Dornierów zrobił, jakoś uszło. Ale gdy ryknął znowu *Czerwone róże*, wyprosilili!

I potrzebne to nam było? Drugie dobre miejsce straciliśmy.

Do ostatniej naszej eskapady to aż wstyd się przyznać. Mówiłem, prosiłem, przekładałem, że nie pasuje, że nie dla nas. Turek się uparł:

- Lorda robisz, w głowie ci się przewraca, towarzystwo ci nie odpowiada. A cóż to nie wojsko? A kto za ciebie w obozach siedział i cierpiał?

Nie dał mi dojść do słowa.

- Co, daktylówka cię w zęby kole, lordowski pinczerku! A gdzie demokracja? A francuski znasz?

- Pewno, że znam!

- To ja ci przytoczę napoleońskie przysłowie: na bezrybiu i rak sołowiej!

Daktylówka był to szatański wynalazek, który znajdzie swoje miejsce w „księgach pielgrzymstwa polskiego”.

Armia Paiforce'u dostawała przewidziany uprawnieniami przydział alkoholu, ale nasze góry sztabowe, przyzwyczajone do kurtyzowania wszystkich możliwych przywilejów, rezerwowały cały przydział do własnego widzimisię. Tak że butelka whisky docierała do szczebla batalionu tylko drogą „wysokich” stosunków lub jako wyjątkowy dar od uprzywilejowanego. Nikt nawet nie ośmielił się upominać o należny mu przydział.

⁸ Sztucer myśliwski.

A że potrzeba jest matką wynalazku, powstała daktylówka! Suszone daktyle rozgotowane w przemyconym z Palestyny spirytusie i - zależnie od pomysłowości - doprawione dżemem pomarańczowym albo esencją herbacianą. Smaku określić nie potrafię, natomiast skutki prawie zawsze... nieoczekiwane! Silniejsza od TNT⁹. Turek był tego zwyczajny i nawet sobie chwalił, ale mnie aż zarzucało.

Przekonany mądrością przysłów i wzięty na demokrację, zgodziłem się. No i co? Berety... zgubiliśmy. Ja mało płuc nie spaliłem. Trzy godziny, głęboką nocą, jak Hagar na puszczy nie mogłem się Turka z pustyni dowołać. Łaska boska, żeśmy obrażeń cielesnych uniknęli. Się ma trochę szczęścia i w nieszczęściu; pościg poszedł drugą stroną.

I czyja tu wina? Turek twierdził, że to „hymn narodowy” *Góralu, czy ci nie żal* podziałał mu na nerwy. Ja byłem zdania, że demokracja. Zgodziliśmy się na... daktylówkę. Na demokrację nikt mnie już w tym życiu nie nabierze.

Zaczęło się nam robić trochę ciasno i parę dni jałowych minęło, aż dopadł mnie drzemiącego w namiocie Turek.

Mam - mówi - imieniny w łączności, nie wiem czyje, ale szykują, sam widziałem, jak facet piwo z kantyny po cichu taskał. Słuchaj, Bohdan, ty tego nie lekceważ, a słyszałem, że tam ostatnio dwóch „lordów” narukowało, pewnie twoje koleżki.

Masz rację - Staś Affeltowicz tam wylądował, good friend of mine, możemy się zamówić.

No i wlecziemy się przez błoto tego... raj!

*

- Więc jak, przyjmujesz warunki?

Karpacki Pułk Ułanów był oddziałem rażąco wyróżniającym się od otoczenia, szła za nim legenda walk z Pustyni Libijskiej, wygląd, zwyczaje i pewna ekskluzywność; był przedmiotem zazdrości i zawiści całego korpusu.

To była zbyt duża pokusa dla Turka: Karpacki Pułk! Będzie się czym puszyć na „prawosławnych” popijawach.

- Zgoda! Przyjmuję twoje pacta conventa - wyciągnął rękę.

W sobotę, pięknie odziani, wzięliśmy azymut na Karpacki.

- Turek - mówię - pamiętaj, że to eleganckie chłopaki i pułk piękny, to nie „prawosławny naród”, żebyś się nie ważył nawet wspomnieć o daktylowce, tam tylko whisky i gin, to gentlemen. I tak mam problem z tobą, jak ja ciebie przedstawię? Podchorążym jeszcze nie jesteś, stopnia nie masz, a na sam dźwięk twojego nazwiska, pomyślą...

- Co! - wrzasnął Turek - ja Żyd? Jak możesz nawet pomyśleć!

⁹ Trotyl.

- Turek - mówię - wiesz, jak ja cię kocham, jak dwaj bracia chodzimy i nie obraż się, ale wyglądasz, jakby twoją babkę połowa lwowskich Żydów deptała, na to nic nie poradzisz, nie szarp się, tylko słuchaj. Ja i z tego wyjdę, za barona von und zu cię przedstawię. Trochę o Maksymilianie, zaczepię Marię Teresę, wrażenie to piękne robi i wezmą cię za swojego. Tylko nie wyrwij się z Franz Józefem, bo tam Zdański jakiś jego pociotek i możesz się wsypać.

Szliśmy parę minut w milczeniu.

- Dobrze - mówi Turek - mój dziadek był radcą, to niedaleko, tylko, proszę, zrób to poważnie, bo mogę paskudnie się wrobić.

Wszyscy już byli obecni, czekano tylko na nas. Kogo nie było! I Lothringer, i Paciorek „młodszy”, i Staś Mieszkowski, i Siemiradzki, i Andrzej Tarnowski, i Zdański, i Staś Holba, i Fangor - chłopcy jak z kwaśnego ciasta.

Przedstawiłem Turka uroczyście, przywitali serdecznie i z należyтым uznaniem.

Staś wniósł półmisek pieczeni z dzika, nalano... Po trzecim rozmowy ożywiły się, zapachniało innym światem. Cairo! Sheppard's Hotel, południowy drink w Auberge de Turf, basen w Ghezira Club i tancerki z Bhadii, i piękne Greczynki Aleksandrii, i... trochę oddechu z Pustyni Libijskiej i... *Lili Marleene*.

Na ten grunt Turek nie miał treningu. Na tle „rodziny” rozmów, których clou były nieustanne wyczyny w burdelach Teheranu, jego opowiadki i anegdotki były majstersztykiem, ale tutaj... nie wychodziło!

Gdy po czarnej kawie, w myśl niepisanego kodu Royal Armoured Corps, podano brandy and Ginger-ale, wszyscy mniej lub więcej byli dojrzałi.

Turek, gdy trzymał szklankę w ręku, nie znośił być przegadany. Nie mogąc doczekać się możliwości zwrócenia na siebie uwagi, przerwał Paciorkowi opowiadanie o jakiejś potyczce pod Tobrukiem i ku mojemu przerażeniu, skrytykował działanie, zaczął im... weteranom, on... rekrut bajdurzyć o taktyce broni pancernej.

Krew mnie zalała!

Drwiące uśmiechy pojawiły się na twarzach.

Za wszelką cenę muszę odwrócić uwagę od tych nonsensów! Zadzwońm w szklankę.

- Łaskawi panowie! Kolega mój, baron, którego przyjaźnią się szczycę, to nie tylko głęboka znajomość i wiedza przetrwanych dzieł przemawia przez jego usta, ale i dziedziczność tradycji pokoleń. Jeden z jego antenatów, wielki generał, sławą otoczył pancerz, który dzisiaj jest naszym symbolem.

Turek był zupełnie pijany. Poprawił cwikery i spojrzawszy na mnie mglistym okiem, machnął ręką w łaskawym geście przyzwolenia i niedbale powiedział:

- No dobrze, opowiedz panom o tym moim wielkim przodku. Na to tylko czekałem.

- Proszę panów! Wielki ten generał był dowódcą pierwszej dywizji pancernej, idącej w straży tylnej armii Mojżesza przy przeprawie przez Morze Czerwone, tylko - jak panowie mogą skonstatować to naocznie - ten skurwysyn się nie... utopił.

Wybuch śmiechu. Turek mało się nie wściekł! Ale w mig nalano szklanki i choć początkowo się opierał, musiał wypić pod commanding oficera pierwszej dywizji pancernej Mojżesza, a swojego wielkiego pradziadka.

Powrót był dla mnie bardzo ciężki. Turek za Boga nie chciał iść razem ze mną, tylko wlokł się kilkanaście kroków z tyłu.

- Znać cię nie chcę, z przyjaźnią szlus! Taki przyjaciel, a taki serpent jadowity, a w ogóle z tobą nie idę.

I rzeczywiście! Usiadł w jakimś rowku i zaczął zawodzić:

- Lwów mi zabrano, wszystko straciłem, przyjaciel najlepszy, jak ten Judasz Iskariota za parę kieliszków whisky, z dziadka mojego, porządnego człowieka, skurwysyna zrobił... Ja ci tego nie daruję.

- Turek - mówię - chodź, bo cię szakale zjedzą, a co zostanie, to jeszcze zmoknie.

- Nie idę, niech zjedzą... Chyba że odwołasz.

- Turek! Idziesz czy nie?

- Jak odwołasz, pójdę!

Wielkie krople deszczu zaczęły powoli bić w pustynię.

- Turek, zastanów się, przecież to nie twój dziadek, tylko jakiś pra-pra-pra, nigdy bym się nawet nie ośmielił obrazić twojego wielce szanownego dziadka hofrata.

- A nieprawda, nie o hofrata mi chodzi, tylko o tego generała. Z tak wielkiego żołnierza ty śmiałeś skurwysyna zrobić, na cały ród kalumnię rzucić, ty Judaszu.

- Zamknij się, Turek, i chodź!

- A nie pójdę, bo po pierwsze wstać nie mogę, a po drugie odwołaj!

- Do jasnej cholery... odwołuję! - wrzasnąłem.

- A znaczy, odwołujesz, ale czy ty mnie znowu nie nabierasz?

- Turek, jak ja bym mógł nabrać takiego przyjaciela?

- Judaszem, a nie przyjacielem jesteś, ale jak już odwołałeś, to choć pomóż.

To było beznadziejne. Turek miał nogi jak z waty i o wstaniu nawet projektu. A deszcz zacinał coraz mocniej i ciemno się zrobiło zupełnie.

- Za tę obelgę to mógłbyś mnie trochę ponieść - wykrztusił. - Śpiewać nie będę... obiecałem.

Co miałem zrobić? Za jego Judasza wciągnąłem go na plecy i tak powlekliśmy się w deszcz.

Irak, Kizilrabhat, zima 1942

LILY

Już w korytarzu baraku wykładowego uderzył mnie zapach dobrego mydła i tabac blond. Odruchowo poprawiłem nieskazitelnie wyprasowany bush-jacket i... pchnąłem drzwi.

Spokojnie, bez pośpiechu podniosło się z ławek ośmiu młodych oficerów w popielatych mundurach kawalerii Leclerca. Jeden rzut oka wystarczył... Saumur!¹⁰ Ruch głowy, sposób noszenia munduru, uczesanie, uważnie we mnie utkwione oczy, z delikatnym uśmiechem niedbałej uprzejmości, znamionowały przynależność do kasty!

Boże, co za kontrast!

Tydzień temu tłumaczyłem sierżantowi angielskiemu gunnery¹¹ czołgowe dla „klasy” polskiej.

Ośmiu starych samców w szortach i przepoconych koszulach - siedmiu z nich nigdy nie będzie miało nic wspólnego z czołgami. Ale jak nie wykorzystać dobrych stosunków w sztabie, żeby złapać taką okazję do spędzenia urlopu w Kairze? A tutaj... aż wstyd ich pokazać.

Jeden wyjątkowo był młody, porucznik o jasnej czuprynie, z cholernie historycznego pułku - historycznego, bo chyba jedyne w historii, co pobił się z własną piechotą. Ta, dawszy mu wstręt należyty, odesłała - jak mówił Benek Lipkowski - do historii. - Nie bój się - mówił - wojna się skończy, zrobią historię, laury i zaszczyty się posypią, a ty nie pyskuj, bo wody dają dużo i łatwo, a choć mnie kolano od ostatnich prysiadów strzyka, wódka za darmo.

Porucznik dokumentował swoją przynależność do broni wspaniałymi długimi butami o zabójczym połysku i fikuśnym kabacikiem ze srebrnymi guzikami. Egzotyczny ten strój nie tylko zwracał powszechną uwagę, ale budził zachwyt sprzętających esmów¹², którzy jego pojawienie się witali za każdym razem podziwem cmokających warg.

Sierżant, instruktor z baretką Military Medal, weteran spod El Agheila i Sidi Barrani, wykladał browning.

Regulamin zabraniał przerywania wykładowcy, ale nasz kawalerzysta co chwila miał nowe pytanie, które naturalnie musiałem tłumaczyć. Sierżant cierpliwie odpowiadał, ale gdy nasz „mołojec” uparł się o jakiś warunek bezpieczeństwa, instruktor położył kredę, długo, z twarzą bez wyrazu wpatrywał się w pytającego i zwrócił się do mnie:

- Tell him that if he is so much concerned about his safety, he got a wrong address Faruk's cavalry that's a right place for him.¹³

Bez zmrżenia oka przetłumaczyłem. Porucznik mało nie oszalał.

- Jak pan śmie! Ja pana nauczę! Mnie - oficera! Pan!

¹⁰ W Saumur mieściła się słynna szkoła kawalerii francuskiej.

¹¹ Wyszkozenie strzeleckie.

¹² Esma - pogardliwy zwrot arabski.

¹³ Powiedz mu, że jeśli on tak dba o swoje bezpieczeństwo, to trafił pod zły adres, właściwym miejscem dla niego byłaby kawaleria Faruka.

- Sit down - warknął sierżant i obróciwszy się do mnie z wyraźnie hamowaną furią, wycodził przez zęby:

- Tell this esma that I give him five second to... cool.¹⁴ Tego przetłumaczyć nie mogłem. Było nie było - polski oficer.

W myśl obowiązującego regulaminu tylko stopień i funkcja instruktora brane były pod uwagę... Przerwałem wykład!

Skarga na mnie poszła do szefa sztabu korpusu.

*

Abbasya była największym ośrodkiem wyszkolenia brom pancernej Jego Królewskiej Mości. Ponieważ ostatnie dwa lata doświadczenia brytyjskiej broni pancernej ograniczały się do walk pustynnych, tutaj na miejscu zbierano dane, wszystkie spostrzeżenia, wszystkie uwagi i na podstawie tych doświadczeń szkolono instruktorów i dowódców nowo powstających formacji.

Na kursy instruktorów przysyłano najbardziej doborowy element nawet z Anglii, każde miejsce było na wagę złota.

*

Pochyliłem głowę w ukłonie:

- Merci, messieurs!

Poczułem lekką tremę i... pot pod koszulką.

Przedstawiłem się. Coś jakby odciężało, ocieplało. Za kogo oni mnie brali? Zacząłem:

- Le canon! Armata, proszę panów, jest jak... kobieta. Za pieśczoć płaci... pieśczoć. A nie znosi lekceważenia. Armata ma... duszę, chers messieurs!

Dziwnie spoważniały te młode twarze, zawisły na mnie zaciekawione oczy.

Wykład potoczył się dalej.

Kiedy minęła godzina i wyszedłem zmęczony na zewnątrz baraku na tradycyjny smoke, podszedł do mnie wysoki, wytworny, o twarzy południowca lieutenant marquis de Biron, wyciągnął rękę:

- Aspirant! Le canon... kobieta i dusza... c'est très joli, et vous y croyez?

- De tout mon coeur, mon lieutenant!

Silny uścisk dłoni.

*

¹⁴ Powiedz temu esmie, że daję mu pięć sekund na uspokojenie.

Ostatni skończył, zostało jeszcze jakieś pół godziny, zanim przyjdą po nas wozy.

Teraz moja dotacja amunicji instruktora. Wszedłem do czołgu:

- Sergeant Bell! Will you load for me, please!

Tarcza sześćset jardów, czarna, „bull's eye”¹⁵ białe. Pierwszy poszedł dziesięć cali za wysoko. Coś mnie tknęło. Muszę uregulować armatę.

Jak zwykle: dwie nitki na krzyż i otwór iglicy, i lornetka, i... te dwa, mnie tylko znane clicki pokręteł lunety... Ready!

Poszedł... następny! I... następny!

Wszystkie trzy... bulls! Wystarczy!

Wylażłem z crusidera; wychodząc, lekko, ciepło dotknąłem zamka.

Podszedł Tom, szkolny driver czołgowy, rodowity londyńczyk, stary wyjadacz pustynny, ucho zostawił - jak mówił - na souvenir dla Afrika-Korps.

- Sergeant! Lily must be crazy about you! You never miss!¹⁶

Armata nazywała się Lily...

Wróciliśmy późno, bo jakiś nowy kierowca, niezwyčajny pustyni, zakopał wóz. Co za mordega.

Wszyscy rozbiegli się po barakach; powlokłem się do swego boksu, zrzuciłem koszulę pełną piachu... A teraz shower! Nawet tu na strzelnicy przebieraliśmy się do dinneru. Wszedłem. Z baraku obsługi już aż huczało. *When she comes... when she comes! Ipi-ja-ja... ipi-ipi-ja...*

I znowu perspektywa pijackiego wieczoru, kłębow dymu i zapachu piwa.

Po co ja tam pójde? Odechciało mi się wszystkiego. Noc ciszą swoją otulała pustynię. Na prawie czarnym niebie wielkie świecące gwiazdy jak zawieszony latarnie. Powoli poszedłem do parku, oparłem się o czołg, ramieniem objąłem lufę armaty i przytuliłem policzek do ciepłej stali.

Szakale zaczynały swój koncert.

*

Rano przyjechały dwie klasy Południowoafrykańców. Chłopy wielkie, ciężkie, płoworudawe czupryny, w szortach zawiniętych po pępki, i szwargocące Africaan¹⁷.

Tom splunął na ich widok:

- Bastards! They give themselves up in Tobruk.¹⁸

¹⁵ Dosłownie „oko byka” - centrum.

¹⁶ Sierżancie! Lily straciła głowę dla ciebie! Ty nigdy nie pudłujesz!

¹⁷ Żargon holenderski.

¹⁸ Dranie! Sami poddali się w Tobruku.

Strzelanie szło ospale. Wyniki były złe. Dwóch pierwszych ledwie spełniło warunki.

Słońce rozżarzyło pustynię do białości, gorące powietrze falowało, dając złudzenie pulsującego horyzontu. Amunicja zaczęła się pocić.

Zadzwonił aparat stojący na skrzynce. Kapitan Thompson, kierownik strzelnicy, podszedł leniwie i podniósł słuchawkę.

Nagle podrzuciło nim. Zesztywniał. Podciągnął się na „attention”:

- Yes, sir! - wrzasnął i upuścił słuchawkę. - General Morgan is on his way!

Jego tylko tu potrzeba! Na taki żar, przy tych afrykańskich żłobach! Morgan był głównym inspektorem broni pancernej His Majesty. Z tumanu kurzu wypęzły kilkanaście jeepów.

Podjechali!

Mały, energiczny, czapka z czerwonym otokiem - generał, a koło niego tłum oficerów w czarnych beretach i czapach ze złotymi daszkami.

Od tych... w czarnych beretach... nie mogłem oderwać oczu. Wysokie to, smukłe, eleganckie, z badgeami najlepszych pułków. Portki od... Colicoata¹⁹, kolorowe szarfy, w rękach białe końskie ogony²⁰, baretki MC i DSO. Pewni siebie, wyniosli, o twarzach spalonych wiatrami i słońcem Pustyni Zachodniej. Asy! Royal Armoured Corps! Westchnąłem, psiakrew! To... to jest wojsko!

Strzelanie szło dalej. Stałem na czołgu kontrolując czynności obsługi działa.

Coraz gorzej!... Ostatni pawian miał tylko dwa trafne.

Strzelaliśmy na 600 jardów do makiety czołgu naturalnej wielkości w ruchu, przebieg 150 jardów, warunki: pięć strzałów na dwóch przebiegach. Czarny czołg miał w środku białe bull's eye stopa na stopę.

Generał zupełnie wyraźnie był niezadowolony i mimo że spocony Thompson usiłował mu coś tłumaczyć, zdradzał objawy zniecierpliwienia.

- Stop firing! - padła komenda.

-- Sergeant Tymi, you are the gunner! Sergeant Bell will load for you. - I am in command! - krzyknął Thompson.

- Yes, sir! - szcękaliśmy równocześnie.

Bell wskoczył pierwszy, ja za nim. Mrugnąłem okiem:

- Bell, sixteen per minute! - Kiwnął głową z uśmiechem. Poprawiłem się na siodełku, ręce na pokrętłach, oko w lunetę! Widać dwa wały piachu ochrony celu i rozpaloną pustynię z białą, drgającą linią gdzieś za diunami.

¹⁹ Słynny krawiec oficerów kawalerii angielskiej.

²⁰ Do odpędzania much.

Lewą ręką dotknąłem lekko gorącego jeszcze zamka, ot tak.

- SixpounderL. AP!²¹

Szczęknął zamek! Uśmiechnąłem się do Bella, który zgięty trzymał już następny pocisk gotowy do załadowania.

- Traverse... right! Six hundred... Hornet!²²

Za wału wyszedł czołg! Lekkie drgnięcie prawej ręki, niteczki przed białą plamką... Nacisnąłem spust!

Targnęło lufą! Poszedł!... Szczęk zamka. I następny, i następny... i następny!

- Thank you, Bell! Good show!

Wyskoczyliśmy.

Generał odjął lornetkę z uśmiechem powątpiewania:

- As a rapid fire very good, but? - wykrzywił usta.

Chwilę czekaliśmy na podanie rezultatu, zadzwonił telefon. Thompson podał generałowi słuchawkę.

- Five bulls! I can't believe it!

Ręką skinął na samochód, podjechał łaźnik. Już w biegu skoczyło nań z tyłu dwóch w czarnych beretach. Widać było, jak długo oglądali tarczę.

Thompson już z miną pewną siebie zaczął autorytatywnie się wymądrzać przed gromadą pozostałych oficerów.

Wrócili. Stałem wyprężony; przyjrzał mi się z zaciekawieniem, wyciągnął rękę:

- Congratulations, great shooting! Podszedł Thompson:

- Sir! Staff sergeant Tymi is the chief gunner of Number Seven Gunnery School.

Generał rzucił okiem po twarzach, jakby szukając aprobaty:

I name you the gunner number one of Eight Army.

Thank you, sir!

Przez koło otaczających nas oficerów precyzyjnie się Tom, stanął przed generałem, trzasnął kopytem w piach, poprawił drugim.

- Sir!

Generał obrócił głowę i miejsce, na którym kiedyś było ucho, zwróciło jego uwagę.

²¹ Armour piercing - pocisk przeciwpancerny.

²² Umowna nazwa czołgu w angielskich komendach ogniowych.

- Lily loves him!

Na twarzy generała grymas zniecierpliwienia. Ostrem głosem zapytał:

- Who the hell is Lily?

Zapomniał o dyscyplinie Bovingtonu²³ Tom, driver szkolny, wyciągnął rękę w kierunku czołgu i miękko głosem wyszeptał:

- The gun, sir. - Armata, panie.

I tak już zostało...

Egipt, Cairo, Abbasya, maj 1943

²³ Bovington - szkoła broni pancernej w Anglii.

BY THE BOOK²⁴

Piedimonte, noc 24 maja 1944

Dlaczego nie strzelają?

Pytanie to wisiało nam na ustach. Od przeszło pół godziny ani jeden pocisk, ani jedna seria nie padły na nasze mizerne stanowiska.

Dym i kurz zaczęły wolno opadać. Przejrzało granatowe niebo ze smugami białych pasów, kryjących migotające gwiazdy. Za nami daleko w dole błyskały ogniki odpałów, pociski szły wysoko z lewej strony w przestrzeń przed nas. Co chwila sznureczek czerwonych koralików piął się ku górze, szukając czegoś między wzgórzami.

Noc z wolna brała w posiadanie całą dolinę, szczyty górskie i nasz odcinek.

Dochodziła północ...

Napięcie powoli opadało, rozluźniały się mięśnie.

Białe od kurzu twarze Jodisa i Stapińskiego, o zapadniętych ze zmęczenia oczach, przypomniały mi o tych dwóch dniach i tej nocy w dymie, kurzu, huku, bez chwili odpoczynku, wytchnienia, bez kropli wody.

W czaszce mózg płynny, bulgoce. Rwą się myśli, jak szczekanie psa.

I na co to wszystko?... I wielkie słowa, i wielcy ludzie. „Quam dulce et decorum...” Jakie to śmiesznie małe przy tych zmęczonych twarzach.

Snu! Za wszelką cenę snu!

Zsunąłem się z wału. I tu, właśnie tu przypomniiał o swoim istnieniu. Zaraza! Cholera! Gorszy od zęba... odcisk! Miałem go chyba od urodzenia i wspomnienia z nim związane były nie tylko bolesne, ale i niefortunne.

W szóstej klasie, przed samym końcem roku, tak mnie zaczął pić na lekcji łaciny, że zdjąłem but. Pech chciał, że staruszek profesor Wileński wyrwał mnie do tablicy. Wyskoczyłem... bosso!

- Nu, za drzwi! - padła komenda.

Za głupie śmiechy dwóch koleżków dostało po pysku. Ale dwójka z łaciny została.

W parę lat później we Wrocławiu, chyba w 1927 roku, tak mnie dopijał, że Rhode posłał mnie w drugiej na deski. Stamm szalał! A ile potańcówek zatrutych...

Przetrwiał wszystkie najbardziej wyrafinowane zabiegi, od rad starego owczarza do dwudziestozłotowej operacji w kalotechnice warszawskiej.

²⁴ Według instrukcji.

Ale dlaczego teraz? Teraz, kiedy robi się cicho i choć ta jedna chwila na zamknięcie oczu!

Powlokłem się do dziury pod rozwaloną chałupą, którą zajmowaliśmy w trójkę: Cybruch, ja i przedstawiciel herrenvolku, którego już od dwóch dni włoskie robaki rozkładały powoli na czynniki. Gdyby choć nie śmierdział! A śmierdział tak strasznie, że brakło porównań.

Cybruch miał charakter! Siedział twardo w głębi dziury, znosząc smród z „cybruchizmem” drażniącym nawet nieboszczyka, którego słyszeć było coraz potężniej.

Wgramoliłem się do piwnicy, sadowiąc się przy otworze.

- Co słyszeć? - warknął Cybruch.

Odpowiedziałem językiem ludzi rasy, której logika przetrwała stulecia.

- Co ma być słyszeć?... Słyszeć!

- Ot, sprawozdanie sytuacyjne!

Usadawiłem się między kamieniami i powoli zdjąłem but - co za ulga! Zaczęło mi się robić prawie przyjemnie, mimo że dziura parszywa, że kamienie twarde, że Cybruch, że smród.

Żeby to jasna cholera! Czarny rok na mnie! Pełno ognia! I huk! I warkot kaemów, i dym... Wypad!

Złapałem jedną skrzynkę i wyskoczyłem na zewnątrz. But,, został!

Z wału koło czołgu Kuczuka trzech ludzi wali się w dół. Czwarty z kolanami pod brodą wyje jak zwierzę. Lecą kamienie, wybuchy ręcznych granatów, z dołu zaczęła artyleria.

Wgramoliłem się w opuszczone stanowisko. Poderwałem podstawę, wywrócony browning postawiłem na kierunek.

Dotknięcie żelaza włączyło automat mózgu... zawodowca! Odpadło zmęczenie, ociążałość, apatia. Wszystko stało się takie jasne, przejrzyste, dziecinnie proste.

Dwukrotne uderzenie dłonią w górną pokrywę. Szarpnięcie taśmy! Rączka... dwa razy do tyłu!

Przez dym, na tle błysków zatańczyły w szczybinie biegnące sylwetki.

Palec mechanicznie nacisnął na spust.

Cztery... trzy... cztery... trzy... cztery... trzy...

By the book...

Crocette, 24 sierpnia 1944

ON VOUS ATTEND POUR LE DINER

Trzasnął prawie między nami. Biały, gryzący dym fosforowego pocisku zasłonił mi i czołg, i Pirożka. Krztusząc się, przez zażawione oczy starałem się umieścić linę w zaczepie.

Drugi! Gotowi nas obu utrupić.

- Ready! - wrzasnął Pirożek.

Moja Markiza siedziała pyskiem w rowie i widać było tylko śmiesznie wystający kuper. Powoli... powoli naprzód naciągały się liny, Jodis włączył tylny bieg, czołg się zakotłosał i wolniutko zaczął wysuwać się z rowu; byle tylko liny nie pękły.

Czołg Pirożka pracował pełnym silnikiem... Jest!

Aż mną rzuciło o ziemię! Gdzie jest Pirożek? W tym gryzącym dymie nic nie widać. Z kłębiącej się bieli doleciało mnie: - Czy pan nie dostał?! - Westchnąłem z ulgą.

W mig zwinęliśmy liny, każdy swoją. Z czołgu wyrzucono mi dwie nieskazitelnej białości damskie koszule i zaczął wyłazić Kobierzycycki...

Do czołgu! - Niechętnie zsunął się z powrotem.

- Rozładować!

Szczęśliwie pocisk wyszedł im cały. Lufa była pełna błota.

- Wycior!

Przepchnąłem jedną, drugą koszulką, delikatnie wytarłem wylot i pchnąłem raz jeszcze, by nie pyskował, że o nią nie dbam. Wiadomo, Markiza...

Już słońce było wysoko, gdy dostałem rozkaz natarcia na pasmo zadrzewionych wzgórz, które jak kołnierzem zamykały rozrzucone na skłonach winnice i poletka ze złożoną już w kopki pszenicą. Szwadron szedł jeden w przód. Tym „jeden” był mój pluton.

- Podchorąży Pirożek!

- Yes, sir!

Tędy szwadron nie przejdzie. Idziemy w prawo. Co?... Wankiewiczowi przestrelili chłodnicę! Co on tyłka nadstawia? Rusinek, powiedz podchorążemu Wankiewiczowi... żeby się powiesił.

Tam, o sto metrów, jest drugi rów, zaraz za tymi krzaczkami, wal, pan, na gazie, ja idę z pana lewej strony, za rowem skręć na lewo i brzegiem tych kopek pszenicy prosto na te wysokie drzewa, na pełnym gazie... Wykonać!... Yalla!²⁵

Skoczyliśmy na czołgi równocześnie.

²⁵ Uciekaj, jazda (arab.).

- Kierowca! Na miejscu w prawo!

Zakołysał się czołg, zagrały silniki... gaz! Szliśmy całym rozpędem. Pierwszy do rowu dopadł Pirożek! Błoto bryznęło, że przez chwilę nie było go widać... My!

Stuk skrzynek! Pociski! Wszystko leci na nogi, połowa przegród pusta! Ale... przeszliśmy!

- Kierowca! Na miejscu w lewo! Przy samych krzakach i... gaz! Na miłość boską!... Gaz! Jeśli tam jest jedna armatka, to spotkamy się jeszcze z Pirożkiem, ale w krainie Wielkich Łowów.

Szliśmy pod górę na pełnych silnikach, przez skłón całkowicie odkryty od prawej strony. Jeszcze ze trzysta jardów... i wchodzimy na wzgórze. Wąska dróżka biegnąca wzdłuż grzbietu.

Z winnicy na skłonie, tuż przy czołgu, wylazły trzy niemieckie ofiermy z podniesionymi do góry rękami. W dole za nami czołgi szwadronu zaczynają przeprować się przez rów na Valentine bridge. Skręciłem na dróżkę w lewo, z prawej strony ściana drzew, z lewej skłón z winnicami, widoczność przed siebie nie więcej jak pięćdziesiąt jardów.

Taki śliczny, spokojny zakątek, jakby nie było wojny. I zielono, i las, i cisza, i taka dróżka...

Tu można jednak cholernie oberwać. Przekręciłem do siebie browning, dochodzimy do małego zakrętu, szarpnąłem rączkę dwukrotnie do tyłu... na wszelki wypadek.

Z prawej mała luka między drzewami.

- Stój!

Jesteśmy na wysokim, długim grzbiecie wzgórz, przez lukę między gałęziami widać kilometry mieniącej się zielonością przestrzeni. Orientuję mapę. To miasteczko przylepione do zbocza, o tak cudownym kolorycie dachów skąpanych w zieleni, to Numana! W dali, w tyle, to wysokie wzgórze... Conero! Widoczność z dziesięć kilometrów.

Pod nami, jakieś tysiąc dwieście jardów, główna szosa na Ankonę, ocieniona koronami drzew; w dole, w zieleni, dwie czerwone plamy dachów. Trochę dalej szosa skręca na prawo i widać dokładnie całą jej biel.

I właśnie tam!... Spod koron drzew wyszła kolumna. Motocyklista, trzy samochody ciężarowe i dwa furgony zaprzężone w konie... Frajerzy!

- Działo... granat... w lewo... w dół!

- Pierwszy samochód...

- Tysiąc dwieście!

Nie dokończyłem, targnęło czołgiem... Samochód zarzuciło w rów. Drugi! Czarna chmura dymu, furgony z końmi z miejsca runęły w krzaki.

Trzeci! Dym zasłonił wszystko.

Ale szosą rwał ten na motorze, szedł powietrzem, już był może o dwa tysiące jardów, już dochodził do drugiego zakrętu... Szarpnęło lufą!

Czy kto w to kiedyś uwierzy? To trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. Pocisk wyciął przed niego w sam środek szosy! W powietrzu zawirowały kawałki motocykla.

Przetarłem lornetkę i lekko kolaniem dotknąłem pleców Kobierzyckiego. Obrócił głowę, z uśmiechem przymknął jedno oko, wyjął usta i z dumą lewą rękę położył na zamku armaty.

Ukłuło mnie w sercu. To zupełnie jak... Lily!

- Naprzód!

Mały zakręt i dróżka schodzi w dół. Z lewej strony szary mur i duży dom z żelazną bramą wjazdu. Podchodzimy do bramy.

- Stój!

Jesteśmy u wejścia do małego miasteczka, nasza dróżka dochodzi do głównej drogi.

Jakiś wariat zaczyna wstrzeliwać się z kaemu w mójczołg. Pocisk trzasnął w skrzynkę amunicyjną browninga.

- Kaem w prawo! Pierwsze trzy domy! Luka... ogródek!

- Krótkie serie... sto pięćdziesiąt!

Przełączyłem na „A”, Jadwisiak wzywał mnie, określając swoje położenie. Podałem moje. Szedł do mnie całym szwadronem przez winnice na zboczu. Rozkaz... czekać!

Sieć cała rozszalała się melodią przedpola; zacząłem z meldunków odtwarzać obraz sytuacji. Pułk szedł trzema szwadronami na naszą miejscowość... . Crocette.

Zdawało mi się, że ktoś stuka wczołg, obejrzałem się w dół. Przy samymczołgu ciemno ubrane kobiety z podniesionymi do góry głowami coś do mnie mówiły. Jedna starsza, dystygowana, o siwych włosach, ze sznureczkiem białych pereł na szyi, ta bliżej - śliczna dziewczyna, o smagłej cerze, wielkich brązowych oczach i włosach koloru ciemnej miedzi. Ona te włosy chyba farbuje?... Zdjąłem hełm ze słuchawkami.

- Est-ce que vous êtes des Anglais ou des Américains?

- Non, madame, nous sommes des Polonais et maintenant prenez l'abri et vite!

- Mais on vous attend pour le diner, mon capitaine.

- Merci pour la promotion... Bellissima!

Oboje parsknęliśmy śmiechem... Ręką pokazałem na dom. Imshi!²⁶

Ociągając się odchodziły, miedzianowłosa obróciła głowę. Co za dziewczyna!

²⁶ Prędko (arab.).

I jak tu powiedzieć, że wojna nie jest cudownym zjawiskiem? Urocze i słodkie wspomnienia Szkocji, szalone Kairu i Aleksandrii, a tutaj uśmiech takiej dziewczyny i tyle zieleni, i pełno słońca, i zapach wina, i radość walki, i oddech tego wspaniałego życia, co rozwala mi klatkę piersiową aż do bólu żeber, i w głowie się kręci...

A mnie tam kazano cierpieć!

Szkocja... śliczny obrazek! Jakiś nowo kreowany ojciec ojczyzny wołał do nas wielkim głosem, że mamy kochać ojczyznę, że mamy dla niej czy za nią umierać, rezerwując sobie jedynie prawo do życia. I było nawet wesoło, tylko Namitkiewicz się znowu upił i Żenię²⁷ aż roznosiło.

No! Nareszcie idą nasze czołgi, jeden za drugim wali przez kurz na skrzyżowaniu, porporczyk dowódcy pułku! Brawo, Motyka! I rozkazodawstwo dobre, i... idzie w pierwszej linii, i kto by pomyślał? Stary „kapitasa” z piechoty, a tak się wyuczył, no, no!

Zakurzyli całe miasteczko, nic prawie nie widać. Z prawej idzie nasz szwadron, wyskoczyłem zameldować się dowódcy.

Jadwisiak wychylił się do mnie z czołgu:

- Idziemy na prawo w dół, podobno przeciwnatarcie. Pan zostanie na ubezpieczenie wiszącego skrzydła.

- Yes, sir!

Przeszli, jakby się paliło. Jeszcze nie opadł kurz, a już wylądował pierwszy! W sam środek skrzyżowania, niepokojąco blisko naszej Markizy, ciężka... psiakrew! Wskoczyłem.

- Kierowca! W lewo, pod róg kościółka!

Jodis wymanewrował i oparł się tyłem o sam mur. Teraz mamy masę czasu, i można się rozejrzeć. Z daleka między dachami widać górę Conero, okładaną pieczołowicie wybuchami naszej artylerii. Oho! Jedzie drugi...

O Jezu! Cegły, dachówki, gruz, piach, kurz! Wszystko na moją głowę! Zwaliło mnie na podłogę czołgu, można się udusić. Piasek w gębie, w oczach, w nosie, w czołgu całe rumowisko.

A to mnie urządzili! Kark boli jak cholera i lewy łokieć sztywny. Wygramoliłem się na zewnątrz. Na tyle czołgu fura cegieł i gruzu, pocisk zwałił cały róg kościoła prosto na nas.

Krztusząc się wyleźli wszyscy na zewnątrz. Ładny widok! W czołgu ruina. A my... pożał się Boże, białe jak młynarskie czeladniki.

- Oczyszczyć czołg, sprawdzić mechanizm wieży!

We dwóch ze Stapińskim zaczęliśmy zwalać rumowisko z tyłu czołgu.

²⁷ Pułkownik Eugeniusz Świącicki, dowódca 9 pułku ułanów.

Jedzie trzeci! Na ziemię!... Znowu w skrzyżowanie. To ten kurz ściągnął na nas tę zabawę.

Skąd oni strzelają? Cholerne wybuchy, co najmniej 240 mm, taki obusik to i czołg rozwali. Dobrze, że choć pojedyncze strzały, przy nawale to by dopiero było wesele!

Trzeba się rozejrzeć. Przemknąłem się przez główną bramę na drugą stronę. O, znowu jedzie! Wskoczyłem do bramy. Wyciął w sam środek szosy- odłamki, kurz, dym, w bramie ciemno i dym aż się kłębi.

- Spotykamy się zawsze w równych mniej więcej okolicznościach.

Aż mnie zamurowało! Znajomy głos! Z kurzu i dymu wyjrzała lekko uśmiechnięta twarz pułkownika Bobińskiego.

- Panie pułkowniku, przecież tu...

- Tak, trochę dymu i huk, a co, pan czołg stracił?

- Jeszcze się ten nie urodził, co by mnie złapał na skrzyżowanie nitek pierwszy, panie pułkowniku.

- I ja tak myślę. A gdzie pan stoi?

-~ Pięćdziesiąt metrów stąd, za rogiem kościoła, wraz z moim drugim czołgiem ubezpieczam prawe skrzydło wzgórz.

- A gdzie pana trzeci czołg?

- Przestrzelona chłodnica, panie pułkowniku.

- Niech pan siada.

Usiedliśmy pod murem. Zapadła chwila milczenia. Wyciągnąłem papierosy:

- Pan pułkownik pozwoli? - Z uśmiechem skinął ręką, nie zdążyłem zapalić... - Panie pułkowniku! Idzie!

Przylepiliśmy się do muru; huknął przed samą bramą, runęła jedna połowa drzwi, trzask po ścianach i znowu pełno dymu i ostrego zapachu trotylu.

- Lepiej niech pan wraca do czołgu i czeka na dalsze instrukcje.

- Rozkaz, panie pułkowniku! Wskoczyłem w dym.

W czołgu kończono robić porządek, w tym czasie Faszczewski dowiózł amunicję, Kobierzycki sprawdzał obroty wieży i zadowolony z rezultatu zatarł ręce. Z dołu dochodziły do nas ciągłe odgłosy uporczywej walki, terkot kaemów i huk naszych armat i sieć cała aż gotowała się od krzyżujących się rozkazów, ale to wszystko było daleko poza nami.

Słońce zaczęło cholernie dopiekać, miasteczko jak wymarłe, nawet niemiecka artyleria przestała się nami interesować, nic, zupełnie nic... Zaczęło się czekanie.

A może by tak skoczyć? Nie dalej jak dwieście metrów do parku, Pirożek stoi na połowie drogi. Można by się jakoś zamówić, taka śliczna! Jeszcze jego cholera tam zanieś. Nie! Z taką gębą na młynarczyka pokazać się nie mogę, ta dziewczyna pasuje do fraka.

Panie poruczniku, a może by tak obiad? Dochodzi już pierwsza.

Zgoda, szanowny panie Stapiński, robimy obiad.

W mig wyciągnięto dwa prymusy i zaczęto wyjmować ze skrzynki osprzęt jedzeniowy; nic się nie potłukło.

Osprzęt jedzeniowy był obiektem pewnego rodzaju troskliwości całej załogi. W Piedimonte, z gruzów domu jakiegoś miejscowego notabla, wyciągnęliśmy trochę dobrej Faenzy i kilka kawałków niezłego srebra, od tego czasu w tym czołgu jadało się tylko na porcelanie i srebrem, i to pozostało... prawem. Obrus i serwetki, ręcznie haftowane, były prawdopodobnie pozostałością wyprawy czyjejś prababki.

Naturalnie, kochane chłopaczki latały z ozorami po innych plutonach, a Kobierzyckiego „ja-jaki pan taaki kraam” obiegał cały pułk, robiąc niepotrzebnie dużo złej krwi.

Pociągnąłem do Pirożka. Tam też z nudów cała załoga przegryzała, popijając świeżym winem, które nalewał im z potężnej fiasci o roześmianej gębie, spod ziemi wykopany contadino.

Gorąco było takie, że żar aż kapał z nieba, liście straciły swoją żywą poranną zieloność i trudno było się zdobyć nawet na wysiłek otwarcia gęby. Na widok jedzących i mnie zachciało się jeść, i powoli powlokłem się z powrotem.

Tutaj już wszystko było przygotowane do obiadu. Jodis nalewał zupę i wyrecytował menu: zupa grzybowa, na drugie wieprzowina z zielonym groszkiem, gruszki australijskie, czarna kawa, biskwity i ser; niestety, biskwity były słodkie, wino było jeszcze z wczoraj, zostało nam pół jerry-cana, do tego białe i ciepłe.

Jedliśmy w milczeniu, wolno, jakby z musu, ale już przy kawie zaczęła się awantura. Poszło niby o zmywanie, ale powód był głębszy: wczoraj w nocy Jodis ograł ich wszystkich w pokera, i to na czysto.

- Panie poruczniku, nie dość że zabrał mi ostatniego lira, ale jeszcze zapisał na osiemset - jęczał Stapiński.

- A mnie zapisał na tysiąc - warknął Rusinek. - On musi coś chachmęcić.

- A nieprawda! - odszczeknął się Jodis. - Oni się na mnie od dawna zrywali i namawiali, a ja im stale „staną schvaiya”²⁸, aż zagraliśmy, a teraz się skarżą. Sam pan porucznik mówił, że poker to nie jest gra towarzyska ani dla przyjemności - to jest poker.

- Ty się mną nie zaślaniaj. Ty, Jodis, grasz w pokera quies kateer²⁹, ale ty ogrywaj inne plutony, a nie swoich, teraz oddaj im, i to iggr³⁰, wszystkie feloos³¹ i wykreśl te zapisy.

²⁸ Powoli, poczekaj (arab.).

²⁹ Bardzo dobrze (arab.)

³⁰ Zaraz, natychmiast (arab.).

- To krzywda, panie poruczniku, niech choć po połowie, a zapisy na kredyt to już daruję.
- Zgoda, niech choć odda połowę - pośpieszył się Stapiński.
- Jak się godzicie, to dobrze, ale żeby mi więcej tego nie było. A teraz zmywać i pakować.

W końcu uliczki, przez drogę nie dalej jak sto kroków, duży sztyd: trattoria. Trzeba zobaczyć.

- Stapiński! Weź tommyguna! Poszliśmy.

W drzwiach, jak w Ismaila, sznury nawleczonych brązowych i czerwonych wisiorków - podobno dobre na muchy; wszedłem.

W sali na ławkach i krzesłach pełno Niemców. - Achtung! - wszyscy zerwali się z miejsc. Byli bez broni, nasi jeńcy, których tu przysłano i kazano czekać. Z ławki wolno, trzymając brudną szmatę na głowie, zaczął podnosić się oficer, major. Szybko podszedłem.

- Sitzen sie! - lekko podniosłem jego rękę i odchyliłem szmatę. Zrobiło mi się słodko w ustach; kawałek czaszki odłupany, widać białą błonę mózgu, ale nie ma krwi.

- Stapiński! Do czołgu! Niech Rusinek wezwie lekarza... natychmiast. Wyjąłem papierosy, zapaliłem dwa i jeden wsadziłem rannemu w usta; mrugnął oczami. Machnąłem ręką, by usiedli.

Stałem w drzwiach czekając na sanitarkę. Minęło może cztery minuty, zajechała; na stopniu stał Stapiński. Wysiadł Rutana:

- Co się stało?

- Jędrak, ten oficer jest ciężko ranny.

- Co ty mi głowę zawracasz! Ja nie mogę sobie dać rady z naszymi, a ty mi Niemca pchasz. Niech idzie do tyłu.

- Jędrak, zrób to dla mnie. Dziś jemu, jutro... mnie.

- No dobrze, ty Don Kichocie, zawsze mówię, że ty się na tę wojnę nie nadajesz. Dawaj go!

Zniesiono opatrunkowy kit. Jędrak powoli, dokładnie bandażował głowę rannego.

- Zabieram go z sobą. Uśmiechnąłem się dziękując.

Ranny idąc do wyjścia, stanął, obrócił obandażowaną głowę, spojrzał mi w oczy i poruszył wargami. Zasalutowałem. Skierowałem się do drzwi... Z trzaskiem, bez komendy, powstali.

Już z daleka Rusinek wymachiwał do nas rękami.

- Panie poruczniku! Radio! Wsadziłem hełm ze słuchawkami.

³¹ Pieniądze (arab.).

Jadwisiak! Przysłała mi dwa czołgi, podchorążych Armatę i Lesiaka. Po co? Przecież tu cisza i spokój jak u babci i na nic się nie zanoszą. Co? To już czwarta?

Z dołu po chwili doszedł nas warkot silnika, lufa czołgu Pirożka poszła powoli na kierunek, zza domu wylał czołg Armaty. Na skróty cholera chodzi, jakby drogi nie było... „pospieszył”.

- Co jest, panie Armata?

- Ano chyba niewiele, tam na dole już od południa mało co się dzieje. Szwaby próbowali, ale im nie wyszło.

- Po co pana tu przysłała?

- Nie wiem, dostałem rozkaz.

Już podchodził Pirożek, gdy Rusinek wyrzucił mi znowu z czołgu hełm ze słuchawkami.

- Porucznik Tymieniecki. Słucham.

- Co to, na sieci „A” i do tego clearam?

- „Adam” cztery... słucham!

- Porucznik Tymieniecki wejdzie do Castelfidardo i nawiąże łączność z pierwszym pułkiem Ułanów Krechowieckich. Powtarzam...

Poznałem głos. Pułkownik Bobiński.

Odebrałem... zrozumiałem... wykonuję... Over!

Zrzuciłem hełm.

- No, panowie! Muzyczka zaczyna, czuję, że idziemy do tańca. Zadanie: wejść do Castelfidardo i nawiązać łączność z ułanami!

- Rusinek! Mapa!

Mózg stężał, prawo battle-drillu, słowa majora Ashtona z Experimental Tactic Wing: „Now you have plenty of time, do not rush, think slow... slow and then... act!”³².

- Uwaga! Ta ulica przed nami idzie na Castelfidardo, jeden mały zakręt, o tam, za tą knajpą... Dalej będzie kilkanaście domów i droga idzie skłonem, z prawej to wzgórze z drzewami, prawdopodobnie strome, z lewej odkryta dolina, do dużego zakrętu nie więcej jak dwieście jardów - ta mapa przejrzysta jak szkło - za zakrętem prosta... pełne osiem setek, i uwaga! Dwa domy, jeden z prawej, drugi z lewej to Fornaci... Lewa strona tego z lewej... żywopłot albo krzaki, prawie sto jardów, dalej między tymi domami będzie widać tylko prawą stronę drogi, tam w głębi więcej domów, zdaje się sześć... trzysta jardów, dalej miasto!

³² Teraz masz dużo czasu, nie śpiesz się, myśl wolno... wolno i dopiero działaj!

Jasne?

Teraz pytanie: Czy tam ułani są, czy ich nie ma? Gdyby byli, to po co przysłano nam te dwa czołgi?

- Pirożek! Idziesz pierwszy, ja pięćdziesiąt metrów za panem, za mną sto metrów Armata i Lesiak. Uwaga! Przez tę ulicę nie strzelaj, zostaw to, pan, mnie. Idziesz do zakrętu... i tu, jak tylko pan wyjrzy... strzał granatem w środek drogi między tymi domami... Jeżeli tam jest czołg albo armatka, to tylko w głębi za tymi domami, bo tylko tam może kontrolować nasz kierunek i część doliny; strzałem zadymi pan i zakurzy jej wgląd. Po pierwszym następne cztery ze skokiem dwóch podziałek w górę. Od szybkości oddania pierwszego strzału zależy życie pana czołgu. Po czterech... naprzód! Tak, żebyśmy mógł wyjść za zakręt i pana osłonić. Jeżeli są okopy, to tylko na skłonie po prawej, ja będę strzelał rozpryskiem na pana wysokości... Nie wychylaj, pan, za dużo głowy, ja pana cały przebieg osłaniam.

- Podchorąży Armata! Pan od samego zakrętu strzela granatem w skłon, wzdłuż naszego ruchu, stale moja wysokość, nie dalej jak trzydzieści jardów od mojego czołgu, tylko mnie, pan, nie utrup!

- Pirożek! Tylko spokojnie, bez nerwów, by the book, i niech pan pamięta, żadnych kamikaze...

Na mnie czeka dziewczyna.

Za pięć minut ruszamy, a teraz papierosa.

- Rusinek! Przygotować dwadzieścia em pięćdziesiąt cztery!

M54 albo F54 był to pocisk specjalnego zarachowania, o zapalniku podwójnego działania, na czas od 0 do 10, nastawiany kluczem na rozprysk w powietrzu, i natychmiastowy, niezmiernie czuły, a przez to bardzo trudny w transporcie, bo mimo specjalnego kaptura głowicy, mógł się sam uzbroić od silnego wstrząsu. Pociski te, według instrukcji Royal Tank Regiment, mogły być używane na żądanie dowódcy pułku tylko za pozwoleniem dowódcy brygady. Ja miałem dotację 35, całą prawą komorę czołgu.

Pałiłem papierosa, Pirożek doprowadził swój czołg na moją wysokość, jeszcze dwie minuty.

- No, panie Pirożek, zaczynaj, pan, w pierwszą parę! Good luck! Pirożek minął już mały zakręt uliczki.

- Kierowca! Naprzód!

Żywej duszy... Wyszliśmy na domy, pierwszy czołg wchodził na pierwszy duży zakręt.

Rusinek podał mi nową parę białych rękawic do walki - to też było prawem tego czołgu.

Zakurzyło się za czołgiem Pirożka, strzelił! Drugi! I następny! Odetchnąłem z ulgą, teraz dać mu czas na odejście.

- Kierowca! Naprzód! Na zakręcie stój!

Wszystko tak jak na mapie; widoczność prosta, dwa domy i chmura dymu i kurzu od wybuchów Pirożka między domami.

- Działo... em pięćdziesiąt cztery... wysokość pierwszego czołgu... niskie korony drzew...

- Fire!

- Włączyć stabilizator!

- Kierowca! Wolno naprzód!

- Działo! Cały czas wysokość pierwszego czołgu.

Fire!

Idziemy drogą na skłonie, z lewej w pełnym słońcu dolina o widoczności idącej w kilometry, z prawej tak jak na mapie - strome zbocze pokryte drzewami i krzakami, pełne białego dymu naszych rozprysków.

Trrrach! Pierwszy granat Armaty rzucił aż ziemię na mój czołg. Następny!

Na czołg Pirożka śmignął ze zbocza ręczny granat i wybuch zasłonił mi go zupełnie.

- Fire!

Lornetka wolno... wolno... domek lewa strona... krzaki... wolno .. jest! Małeńka żółta plamka piachu... okop!

- Pirożek! Stój!

Pomierzyłem, prawie sto, co osiem jardów... dwanaście, a jeżeli to okop, to na odbitkę.

Działo! Granat... em czterdzieści osiem³³... w lewo... wolniej... już! Brzeg żywoplotu! Siedemset w dół... dwie podziałki... co dwie... w prawo... dwanaście... Mówić, kiedy gotowe!...

W czołgu gorączkowy ruch przygotowania amunicji.

Szczęk zamka!

- Fire!

Pierwszy zakurzył z dziesięć jardów przed rogiem żywoplotu i wybuchł tuż nad... Następny!

Rzucało czołgiem, szczęk zamka zlewał się z hukiem odpału. Spojrzałem w dół.

Czerwona, zalana potem twarz Rusinka usiłującego wrzucić pocisk w momencie powrotu lufy, Stapiński podający na kolano Rusinkowi, zgięte plecy Kobierzyckiego... Strzał... powrót... strzał!...

Hej! Żeby to zobaczyli w Number Seven Gunnery! Co by powiedział Thompson? Takiej szybkości nie widziano nawet na pokazie instruktorów.

³³ Granat z zapalnikiem uderzeniowym.

To jest załoga!

Nad żywopłotem równiusieńki jak pod linijkę rządów wybuchów jak białych kótek z dymu papierosa.

Ta armata to jednak cudo! Każdy pocisk z dokładnością milimetra. Prawda, że Kobierzycki ma jedwabne ręce, prawda, że oboje cieszy ta walka, ale ich... urodziła ta wojna, jak moją Lily.

Co jest? Nic nie widać! Gorąco na twarzy, w lornetce pełno krwi, cieknie po gębie; zdjąłem hełm.

Pocisk karabinowy przebił hełm tuż nad okiem, rozwarta tektura od wewnątrz skaleczyła mi górną powiekę i... krwawię jak zarzynany prosiak, za nic się nie daje zahamować.

A to mnie urządzili! Jak ja się pokażę tej dziewczynie?

Beret! Przełożyłem słuchawki.

- Działo! Prawy dom... osiem... Ten sam celownik!

Huk wybuchów czołgu Armaty zlewał się z hukiem naszego działa, ponieważ staliśmy, Armata okładała zбочe granatami, aż ziemia i gałęzie waliły się na naszą Markizę.

- Pirożek! Naprzód!

- Kierowca!... Wolno naprzód!

Idziemy, Pirożek wszedł w dym między domami, po chwili my za nim.

Za domów, z krzaków, jak spod ziemi - dwóch, trzech, pięciu, cała gromada, znowu trzech... Wszyscy z podniesionymi rękami. Cholera z nimi, to utrzymanie dla Lesiaka.

Naprzód!

Teraz gaz!... Pirożek dochodził już do pierwszych domów Castelfidardo.

Weszliśmy w wąską, brukowaną, idącą pod górę uliczkę. Głucho dudniły nasze czołgi na bruku. Miasto puste, wymarte, ani żywej duszy, ani jedna twarz nie mignie się w oknie, nic... Tylko ponury łomot gąsienic i charczenie silników. Minęliśmy pierwsze dwa skręty... Stój!

- Jadwisiak! „Adam” cztery... zadanie wykonane... wracać!

Łatwo powiedzieć: wracać! Ale jak tu wykręcić? Trzeba dojść do jakiejś przecznicy.

Ledwie wymanewrowaliśmy.

Wróciliśmy na wysokość tych pierwszych dwóch domków, gdzie czekali już na nas Armata i Lesiak, ten ostatni użerający się z całą gromadą jeńców, prawie siedemdziesięciu, a największy rozgardiasz robili Polacy, których było około dziesięciu, i za Boga nie chcieli iść razem z Niemcami do tyłu.

Zajechał łażik... Pułkownik Bobiński. Podeszedłem.

Panie pułkowniku! Do Castelfidardo... wszedłem... łączności z pułkiem Krechowickim... nie nawiązałem... dostałem rozkaz powrotu.

Panie poruczniku, zadanie... więcej niż wykonane. Stoczył pan piękną walkę jak na pokazie, Naczelnny Wódz generał Sosnkowski obserwował cały jej przebieg... Winszuję. Ale - dodał śmiejąc się - z pana to... rzeźnik.

Spojrzałem po sobie - cały przód nowiutkiego kombinezonu, białe pasy, rękawice w plamach czarnej, skrzepniętej krwi; wyobraziłem sobie twarz. Parszywy pech! Ile razy spotkam tego eleganckiego pana, zawsze wyglądam jak maskara.

- Panie pułkowniku, skaleczono mnie... Nie miałem czasu.

- To też widzę, ale dzisiaj to nie pański wygląd, chodź, pan. Poszliśmy.

Koło lewego domku, trzy jardy od drogi, w dole, pod krzakiem, trupy trzech niemieckich podchorążych jeden na drugim, obok sześć faustpatronen ułożonych porządnie do użytku, w tyle, w krzaku, trzy rowery zamaskowane gałęziami.

ładnie by wyglądał Pirożek!

Trochę dalej, pod żywoplotem, głęboki okop. Pułkownik Bobiński wyciągnął rękę:

- Niech pan policzy - dwóch, tam dalej dwóch, jeden, jeden i znowu dwóch, w samym końcu przy spandale trzech. To był bardzo dokładnie położony ogień. Czy pan ich widział?

- Nie, panie pułkowniku, to tylko routine work... To armata.

- Raz jeszcze winszuję panu, a teraz niech pan odpocznie. Stałem na baczność i salutowałem... długo.

Zaczęło się zmierzchać, wróciłem do plutonu. Naprzeciw mnie wyszedł Pirożek. Gęba zakurzona, z brzdami potu, ale uśmiechnięty, zadowolony, pewny siebie.

- No, jak było? Co pan powie?

- Jak było, to już dla nas obu przestało być ważne, ale powiedzieć, to panu powiem. Bóg czołgów, generał Rommel, dowódca Afrika-Korps, zapytany o zdanie, jakie ma o swoich oficerach rezerwy, powiedział: „Dobry amator jest lepszy od genialnego zawodowca”. A o ile tak jest, to pan jest dla mnie... easily the best.

Pirożek pochylił głowę. Zdawało mi się, że zobaczyłem... łzy.

Zmrok zapadał coraz szybciej. Wymanewrowaliśmy czołgi spomiędzy budynków w pole stojącej kukurydzy, gdy przyleciał zadyszany Wankiewicz. Dostał nowy czołg, ale aż kipiał ze złości. Wszystko zwała na drugi szwadron: że to oni mu przez pomyłkę wkopili granat w chłodnicę, że on się dowie, kto, no i odpowiednio rozliczy poczynając od wrywania nóg. Trząsł się cały z wściekłości i żalu.

Machnąłem ręką:

- Panie, czy to warto? Może tym panu życie uratowali, a choćby nie, to mafish!³⁴ Jeszcze się pan nastrzela.

Zawołano mnie do dowódcy pułku. Podszedł, podał mi rękę:

- Cieszę się, że się panu udało...

- Jak to udało się, panie majorze? Co to znaczy „udało”? Uśmiechnął się kwaśno, odwrócił i pokuszył do łazika. Czego ja się dziwię? Przecież tylko tego mogłem oczekiwać.

Czy to pierwszy raz? Zawsze zaczyna się od... „udało”, zaraz następnie idzie... „on ma szczęście”, a kończy się świetną opinią: „no... tak, to nawet dobry żołnierz, ale... no tak, ale... hmm... mało poważny”.

A zresztą, nie warto sobie głowy zawracać. Co mnie może obchodzić zdanie jakiegoś... Motyki.

Zrobiło się zupełnie ciemno i nie mogłem w tej parszywej kukurydzy znaleźć swojego czołgu. Teraz dopiero poczułem znużenie, tamta noc nie przespana, to gorąco, cały czas na nogach, trochę podniecenia walką, kark boli jak zaraza, ręką ledwie ruszyć mogę, łokieć spuchnięty. Podczas walki o tym się zapomniało, ale teraz przy każdym ruchu wszystko boli.

W jakimś dołku już moja załoga puszczała w ruch prymus; płomień oświetlał część twarzy pochylonego Stapińskiego.

Podszedłem do czołgu, oparłem się o przód i rękę położyłem na ciepłym jeszcze wylocie armaty.

Zamknąłem oczy. Gdzieś w oddali krztuszące się jakimś nerwowym pośpiechem serie spandauów nie dawały zapomnieć o bliskości nieprzyjaciela i frontu.

Brązowe oczy... miedziane włosy.. i znowu brązowe oczy, ciężkie powieki... bardzo ciężkie... on vous attend pour le diner... on vous attend pour le... di... ner. Stal zmiękła i... drgnęła życiem.

³⁴ Nie szkodzi, przepadło, niech się dzieje, co chce (arab.).

NA DZISIAJ BITWA BYŁA PRZEGRANA

Jak się ma szczęście - to się ma, a jak me - to tak, jak mówią: że dziedzicowi to i byk się ocieli, a chłopu to rodzona żona się w łóżko... E, szkoda gadać.

Nie dadzą się nawet zdrzemnąć. Tę słodką przedpołudniową sjęstę przerwały mi podniesione głosy sprzeczki. Poznałem głos Benka Lipkowskiego, użerającego się z moją załogą, która twardo broniła do mnie dostępu, wiedząc, że taka drzemka to świetna rzecz i przerwanie mi snu było jakby złamaniem prawa.

Ucieszyłem się bardzo, bo z Benkiem nie widzieliśmy się od paru dni i - mimo że był moim złym duchem - łączyła nas długa przyjaźń i pewnego rodzaju przywiązanie.

Benek miał ogromny urok osobisty, przysłowiowy brat łata, wszędzie się umiał wcisnąć, wszędzie miał przyjaciół, morze whisky by go nie przstraszyło i żadna awantura się bez niego obyć nie mogła.

Ja może zbyt często padałem ofiarą jego wisielczych pomysłów, ale nigdy nie mogłem się potapać, dlaczego ja? Bo Benuś zawsze potrafił mi wmówić, że to on jest właściwie poszkodowany i pada ofiarą przyjaźni, zwalając na mnie całą odpowiedzialność, no i konsekwencje.

Odruchowo pomacałem się za uchem, bo po pierwsze blizna, a po drugie ta zeszłoroczna awantura w Kairze jeszcze chodziła mi po głowie

Szykowałem się do wieczornego wyjścia na Kair, gdy jak bomba wpadł do mojego boks Benek.

-- Dobrze, żeś elegancki, bo okazja niebywała. Mamy wspaniałe zaproszenie; Zyzio Plater, Józek Jakubowski i nas dwóch. Wyobraź sobie, tu jest jakieś stowarzyszenie białych Rosjan, mówię ci, kapitalne facety, sama arystokracja, wszystko „gwardiejcy”. Zaprosili nas dzisiaj wieczorem do swojego klubu. Sam rozumiesz. Zyzio zagra im coś „szczypatelnego” i szampan będzie się lał. Spiesz się.

Nie bardzo się chciałem zgodzić, choćby ze względów zasadniczych - przecież oni nigdy nie uznali niepodległej Polski. Jak mam pić, to wolę już z bolszewikami.

Ale kto przegada Benka? Miał sto argumentów, tak mnie przygłuszył, że dałem się namówić, i... poszliśmy.

Klub jak klub, nic nadzwyczajnego, duża sala z fortepianem i dwie salki: jedna jadalnia, druga coś w rodzaju czytelnia.

Kilkunastu starszych panów, nawet dobrze wyglądających, przyjęło nas grzecznie, ale trochę jakby protekcyjnie i na dystans. Rozmowa toczyła się po francusku.

Podano nie szampana, o którym Benek tak pokrzykiwał, ale czystą wódkę i... kwaszonego ogórka. Wypiliśmy po dwa - jak oni to nazywali - „stakanczyki”, co najmniej o pojemności trzech double, i kiedy nalano po trzecim, już Zyzio wyjechał z *Oczy czornyje*. W niecałe pół godziny byliśmy całkiem pod muchą.

Coraz mniej zaczęło mi się podobać to gwardiejskie pajacostwo.

W końcu sali wisiał nisko duży portret młodego chłopca w kozackim mundurze. W tył odchylona popielata papacha, srebrne naboje na białej czerkiesce. Zaciekawiał mnie; z trudnością już przeszedłem przez salę, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Podobał mi się chłopak.

- Kto to jest? - zapytałem najbliżej stojącego mnie białoarmiejca.

- Jak to, pan nie poznaje swojego byłego następcy tronu? - padła odpowiedź.

Wciągnąłem oddech.

- Drogi panie, o ile znajomość historii mojego kraju mnie nie zawodzi, to następcy tronu w takim stroju Polska nigdy nie miała.

Na to ten facet, a musiał mieć we łbie nie gorzej od nas, zaczął wrzeszczeć na całą salę po rosyjsku. Podchwyciłem tylko jedno słowo: „buntowszczyki”.

Zawirowało mi w oczach, złapałem za portrecik i trrach! Przeszedł leciutko na wylot. Białogwardiejcy runęli do ataku. Zyzio pod fortepian - i tyleśmy go widzieli.

Dostałem od ręki w łeb, bodaj że butelką, i jak przez mgłę pamiętam, że Benek pchnął mnie ze schodów na dół - i wylecieliśmy na ulicę. Za nami wrzask po arabsku na policję. My w pierwszą w prawo, w lewo na pierwszym zakręcie i znowu w jakiś zaułek. Stanęliśmy, żeby odetchnąć. Tu Benek na mnie:

Ładnie się za gościnę wywdziękujesz! Grzecznie nas podejmowali, a ty tylko szkody im narobiłeś. Przez ciebie Józek trzy krzesła na nich złamał, prawdziwego kniazia przez ten obrazek przepuściłeś. Całe szczęście, że nie żaden Rembrandt, ale też wart ze dwadzieścia funtów. Skąd ci się na tę awanturę zebrało?

Benek, on chciał we mnie wmówić, że ten facet z obrazka to nasz następca tronu, ja tylko zaprotestowałem, a on w krzyk i z nieprzystojnym słowem do nas wszystkich.

No to co? Po pierwsze sami szczeniaka udusili, a po drugie Niemcy w Warszawie. Czy ci nie wszystko jedno, którego z nieboszczyków na króla dobierają? - Po co się bierzesz za politykę? To nie dla ciebie. Strzelać podobno umiesz, ale Roch Kowalski szablą machać też umiał. Nie bierz się za to, do czegoś nie stworzony. Na tani patriotyzm ci się zebrało. Ludzie w Polsce na żywe torpedy się zapisywali, na pierwszych stronach „Ikaca” ich ogłaszano, sławą nazwiska swoje okryli i do dziś dnia włos im z głowy nie spadł. To, rozumiem, jest patriotyzm, a ty co? Ledwie gębę otworzyłeś, i łeb ci przecięli, i krwawisz paskudnie, a ja za to wszystko cierpieć muszę. - Co innego ja, sam wiesz, że w Szkocji do szkoły wojewodów kandydowałem. Co? Nie wiesz? Może nie wierzysz? Spytaj się Adama. Nie przyjęli mnie, bo stopień miałem nikczemny, a tam same pułkownicy w bojach osędziały. Choć nie tak stopień, jak zawiść ludzka. Konkurencja była ogromna, a że miałem szanse, to oczerniono mnie, że do alkoholu mam skłonności, co sam przyznasz, jest brudne oszczerstwo.

Tu zaczęliśmy nadśłuchiwać, bo doleciał nas zza rogu stukot miarowych kroków.

Bohdan! Empisy!³⁵ Wyrrywamy! Wyrwać tośmy... ledwie, ale... wyrwali. Ale kto był ofiarą, do dzisiaj nie wiem.

Benuś sapiąc wtarasił się do namiotu:

Powiedz tym swoim jamnikom, żeby mnie nie obszczekiwały. Ile razy przyjdę cię odwiedzić, zawsze na mnie warczą i do czołgu nie puszczają.

Mój kochany, gdybyś im souvenirów nie podbierał, to by na ciebie nie warczeli.

Co to, to nieprawda, ten pistolecik sam mi dałeś, a oni mi go teraz wypominają.

*

Tej darowizny nie bardzo sobie przypominam, tam był nie tylko pistolecik, jak mi mówiono.

Mój drogi, gdy się ma stosunki w sztabie takie jak ja i chce się mieć wiadomości z pierwszej ręki, to bez bakszyszu nie ruszysz. Oni na te pamiątki wojenne bardzo łąsi. Dasz pistolecik alba kordzik i - jedziesz na facecie jak na wole. I teraz z ważną wiadomością do ciebie, ale pamiętaj... tajemnica. Ofensywa się ogromna szykuje. Generały uradziły odciąć Ankone, ogromny majstersztyk strategiczny, prawie dziesięć tysięcy germańców lock, stock and... barrel zostanie w zamkniętym worku. Wielki wypad się szykuje. Więc ja do ciebie, bo ruszą nas lada chwila. Trochę się boję o ciebie. Ty się niepotrzebnie nie pchaj; nic na tym nie wygrasz, a wojna i tak bez ciebie się skończy.

Czy ci to Piedimonte i ta ostatnia bitwa nie wystarczy? A dziewczyna by się na śmierć zapłakała, taka dziewczyna! Właśnie z wizyty wracam. Może trochę za wcześnie, ale uważałem sobie za obowiązek jako twój przyjaciel należne uszanowanie złożyć, poparte obowiązującym gościńcem.

Benek, coś ty narobił? Bez uprzedzenia mnie? I co to za gościniec?

Jak to? To ty masz mi jeszcze za złe? Kawy puszka - prawie pięć funtów, herbaty dziesięć paczek i trzy kawałki prawdziwego amerykańskiego sapone.

Benek, tyś chyba oszalał! Do mojej dziewczyny z mydłem? Co ona sobie pomyśli?

Pomyśli jak najlepiej, bo pięknie o tobie mówiłem, a panienka aż bladła. Mama z łezką i otwartymi ramionami mnie żegnała. Ty tylko bądź ostrożny i jak ci co szalonego przyjdzie do łba, to tylko pomyśl o niej. Nie martw się, bo jak wyjdziecie, ja już się nimi zaopiekuję. Wino dają wspaniałe, no i przez wzgląd na ciebie o posążku muszę się przewiedzieć.

Musiałem mu wszystko opowiedzieć od początku, bo nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Przyjaźniliśmy się jeszcze ze Szkocji, dobrze nam było razem i mimo że w Egipcie trochę przebraliśmy miarkę, to nas jeszcze bardziej połączyło.

Nagle Benek spowaźniał, zapalił papierosa i po chwili namysłu zaczął:

³⁵ MP - Military Police.

- Wczoraj wieczorem, naturalnie ciebie nie było, a w mesie gadano o tobie, i dużo. Warczą na ciebie, na ten twój cały wykład o piechocie, o braku wyszkolenia, o głupocie organizacji i diabli wiedzą jeszcze o czym. Za dużo gadasz. I po jaką cholere im to mówisz? Ci ludzie nie są przyzwyczajeni do tego rodzaju wypowiedzi. Nie zniosą, by ktoś mówił otwarcie to, na co żadnego z nich nie stać. Czy masz rację, czy nie, lepiej nie mówić; nic nie zmienisz, a robisz tylko złą krew. Nic dobrego z tego dla ciebie nie wyniknie. Ich wszystkich łączy niedola przesiedleń i gehenna, jaką przeżyli, są wrażliwi na każdą najmniejszą uwagę, wszystko biorą do siebie; im który mniej wart, tym głośniej krzyczy. Dla nich cierpiętnictwo jest symbolem miłości ojczyzny i patriotyzmu, nie zapomnieli jeszcze wszy i głodu. Dla nich ty jesteś jeszcze ciągle tym... sytym. Wchodzisz im w to wszystko bezwzględnie, twardymi zasadami czystej żołnierki, bez najmniejszego wyrozumienia. Nie zapominaj, że tu mamy kawałek prawdziwej Polski. Tu nie ma polityki żarcia się, szczucia, walki o władzę. Tutaj się idzie do Polski. Co mieliśmy w Anglii?... Diabli wiedzą ile ministerstw, rogiatywki, żarcie się o stołek, o wpływy, o przydziały, kursy na wojewodów i całą zgraję „zaplutyh karłów”, wieszającą się przy Sikorskim. Wrogów sobie narobisz, choć muszę przyznać, że masz i przyjaciół. Jadwisiak aż się uniósł, on nie daje złego słowa na ciebie warknąć. To samo Gromadzki, a Motyka tylko uszami strzyże. W każdym razie zwracam ci uwagę, easy boy.

Benek był na serio i życzył mi jak najlepiej, ale to nie mogło zmienić poglądów już od Francji dokładnie utrwalonych.

- Benek, dawno nie rozmawialiśmy, ale spróbuj popatrzeć na to przez moje ugruntowane doświadczenie.

Szliśmy na drogę numer sześć, pod Piedimonte z Fifth Royal Kent³⁶. Batalion rozwinął się do natarcia w mig. Zapięci, wyszykowani, dociągnięci, szli drużynami szybko, sprężysto jak na ćwiczeniach w Aldershocie. Przyszła nawała artyleryjska, zapadli i natychmiast jak krety zaczęli kopać swoje fox-hole, tyle cali długie, tyle głębokie, tyle szerokie, bo tak ich nauczono. Przychodzi druga nawała, nie widziałem, by mieli jakieś straty. Poderwali się znowu i poszli, i tak szli, aż doszli. Przyjemność była patrzeć.

A teraz drugi obrazek. Idziemy na Castelfidardo. Idzie z nami batalion tych bohaterów spod Monte Cassino. Porozpinani, wloką się niechlujnie gromadkami, jak muchy w smole. Zaczęto nas ostrzeliwać pociskami fosforowymi, to ta ferajna ot pokładła się w krzakach. Czy myślisz, że który się okopał? Smutno im pewnie się zrobiło, to leżli jeszcze jeden do drugiego, żeby pogadać. Bo przecież oni muszą gadać, no i naturalnie należy się zakurzyć. Padł jeden pocisk z moździerza, pięciu bohaterów nakryło się nogami. Pięciu ludzi rannych. Czy to z ich winy? Ja mam swoją na to odpowiedź, którą pokrywa moja teoria.

U nas w górze uważa się, że najlepsza opinia o wyższym oficerze to to, że... dobry wychowawca, i takiego srakotłuka pcha się na stanowiska dowódcze bez względu na przygotowanie. Dowódca dywizji za... tatę chodzi. Pan kapitan nie narazi się Jasiowi, bo przecież musi być kochany. To jest ich sposób pojmowania demokracji. Na rezultat nie czekaliśmy długo. Kochany Jaś - demokrata ginie albo kaleka, bo przecież jak pan kapitan kolega, to sierżanta ma w dupie, a przecież patriota i kocha

³⁶ Pułk piechoty angielskiej.

ojczyznę, więc wszystko mu wolno. U nas wszystkie niemal możliwości przywiązane są tylko do stopnia. Jak jesteś pułkownikiem, a do tego jeszcze kawalerii, to nadajesz się tak samo dobrze na dowódcę łodzi podwodnej, jak i na ministra wyznań religijnych. Przecież generała piechoty zrobiono dowódcą lotnictwa.

Nikt nie ponosi za nic żadnej odpowiedzialności. Po bitwie o Monte Cassino zdjęto ze stanowiska dwóch dowódców pułków, poza czymś innym, za nieumiejętność dowodzenia. Nie zdjęto im stopni, przeciwnie, poszli na wykładowców do Wyższej Szkoły Wojennej. Jakich dowódców wypuści ta szkoła?

A Zasadny? Nawet sprawy nie miał za tchórzostwo. Bobiński chciał się z nim rozprawić, ale nie dali. Logikę rozumowania i dowody zawsze podważą nieprawdopodobnymi tłumaczeniami swoich racji.

Jakie wykształcenie angielskie mają ci nasi dowódcy dywizji i pułków? Ile kursów każdy z nich skończył w ciągu ostatnich dwóch lat? Najwyżej jeden - albo organizacji i dowodzenia, albo taktyczny. Cała wiedza zamknięta w dwóch tygodniach. A teraz, jak można brać się za dowodzenie bez dokładnej znajomości użycia środków, jakie się ma w swoim rozporządzeniu?

Dam ci inny przykład. Kiedy wprowadzono pierścienie obrotowe wieży, zostałem wysłany na przeszkolenie do brygady kanadyjskiej. Teorię użycia czołgów jako artylerii wykladał nam obu sam dowódca brygady. Jego znajomość teoretyczna artylerii była zdumiewająca. Dowódca brygady, który potrafi sam ustawić snop równoległy trzech pułków czołgów i strzelać ze stu pięćdziesięciu luf, z przygotowaniem topograficznym, to nie z typu „tatów”, to... dowódca. A jak by to wyglądało u nas? Szkoda każde słowo!

Ten stopień jako wykładowca kwalifikacji to rak naszej armii. I ty chcesz, żebym ja miał dla nich szacunek? Mnie nie potrzeba wychowawcy, to już zrobiła mama, ja chcę mieć dowódców.

Dlaczego nikt z nas nie warknie na Motykę? Bo Motyka jest tak wyszkolonym dowódcą czołgu jak każdy z nas i może z powodzeniem zastąpić tak dowódcę, jak i strzelca, tak radiooperatora, jak i dowódcę szwadronu.

Spróbuj to sprawdzić z innymi dowódcami pułków... Koń by się uśmieł. Nie chcesz, żebym gadał, bo mogę się narazić, bo robi to złą krew. A ja przecież na to gadam. Mówiono w mesie, ale mówiono za moimi plecami. Dlaczego nikt nie zaryzykuje powiedzenia mi tego publicznie, w oczy?

Nic potrzebujesz mi mówić, kto. Wiem, to śmieci! Oni i tak się wykruszą, zawsze znajdzie się wymówka. Jakies kursy, odkomenderowania, nowe przydziały.

Ale czy warto o tym mówić? Przecież dopiero się zaczęło. Niech wojna potrwa jeszcze dwa lata. Ja dopiero zaczynam nagrywać melodię do swojej piosenki.

Pogadaliśmy sobie parę minut, oddałem Benkowi ostatnie pobory, by się w czołgu nie plątały, i poszliśmy podzielić się po cichu ostatnią nowiną z kolegami.

*

Boli mnie coraz bardziej. Po jasną cholere wyłaziłem z czołgu? Aż wstyd się przyznać. Ładny przykład. Skóra tylko przecięta, ale uderzenie w kość bolesne jak zaraza, a odłamek - dobre pół kilo.

Wyszedłem z nudów, bo czekanie gdzieś z tyłu w krzakach, kiedy tamte szwadrony są w akcji, zaczęło mnie kompletnie rozkładać. Czekanie. Bóg wie, ile już godzin. Zmęczenie nie przespanej nocy, cały ten przemarsz i to cholerne słońce, bezczynność, wszystko razem składało się na ten prawie bezwład. Spaliśmy stojąc, siedząc, nawet mówiąc. Nie można było opanować opadających powiek.

Ofensywa jakoby cholerna! Strzelają potężnie i sieć cała aż bulgocze krzyżującymi się rozkazami.

A my w krzakach!

Dotychczas mieliśmy tylko trochę szczęścia, że podciągnięto nas na chwilę, właśnie w momencie, gdy trzy niemieckie działa samobieżne wyszły zza wzgórze i - prawdopodobnie źle zorientowane co do miejsca naszego pobytu - rozwinęły się idąc prosto na nasze dwa czołgowe szwadrony.

Widok był śliczny! Trzy czołgi schodzące linią z pochyłości i już pewno mieli dodać gazu, gdy... cała trójka dostała równocześnie! Dostali co najmniej po dwa pociski, bo każdy się bał, by go inny uprzedził. Dobrze strzelają te nasze gunnery!

A więc coś się zobaczyło i zdążyłem sfotografować w kulminacyjnym punkcie.

I znowu drugi i trzeci poszły naprzód, a my jak ten Kopciuszek, na zadupiu. Noga boli, spać się chce i woda w mózgu.

W czołgu w tym czasie szedł poker i już zaczęło mnie kusić, by wziąć w nim udział, bo czułem, że kończy się kłótnią, kiedy zawołano mnie z za czołgu.

Wyjrzałem - w jeepie z kierowcą siedział Jadwisiak.

- Niech pan skacze, pułkownik Bobiński polecił nam obu zameldować się.

Podjechaliśmy na przełaj w przód pół kilometra, gdzie czekał na nas przy czołgu pułkownik Bobiński. Wyprowadził nas kilkanaście metrów za krzaki, i ze zbocza otwierała się przed nami ogromna dolina, idąca małymi wzniesieniami kilometry w przód. Z lewej strony migotały w rozpalonym powietrzu dachy zabudowań jakiejś osady, przed nami na małym wzniesieniu bieleły się budynki gospodarcze o czerwonych dachach. Daleko na tle błękitnego nieba odcinał się wysoki komin fabryki czy cegielni. Inaczej mówiąc, długa niecka, osłoniętą z prawej i z lewej strony pagórkami o długich grzbietach i szerokimi dolinkami, błyszczącymi w pełni słońca.

Pułkownik przez chwilę orientował mapę, zwrócił się do Jadwisiaka:

- Panie poruczniku, z lewej strony za tym wzgórzem stoją dwa pułki czołgów, wasz i Siódmy Huzarów. Cały ruch w przód został zatrzymany. Pójdzie pan swoim szwadronem wzdłuż tego szerokiego zagłębienia i - o ile to okaże się wykonalne - dojdzie pan do pierwszych wzgórze, gdzie bieleją budynki tej farmy. Stąd dobre dwa kilometry. Zdaje pan sobie sprawę, że to są linie obronne nieprzyjaciela i tylko bardzo zdecydowany ruch może mieć szanse powodzenia. Jak pan to widzi?

Jadwisiak bez wahania powiedział:

- Zadanie jest proste, panie pułkowniku, pozostaje tylko technika wykonania, i rozumiem, że idziemy bez żadnego wsparcia, zdani tylko na siebie.

Pułkownik kiwnął głową i zwrócił się do mnie:

- Chciałbym, żeby pan szedł ze swoimi czołgami na czele.

- Rozkaz, panie pułkowniku!

- Czy może pan dodać jeden pluton Tymienieckiemu?

Jadwisiak uśmiechnął się:

- Tak jest, panie pułkowniku.

- No, to proszę wykonać!

Wskoczyliśmy do łoża, odjechali ze sto metrów i obaj przez chwilę obserwowaliśmy przyszły teren walki. Zaczął Jadwisiak:

- Panie poruczniku Tymieniecki, nie potrzebuję pana objaśniać, bo sam pan widzi zadanie, i jestem pewny, że obaj mamy te same oceny. Kogo pan chce, by szedł z panem? To jest pierwsze, drugie - niech pan nie zapomina - że nie tylko nie chcę, ale i nie mam prawa was stracić. Idę zaraz za wami i dam wam wsparcie całą resztą szwadronu. Pan został z góry wyznaczony do tego zadania i dlatego zostawiam je panu.

- Panie poruczniku, jeśli można, to proszę porucznika Strukowskiego, bo z nim chyba najlepiej się rozumiemy. We dwóch razem omówimy cały plan, choć sądząc z oka, nie mogę znaleźć żadnych trudności.

Podjechaliśmy do czołgów. Jadwisiak wywołał porucznika Strukowskiego i wyleźliśmy razem na miejsce, skąd widoczność była najlepsza.

Dowódca powtarzał zadanie, a mnie skakały w głowie wszystkie dawne szymle stołów plastycznych, z których jeden usiłowałem podstawić tak pod podobny teren, jak i podobną akcję.

Tak! Pamiętam! Było coś podobnego, bodaj że spod El Vishka - długi, nierówny przebieg, zagrożenie z lewej, tu będzie z prawej, i tak jak tam pójdziemy martwym polem.

- Panie kolego, ja wyjdę z moimi czołgami do tego pierwszego pagórka, coś koło czterystu jardów. Stamtąd położę zasłonę dymną na wylot tej zadrzewionej doliny, dochodzącej z prawej strony, bo o ile ta nasza dolinka jest kontrolowana, to wydaje mi się, że tylko stamtąd, bo przed ich lufami mucha by nie przeszła. To my im te niebieskie oczęta boleśnie zadymimy. Trochę daleko na dym, ale jak podejść, skróć dystans, będę kładł zasłonę od tych dwóch drzew w przód. Przez ten czas moje czołgi łupią po krzakach na zboczu, na kierunku waszego ruchu. Jak pan zobaczy piąty dymny, to pruje pan na pełnych silnikach na prawą pochyłość tego wzniesienia. Wystrzelę ostatni, idę pełnym gazem na waszą lewą stronę, tak że Wankiewicz wyjdzie na same zabudowania. Nasz squadron leader, czy chce, czy nie chce, musi z resztą szwadronu iść na tę zadymioną gardziel. I butelkę whisky trzymam, że to on wlezie na ich czołgi.

- Mam jedno pytanie: jeżeli uda nam się cało usiąść na tym zadaniu, to czy możemy iść dalej? Teraz Strukowski da mi pełne wsparcie, a ja popruję aż pod tę cegielnię. Coś mi się wydaje, że ofensywa i to wielkie halo, a my właśnie cały front przerwiemy.

- Niech pan tam przy tym kominie na mnie poczeka, to podwiozę panu cup of tea - parsknął śmiechem Jadwisiak.

Naturalnie, że była to delikatna aluzja do mojego „angielskiego” pochodzenia, połączona z aprobatą działania.

No to zaczynamy!

Wróciłem do czołgów. W myśl rozdzielnika amunicji bojowej miałem tylko osiem dymnych pocisków, więc w mig odebraliśmy Wankiewiczowi jego osiem i szybko naradziłem się z moimi dowódcami czołgów.

Zawarczały silniki! Wolno wysunęliśmy się z krzaków i skok!

Pierwszy Pirożek, a później my obaj. Doszliśmy - i stanęliśmy linią wozów na half-downie³⁷.

- Do strzelania czołgami!

Oni już w przybliżeniu znali swoje cele, i nim dokończyłem komendy, już lufa Wankiewicza poszła do tyłu i huk odpału targnęła echem doliny.

Teraz zasłona dymna. Pierwszy raz używam dymu bojowego tak naprawdę. Na strzelnicach wychodziło mi zawsze dobrze, ale to było wszystko na pokaz, a tutaj od tego dymu może zależeć życie trzech czołgów. Miałem w mózgu wbite jedno z tych dziesięciu przykazań Mojżesza: „Do not make a move without smoke screen”. - „Nie ma ruchu bez zasłony dymnej”. Przykazanie przykazaniem, ale mam tremę.

- Działo, dymny piętnaście!

- Spoziomuj!

- W górę cztery obroty - w górę osiem!

- Co cztery w górę!

- Ognia!

Już w górze się zapalił i opadał łukiem w dół.

- Następny!

Trochę za daleko na dymny, ostatni będzie szedł prawie na dwa tysiące.

³⁷ Half-down, hull-down - półzakrycie.

W czołgu gorączkowa praca, bo dymny pocisk przy słabym ładunku miotającym nie ma odrzutu, a tym samym nie wyrzuca łuski. Zwalnia to ogromnie szybkość strzelania. Dobrze będzie, jak pchnę dziesięć na minutę.

Strukowski nerwowo nie wytrzymał i już za szóstym trzaskiem zamka był na naszej wysokości.

Trzy czołgi minęły nas, rozeszły się szeroko i szły na pełnym gazie, rzucając ziemię za gąsienicami i plując błękitnym dymem silników.

A teraz, żeby dać im przedsmak tego, co ich czeka, żeby ich ucieszyć trochę wojną, żeby im pokazać, że we mean business - trochę rozprysków, tak dziesięć metrów nad ziemią w samym dymie, na tej samej linijce, tylko z kierunkiem do siebie.

Poszedł ostatni dymny i cała ściana zaczęła wolniutko podnosić się do góry w nieruchomym powietrzu.

- Działo!

- Em pięćdziesiąt cztery - zapalnik - dwa coma jeden!

- W dół cztery obroty - w dół cztery!

- W prawo trzy podziałki!

- Fire!

O, cholera! Za wysoko! Zapomniałem o różnicy kątów położenia.

- W dół sześć!

- Jeden coma dziewięć!

- Fire! Dobry!

- Jeden coma siedem!

- W dół trzy!

- Fire!

- Jeden coma sześć!

- W dół trzy! I - Fire!

Co za wspaniały widok! Szeroka, wielka, pełna słońca dolina, trzy czołgi idące wzdłuż prawej strony całym wysiłkiem silników, z prędkością co najmniej dwudziestu mil, prosto na wzgórze, pełne białych wybuchów granatów moich czołgów. Z prawej stojąca jakby nieruchomo długa ściana dymu, iskrząca się błyskami rozprysków.

- Jeden coma pięć!

- W dół trzy!

- Fire!

Zupełnie jak na dobrym filmie.

- Jeden coma cztery!

- W dół trzy!

- Fire!

No, jeszcze dodam ze dwa, żeby nie mówili, że oszczędzam.

- Fire!

Ale Ziutek Strukowski za daleko, mija ścianę dymu i zaczyna iść już pod górę. Gdyby na niego z lewej wyszły czołgi, to ode mnie może być za daleko.

- Przerwać ogień!

- Działo - pepanc!

- Włączyć stabilizator!

- Kierowca! Na pełnym gazie naprzód!

Machnąłem ręką, poszliśmy miękko w dół.

Strukowski przed nami dobry kilometr, ciągle małe wzniesienia zakrywają nam jego czołgi.

- Gaz!

Co za cudowna jazda! I krzaki, i jakieś górki, i pola uprawne, i znowu dróżka, i ogrody, i słońce - słońce - słońce!

- Gaz!

W dole roześmiane gęby załogi. Jedziemy jak z weselem, tylko strzelać z bata.

To jest prawdziwa frajda taki ruch. Gdzie tu jest wojna? Niech mówią, co chcą, o tych okropieństwach, poświęceniach, bohaterstwach - wszystko skacze w lornetce. Gaz! Psiakrew! Bo się spóźnimy na wesele, a tamto to dobre i w pysku, i do kina, i do powieści.

Tu się żyje!

Z lewej pod górką... ciemna plama - ruch.

- Kierowca, stój!

- Działo w lewo... wolniej... już!

- Osiemset!

- Fire!

- Granat!

Nie zdążyłem podać poprawki, a już drugi strzał targnął czołgiem i aż się zakotłowało w celu.

- Naprzód!

Strukowski dochodził do grzbietu wzniesienia, będącego punktem narzuconego nam zadania. Skręciliśmy trochę w lewo. Tu było zbocze bardziej strome i minęło parę minut, zanim doszliśmy do zabudowań białej farmy.

Tamte czołgi już stały na stanowiskach ogniowych i widać było, jak odpały targały nimi do tyłu. Zaczynała się druga faza naszego założenia.

Teraz kolej na nasz pluton.

Wyszliśmy! Linia wozów i gaz! I znowu nierówna dolina, parę domków, krzewy, uprawne pola, górki, zagłębienia, aż rzuca czołgiem, i całe morze nasłonecznionej zieloności.

Gaz!

Przed nami cała orgia wybuchów z czołgów tamtego plutonu. Z tyłu, z daleka widać było czołgi szwadronu, wchodzące w ścianę opadającego już dymu.

Z małego zakrętu podniosło się trzech Niemców z rękami do góry. Nie ma czasu! Machnąłem, żeby szli do tyłu.

Jeszcze paręset metrów i wybuchy przed nami stanęły jak uciąż. To Strukowski ruszył swoimi czołgami i szedł, jakby się ścigał. Śmiesznie wyglądają z daleka idące na takim gazie czołgi: suną, aż ziemia bryzga spod gąsienic, na każdej nierówności kiwają lufami, jakby się kłaniały, i popuszczają z tyłu błękitnym dymkiem silników.

Ale jedzie!

Z boku, z lewej, palą się zabudowania farmy. Mijamy ją i powoli w trójkę wchodzimy na to ostatnie wzgórze, gdzie na lewym zboczu za drzewami wyłazą zabudowania fabryczne i ten komin, główny wskaźnik naszego kierunku.

Weszliśmy na pełny half-down z kierunkiem luf na godzinę czwartą.

Nie zdążyłem się rozejrzeć, a już pluton Strukowskiego dochodził. Przeskoczyli drózkę i weszli na naszą lewą stronę. Wskoczyliśmy z czoków obydwaj.

- Gdzie Niemcy?

- A to się nam udał numer! Przeszliśmy martwym polem obrony prawie pięć kilometrów. Możemy sobie powinszować, panie Ziutku, przerwaliśmy front, weszliśmy na tyły i bez żadnego guza.

Nasz „komandir” - choć jeszcze daleko i straciliśmy go z oczu - za kilkanaście minut powinien tu być, bo choć obaj byliśmy siebie bodaj za pewni, ale co tu gadać - jesteśmy w samym środku nieprzyjaciela.

- Patrz, pan, idzie!

I rzeczywiście, reszta szwadronu wyszła z zagłębienia i pruća prosto na nas jak na muzykę. Skręcili za górką i pierwsze dwa plutony z zadartymi lufami wylazły na naszą lewą stronę.

Z czołgu wyskoczył uśmiechnięty Jadwisiak:

- Czy wy wiecie, że za tym dymem wpadliśmy na osiemdziesiąt osiem z załogą dwudziestu paru ludzi? Siedzieli w dymie zupełnie ogłupiali, nie wiedząc, z której strony na nich uderzymy. No, a teraz to my, panie Tymieniecki, co się powiedziało, to się dotrzyma. Skoczę tylko do tych domków i zaraz mnie zobaczycie. Teraz rozejrzeć się i nie wylazić z lornetek, bo lada chwila możemy mieć gości.

Nie doszedłem jeszcze do mojego czołgu, gdy Kobierzycki, który siedział w wieży z lornetką, krzyknął, machnął ręką w prawo i nurknął w dół. Z prawej strony, przy polnej drodze, z krzaków pięciu ludzi podciągało działko ppanc i już ustawiali na nas. Wieża mojego czołgu poszła w prawo, ułamek sekundy i lufa w odrzucie skoczyła do tyłu.

W sam środek! Drugi! Dym wybuchów zasłonił wszystko, tylko z krzaków wyskoczył koń i z podniesionym ogonem pogalopował w dół. Spóźnień nie o parę sekund mogło spowodować katastrofę. No, dzisiaj mamy wyjątkowe szczęście, bo tutaj decydował tylko przypadek.

Brawo, panie podchorąży Kobierzycki! Jak widać, to się pan na stratę zapisać nie da.

Wrócił Jadwisiak z butelką zielonego pipermintu:

- Panie Tymieniecki, najwyższy czas, żebyśmy sobie mówili po imieniu. Pan jeden w szwadronie ze wszystkimi kolegami na pan, a przecież lepiej nie mogliśmy się dobrać.

- Cenię sobie pana propozycję i piję z dumą, bo niewielu może się pochwalić, że piło bruderszaft w takiej oprawie.

Pociągnąłem potężnie, aż mnie zemdliło; ten pipermint nie dość że słodki, ale jeszcze ciepły. A czy to ważne? Uścisnęliśmy sobie mocno ręce.

- Teraz, Ziutek, my - pociągnąłem. - Kromp, co pan taki poważny? Prosit!

Butelka była duża i raz jeszcze obeszła naokoło. Dolek Jadwisiak był już chyba pod gazem, gdy nagle jak spod ziemi wyszedł zza krzaków pułkownik Bobiński.

Jak on tu się dostał? Jeepem? Przez Niemców? Przecież byle ciura mógł go sprzątnąć.

Pułkownik podszedł do Jadwisiaka i ścisnął mu ramię:

- Czy pan wie, co pan zrobił? To szczyt marzeń dowódcy korpusu - przerwaliście front. Jeszcze jeden taki skok, a odetniemy całą armię. Podajcie mi mapę.

Jesteśmy na wysokości Grancetto; gdyby dojść do tego grzbietu, to droga zamknięta.

Pułkownik spojrzał na mnie. Zacząłem:

- Panie pułkowniku, stąd do samego morza równe pięć tysięcy jardów, główna szosa idąca wzdłuż mniej więcej czterysta jardów od wody. Od szosy idzie łagodne wzniesienie do grzbietu wzgórz biegnącego wzdłuż morza. Od szczytu wzgórza do szosy pełne trzynaście setek. Wszystko zupełnie odkryte. Jak wejdziemy na te wzniesienia, to żywa dusza nawet nocą nie wyjdzie. Żeby wyjść, musieliby nas zniszczyć, a żeby nas zniszczyć na takich stanowiskach, pułk czołgów ledwie wystarczy i to potrwa nie minuty, ale godziny. Dojście może być przykre, bo oni muszą mieć tam jakąś obronę przeciwczołgową, ale my to z porucznikiem Strukowskim spróbujemy pomacać.

Odezwał się Jadwisiak:

- Pan pułkownik każe ruszać?

- Dobrze! Ale w pierw porozumiem się z korpusem. Poszedł do czołgu dowódcy szwadronu.

- Amunicja! Weźcie z moich czołgów po trzydzieści, na waszych sześć będzie po dwadzieścia - krzyknął Dolek.

Skoczyliśmy obydwaj do plutonów.

- Kobierzycki, wycygań co najmniej piętnaście dymnych.

Zaczęło się gorączkowe przeładowywanie amunicji.

Ja cały siedziałem w mapie. Ten wąwóz za wąski na dwa plutony, ledwie się jeden może dobrze rozwinąć. Pójdziemy jeden za drugim, ja pójdę pierwszy.

Pułkownik wrócił, twarz ściągnięta, pełna hamowanej wściekłości.,

- Wstrzymuję ruch, stać i czekać!

Panie pułkowniku - zaczął Jadwisiak.

Pułkownik podniósł rękę:

- Wiem, co pan powie, ale to rozkaz szefa sztabu. Tam w tyle zrobił się bałagan i dostałem rozkaz zatrzymać.

Nie wytrzymałem.

- Panie pułkowniku, przecież oni muszą już wiedzieć, że tu jesteśmy; przygotowują obronę i za godzinę nie będziemy mieli żadnych szans nawet zejścia z tego stanowiska, już i tak dochodzi piąta.

Pułkownik popatrzył na mnie przez chwilę, kiwnął głową, jakby mówiąc, że jednak - nie, machnął ręką i poszedł do stojącego w dole jeepa.

- Nie uchowa się nam długo ten pułkownik - warknął Dolek.

A teraz, moi drodzy, musimy się przygotować na najgorsze. Możemy mieć spodziewanych gości każdej chwili, a jeśli zostawią nas samych bez ubezpieczeń na noc, to może się zrobić nawet gorąco.

Czekamy do zachodu słońca, po zachodzie okopujemy się pod czołgami. Zrozumiano?

Zaczęło się czekanie i bezczynność. Byliśmy daleko poza walką, nic do nas nie dochodziło. Byliśmy razem ze schodzącym dniem pozostawieni sobie.

Tak minęły dobre dwie godziny i słońce mieliśmy już głęboko za sobą, gdy nagle nad czołgami błysnęła iskierka, a za nią druga. Z mojego czołgu spadła ścięta prawie przy nasadzie antena.

- Do tyłu!

- Wejść na głęboki half-down!

A jednak podciągnęli czołgi albo może SP-guns³⁸. Całe szczęście, że mają nas pod samo słońce i z dobrej odległości co najmniej półtora tysiąca nie mogą zaobserwować wyniku pierwszych strzałów.

Któryś z naszych plutonów, bardziej wysunięty na lewo, zaczął gorączkowo wstrzeliwać się do miejsc prawdopodobnych stanowisk nieprzyjaciela.

Jeszcze jeden pocisk zakurzył na ścierni i po kilkunastu naszych strzałach znowu zapanował spokój.

Słońce zeszło w dół i załogi zaczęły okopywać się przed czołgami, montując browningi na podstawach w przygotowaniu do walki nocnej.

Szarzało coraz bardziej i z wolna zmrok zaczął siadać na nas, a z zapadającą ciemnością szedł do nas, niesiony lekkim podmuchem od morza, coraz wyraźniej szum motorów i głuchy łoskot poruszających się kolumn. Niemcy bezkarnie wychodzili z potrzasku. Nawet nasza artyleria milczała, jakby jej strzelać zabroniono.

I to się w naszym języku wojskowym nazywa ofensywą! We mnie się wszystko zaczęło gotować. Wielkie przygotowania, uderzenie na całej linii, początek jak na pokaz, nawet Sosnkowskiego ściągnęli, żeby się popisać. A rezultat - że tam dziesięć tysięcy z kwiatkami w lufach spacerkiem zmienia kwaterę.

Ciekawe, co sobie o nas pomyśli ten niemiecki generał?

Przebić tak front, dojść do szczytowego punktu, jeden jeszcze ruch, i co? Wszystko zmarnowane! I wysiłek, i życie ludzkie, i powodzenie.

Drogo się płaci za dyletantyzm i taną improwizację. Ceną na dzień dzisiejszy jest... ośmieszenie się.

Muszę pocieszyć kolegów, że może ten niemiecki generał jest świetnym rzemieślnikiem wojskowym, ale takich zalet ojcowskich i wychowawczych jak nasi i takiego przygotowania taktycznego nie posiada.

³⁸ Self propelled gun - samobieżne działo przeciwpancerne.

Zeszliśmy się za czołgami; miny były wyciągnięte i trudno było zacząć o czymś mówić. Każdy czuł to samo. Nie byliśmy ślepi.

Mnie już zupełnie roznosiło i musiałem ten nadmiar bezsilnej wściekłości rozładować. Zacząłem:

- Parę dni temu któryś z tych lepszych mołojców darł pysk na mnie w mesie, że jestem rzeźnik, że nie szanuję dowódców, że nie doceniam poświęceń i cierpień czy ofiar za ojczyznę. Moi kochani, te zarzuty może i nie są poważne, ale my tu tworzymy jedną, dzisiaj już bardzo zgraną całość, różni nas jedynie sposób rozumowania i oceny na bardzo małym odcinku. Ze mnie ci zimnokrwisci Anglicy zrobili rzemieślnika i bezmyślną maszynę do wykonywania zadania. A wam w szkole oficerskiej pakowano buławę marszałkowską do tornistra. I dlatego może i nasze podejście do wojny trochę się różni.

Pomijam ten epitet rzeźnika, przejdę do następnych. Nie szanuję ani cierpień, ani ofiar, ani poświęceń. To cechy słabych i bez kręgosłupa. Człowiek, co chodzi ze łzami w oczach i jęczy o swoich uczuciach i zasługach cierpienia, w gromadzie pęta się tylko pod nogami, a żyć mu dajemy tylko na naszej głupocie.

Co do dowódców - chciałbym, żeby każdy z was patrzył moimi oczami na pojęcie dowódcy. To, że facet z tytułu tyłkiem wysiedzianego stopnia zajmuje dowódcze stanowisko, wojskowo będąc na tę wojnę niedokształconym półinteligentem, na pewno mi nie wystarczy nawet do pojęcia szacunku. Mamy na pewno dobrych dowódców, i przed takimi stoję z czapką w rękę, jak przed tym pułkownikiem. A co do tych pierwszych, to najlepszym dowodem jest wykorzystanie tej ofensywy. Wszystko po staremu i tego, co mówię, potrafię wam dowieść. Pamiętajcie Potop? Postaram się wam odtworzyć słowa pana Wołodyjowskiego do Zagłoby: Siła książek w cudzoziemskim wojsku człek musi zjeść. Siła rzymskich autorów przewertować, zanim oficerem znaczniejszym zostanie. A u nas po staremu, szablami goli, a jak nie wygoli, to go wygolą.

No i co, dużo się zmieniło? Jak daleko te dzisiejsze nasze wodze odeszły od konnej podwody?

Co nam pozostało z naszej pięknej armii z Września? Najlepsi to albo zginęli, albo poszli do niewoli, innym strzelono w tył czaszki. A to, co tu mamy, to w większości jakieś resztki z drugich rzutów czy jakichś zapasów. I oni teraz dopiero uczą się na nas dowodzenia, a mnie się piana w gębie gotuje. Dajcie jeszcze tego pipermintu, to może mi przejdzie...

Ciemno się robiło zupełnie. Załogi kończyły okopywać się pod czołgami. Gdzieś z tyłu słychać było turkot i hałas ciągnących za nami jakichś transportów. A sprzed nas, zza wzgórz, dochodził z wiatrem od morza szum dalekiego ruchu wychodzącego spokojnie nieprzyjaciela. Co robić... mafish!

Drzemałem twardo w krzaku za czołgami, gdy zbudzono mnie na jedzenie. Było dobrze po północy. Szeף przywiózł na Stuarcie ten jedyny gorący posiłek dnia. I kolejno, czołgami, bractwo schodziło w dół, do zabudowali farmy na kolację. Mój był ostatnim czołgiem prawego skrzydła, więc szedłem w drugiej kolejce ostatni.

W dole między budynkami stał Stuart, z którego Kwiatkowski rozdawał podchodzącym jedzenie, z prawej dopalał się walący się budynek i płomienie migotały na gąsienicach czołgu i na twarzach siedzących i jedzących żołnierzy.

Usadawiłem się pod murem w cieniu i natychmiast sam szef przyniósł zupeł, a za nim - wyprostowany jak kelner w restauracji, z poważną twarzą, przejęty doniosłością funkcji - stał z talerzem w ręku żołnierz w niemieckim mundurze.

- A skąd, pan, szefie, wystrugał tego germańca?

- Nie było ludzi, więc wziąłem dwóch do pomocy. Nie uciekną. Zadowoleni, że wojna dla nich się skończyła. Ten mówi trochę po polsku, aptekarz z cywila.

Skąd ty umiesz po polsku? Wyciągnął się jak struna:

- W Bromberg brat mojej Mutter miał aptekę, ja był na praktyka.

Obiad nie był może zły. Była zupa jarzynowa i „sznycle” z ziemniakami, i nawet trochę przywiędnięta, w kwaśnej śmietanie, sałata. A deser - kompot morelowy z puszki i czarna kawa. Jak mówią, bez cudów!

Ale nie przespane noce, zmęczenie, które zaczęło powoli wyłazić mi z kości, złość, zawód, rozczarowanie i niechęć do wszystkiego zabiły głód. Odsunąłem talerz.

Podszedł Niemiec z kubkiem kawy:

- Herr Leutnant nie je? Warum?

- Nie jem, bo jeść mi się nie chce, gadać mi się nie chce, sam nie wiem, czy żyć mi się chce. Teraz chcę mieć tylko spokój.

- Ah, so! . .

Kiwnął na drugiego, odeszli dalej, w cień muru, zadźwięczała cichutko strojona harmonijka. I przez tę noc, przez te migocące płomienie, jak pięścią w zęby, w nasze zmęczone mózgi i pod ociężałe, opadające z braku snu i wyczerpania powieki uderzyły słowa i melodia piosenki, co szła razem z wiatrem pustynnym śladami naszych gąsienic:

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor,

Stand eine Laterne und steht sie noch davor...

śpiewał miękkim, cichym głosem:

Wie einst Lili Marlene...

Wszystko jakby stanęło, z wolna dwóch pozostałych odłożyło menażki, pochyliły się głowy. Z daleka, za nami, z biegnącej niżej drogi dobiegały wrzaski gwałtownej kłótni i warkot motoru. W podskakujących jęczyzkach dopalającego się ognia widać było chwilami nogi Kwiatkowskiego i kierowcy, opartych o Stuarda, twarze tonęły w cieniu.

Da sagten wir auf Wiedersehen,

Wie gerne woll' ich mit dir gehen,

Mit dir, Lili Marleene,

Mit dir, Lili Marleene...

Drąc powietrze jak kawał płótna, samotny pocisk poszedł wysoko nad nami w kierunku na morze.
Dopalona kłoda runęła z trzaskiem, rzucając, rzucając snopem iskier.

Aus dem stillen Raume, aus dem Erdegrund

Hebt mich wie im Traume dein verliebter Mund

Dość! To nie dla mnie ten skurcz szczęk. Teraz za wszelką cenę wyłączyć mózg i przestać myśleć.

Wstałem – i wlokąc się powoli w kierunku czołgów, razem z błyskami dogorywającego ognia wsiąkałem w czarny cień krzaków.

Wie einst Lili Marleene...

Psiakrew!... Na dzisiaj bitwa była przegrana, A na jutro...

Chi lo sa... Któż to wie?

Crocette, lipiec 1944

SERGEANT... YOU NEVER MISS

Jeszcze pierwszy promień słońca nie wyrzał zza wzgórz, a już plutony były gotowe do ruchu.

Wszyscy byliśmy ogoleni i po jakim takim śniadaniu. W nocy załogi czołgowe uzupełniły paliwo i amunicję, każdy miał za sobą pełne cztery godziny dobrego snu, i wszyscy byli mniej więcej wypoczęci. Nastrój był raczej apatyczny, bo rozczarowanie z powodu zakończenia wczorajszego sukcesu tak pięknego przebiecia nieudolnością naszych wodzów zepsuło humory wszystkim.

Razem ze słońcem zaczęto nas ściągać w dół, trochę do tyłu, na wąską szosę za cegielnią. Daleko, na wylocie idącym w zadrzewiony parów, widać było czerwone szczyty dachów Grancetta.

Jadwisiaka wezwano na odprawę, a w tym czasie zaczęły podciągać na naszą wysokość wozy pancerne i carriersy Piętnastego Ułanów. Zaczęło się robić trochę tłoczno; czołgi, carriersy, staghoundy, wszystko razem ściśnięte na jednej osi, a na dodatek zwaliły się jakieś ciężarówki, blokując zupełnie wylot. Mieliśmy uzasadniony powód do niepokoju. Staliśmy stłoczeni, bez możliwości ruchu, praktycznie bezbronni. Wystarczyła jedna nawała artyleryjska, by zrobić kompletną masakrę.

Kto tu dowodzi? Wiadomo, że nie Bobiński, bo go tu nie ma. Motyka by też nigdy do tego nie dopuścił. Facet, co się pcha tu na dowodzenie, nawet nie umie czytać mapy... Cholera z nimi!

Dobre pół godziny minęło tego bałaganu i kurzu, zanim carriersy Piętnastego zaczęły zjeżdżać w lewo z szosy w zakrzaczoną pochyłość, ale te ich parszywe ciężarówki zostały, jedna za drugą, tuż przy samym wylocie.

Przybiegł Jadwisiak, był wyraźnie zdenerwowany, jakby po sprzeczce. Kiwnął na mnie, wyskoczyłem z czołgu. Szliśmy, prawie biegnąc, bez słowa do samego końca wąwozu, tu ostrożnie wysunęliśmy się do przodu.

- Uważaj! Idziemy na Chiaravalle razem z Piętnastym Ułanów³⁹, dowodzi Kiedacz. Ta długa dolina z lewej to oś natarcia Piętnastego, ja dostałem rozkaz przeprowadzenia szwadronu tą zadrzewioną dróżką, idącą skłonem od miasteczka. Wglądu żadnego! Z prawej wzgórze, z lewej krzaki, nie można nawet w razie niebezpieczeństwa zejść w dół, nie można przyjąć walki; mogą nas bezbronych wybić po jednym z tych wzgórz, to samobójstwo!

- Dlaczego się zgodziłeś?

- Przydzielono mnie do Piętnastego na osłonę ich jakoby uderzenia na Chiaravalle, jak mogłem się nie zgodzić? Próbowałem tłumaczyć, nie chciał nawet słuchać, rozkaz! Motyka nawet gęby nie otworzył, a Bobińskiego nie było.

- Im się stale wydaje, że na koniach, że koń za nich myśli, kawaleria, psiakrew! Pretoriany Andersa!

- Jak ci się wydaje, Bohdan, czy ty będziesz w stanie mnie stąd osłonić? Przyjrzałem się dokładnie terenowi, zgrałem mapę, dolina z lewej do szczytu dominujących wzgórz, prawie trzy tysiące, mniej więcej to samo w przód, wszędzie na skłonach prawdopodobieństwo zamaskowanych stanowisk czy to czołgów, czy armatek ppanc, ale dołem idzie Piętnasty prawie zupełnie odstonięty tak od czoła, jak

³⁹ Batalion rozpoznawczy 5 Dywizji Piechoty im. 15 Pułku Ułanów Poznańskich.

i z lewej strony. Szwadron nie jest w stanie w tej sytuacji dać z siebie cokolwiek, musi zejść z dróżki dobry kilometr i tam dopiero może wejść do akcji, a ja mu mam to przejście umożliwić.

- Dolek! Jakież osiem setek do tego zakrętu osłonię cię na pewno z każdego kierunku; ale jak miniesz zakręt, to z przodu mogą strzelać tylko na wyczucie, bo inaczej musiałbym zejść w dół i skrócić sobie pole widoczności. Jednak w wypadku zagrożenia nie pozostaje mi nic innego, jak zejść i pchać się dołem do czołowego uderzenia.

- Zwariowałeś! W razie zagrożenia, gdy wyjdiesz na odkryte, to nie zdążycie zrobić połowy przebiegu, umrzecie w ruchu.

- Dolek, w razie zagrożenia zginie szwadron, a ja nie widzę innego rozwiązania.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, rzucił mi moją mapę:

- Trzymaj!

- Ruszamy! Pierwszy pójdzie Kromp, ja za nim, reszta, jak oni mówią, na ogonie. W twoje ręce!

Pobiegłem do czołgów, by zanim ruszy szwadron, zejść z osi i zająć stanowiska ogniowe o możliwie najlepszym wglądzie.

Czułem wzrastający niepokój: jak ja osłonię cały szwadron trzema lufami z tak wielkiego pola możliwego zagrożenia? Dziesiątki prawdopodobnych celów. Czy ja zdążę? Wolałbym iść na czołowego na miejsce Krempa, ten sobie na pewno da radę, najgorzej mają ci, co związani są tą dróżką.

Wysiliśmy z szosy na odkryty szczyt wzgórza i zjechaliśmy kilkanaście metrów w lewo na skłon. I tak jak zwykle, Pirożek z prawej, ja pięćdziesiąt metrów z lewej, trochę w tyle; jeszcze w krzakach, ale z pełną widocznością, Wankiewicz.

Teraz trzeba uprzedzić ruch szwadronu ogniem osłonowym; pierwszy cel, ten prawdopodobnie najniebezpieczniejszy... od czoła!

Zbocze końcowe kotliny, mały zakręt jakiejś dróżki, parę drzew, trochę krzaków.

- Działo! Em czterdzieści osiem... w prawo... wolniej... już!

- Spoziomuj!...

- W górę trzy obroty... w górę sześć!

- Ognia!

Kocham ten odrzut lufy! Oczy w lornetce... za długi.

- W dół cztery...

- Ognia!

- W celu!

Minął niepokój, minęła niepewność, wracał uśmiech, wracała radość walki.

Wciągnąłem przygotowaną na radiostacji parę białych rękawic.

- Do strzelania plutonem!

- Mój strzał... dozór!

- Co dwie podziałki... rozwinąć... prawo... lewo!

- Po sześć!

- W górę trzy obroty... w górę jedna!

- Wykonać!

- Kobierzycki! Co strzał... jedna podziałka w dół!

Rzucalo czołgiem! Rzucalo czołgiem Pirozka! Rzucalo czołgiem Wankiewicza w pośpiechu wysyłanych pocisków. Cholernie lubię strzelanie plutonem, to najskuteczniejszy rodzaj ognia i śliczny widok celu, pięknie pokrytego wybuchami.

Daleko na celu wykwitła równa linia naszych wybuchów; może gdzieś się domacamy. Pierwszy czołg plutonu czołowego minął zejście z szosy i zniknął między drzewami. Powoli z tyłu podchodził następny.

Cel numer dwa nie dalej jak pięćset jardów w lewo i trochę w tyle, krzaki jak żywoptot wzdłuż tej dróżki i coś jakby ciemniejsza plama prawie w środku.

- Teraz... snop zbieżny!

Włączyłem znowu „B”.

- W lewo... jeden obrót... w lewo pięć!

- Poprawka... po dwanaście... do środka!

- W górę cztery!

- Po trzy...

- Wykonać!

Jeszcze dymy nie opadły na pierwszym celu, a już nowe wybuchy pokryły następny. Ostatni czołg szwadronu zakołysał się na zejściu w dół, teraz trzeba opukać trochę lewą stronę wzgórz. I właśnie kiedy już otwierałem usta, by podać komendę, mignęła biała iskierka!

Trzask! Ciężarówka tuż za nami stanęła w ogniu!

Zrobiło się zamieszanie, próby wycofania wozów do tyłu. Traaach! Z drugiego wozu czarna chmura dymu... to z czołgu!

- Do strzelania czołgami! Cele... lewa strona... odległości do dwóch tysięcy!

- Wykonać!

Gdzie on może być?

Rozkaz wyleciał, zanim pomyślałem.

- Działo... dymny... w prawo... już!

- W górę trzy obroty... co cztery podziałki... w górę piętnaście...

- Fire!

Wylot lufy podniósł się wysoko na kierunku i... rzucił pociskiem.

Daleko, psiakrew! Jedna trzecia spali się w locie, ale może uda mi się zbudować ścianę dymu, może uda mi się zasłonić czołgi. Cholera z ciężarówkami - po co się pchają?

Z lewej strony na zboczu wykwiwały wybuchy granatów z moich czołgów i szły gorączkowo szybko jeden za drugim, wyszukując ukrytego gdzieś stanowiska działa. Szedł już mój pewnie piąty czy szósty i z wolna od czoła dym zaczął się podnosić do góry, gdy znowu mignęła mi się w lornetce iskierka. Chwilka - i tuż przed zakrętem z krzaków buchnął biały dymek... Może sekundy... i huk jakby eksplozji.

Jezus! Maria!... Trafili!

Jeden błysk świadomości... atak!

- Działo... pepanc!

- Kierowca... naprzód!

- Włączyć stabilizator!

Moim czołgom nie trzeba było dawać rozkazu, mój ruch im wystarczył, znali prawo battle-drillu.

Jak psy spuszczone ze smyczy runęliśmy trójką w dół i naprzód! Z tej strony kotlina trochę wąska, bo z lewej nie kończąca się ściana wysokiej kukurydzy, z prawej pochyłość zbocza, którym idzie szwadron; stłoczyliśmy się na mniej niż stu metrach. Żeby choć można się szeroko rozwinąć.

- Gaz!...

Jakieś drzewa, słupki, drut, parę kopek zboża czy siana, krzaki, to wszystko nic... Byle zdążyć!

- Prędeż! Bo wybiją nam szwadron!

- Jodis! Gaz!

Trzy głowy w wieżach wlepione w lornetki, wszystko na lewo, ale zesliśmy w dół i ponad zieloną ścianą widać tylko szczyty wzgórze. Znowu mignęła iskierka! Prędeż!!

Dochodzimy na wysokość ostatnich czołgów szwadronu - stoją! Dlaczego stoją? Jeden za drugim jak bezwładna masa żelaza. Niedługo czekaliśmy na odpowiedź. Prawie na samym zakręcie, odkrytym z lewej, czołg z lufą opuszczoną w dół; z wieży biały dymek, na wysokości kierowcy czarna dziura.

Boże!... To czołg Jadwisiaka!

Zrzuciłem hełm ze słuchawkami, już mi niepotrzebny i tak nic ani nikt mnie nie zatrzyma.

- Gaz! Psiakrew... gaz!

Teraz idziemy na kill!⁴⁰

Wiedziałem, że tego nie wolno mi było robić, że to był brak rozwagi, brak odpowiedzialności dowódcy. Ale ja z Dolkiem wczoraj piłem z jednej butelki, i to dla mnie miało w tej chwili największą cenę!

Z lewej kończy się pole kukurydzy i otwiera cała dolina. Zakręciliśmy trzema czołgami jak wozem w lewo i... naprzód! Silniki szły pełnym wysiłkiem, kierowało nami trzema prawdopodobnie to samo uczucie... Prędeż!

Czołg Wankiewicza zaczął nas trochę wyprzedzać.

Może to i była lekkomyślność, ale ja nie miałem miejsca na rozsądek czy rozważania.

Zabili Dolka!

Szliśmy, całkowicie odkryci, do czołowego uderzenia na niewidocznego i dobrze zamaskowanego nieprzyjaciela. To już przestało być ważne, który z nas dostanie pierwszy, może i drugi dostanie, ale trzeci będzie miał swój kill! Żaden z nas nie szedł umierać, myśmy szli... zabić!

W dole, na środku doliny, ułani - cała kolumna, stłoczona na jednej drodze, stoją! Jeńców szukają po kukurydzy, psiakrew! I to ma być oddział rozpoznawczy? A całe lewe skrzydło wzgórz nie rozpoznane i nie ubezpieczone. Kawaleria! Jak zawsze wielki pysk! I ramtaradara! Żeby ich jasna cholera!

Na pełnej prędkości przecięliśmy im oś marszu i znowu pod górę, ale pierwotne uczucie wściekłości zaczęło ustępować powoli na rzecz jakiegoś podniecenia, jakby sportowego zacięcia, współzawodnictwa - kto z nas lepszy? On - czy my? Strzeli - czy nie? Już nie więcej jak tysiąc jardów! Drugiego strzału nie przeżyje... cholera!

Zerknąłem w dół. Kobierzycki zgarbiony, z całą twarzą w peryskopie, Rusinek zgięty jak do skoku z pociskiem ppanc gotowym do powtórnego załadowania i z głębą ściągniętą napięciem oczekiwania. Właściwie zacząłem odczuwać jakby zadowolenie z tego cholernego pośpiechu i nieprzemysłanych odruchów.

Strasznie długi ten skłon, krzaki i znowu krzaki, mała rozpadlina, aż zarzuciło czołgiem, i żywoptot, i drzewka - chyba pierwszego celu.

Przeskoczyliśmy! Kawątek gołego pola i trochę niżej szosa główna na Chiaravalle. Pirożek skręcił w prawo, odszedł ze dwieście metrów i stanął na half-downie z kierunkiem na prawo w skos.

Rider!... Nie wytrzymał i uciekł! Podjechał, zabił i uciekł! To był pojedyńczy na pewno SP-gun, czołg by poczekał, żeby popróbować szczęścia z naszą trójką i dodać - in case of luck - trzy białe pierścienie na lufie.

⁴⁰ Zdobycz, zabicie.

Z prawej w tyle, daleko w dole, wyszły z zadrzewienia trzy czołgi i szły gazem na nasz kierunek, biorąc trochę na prawo. Idą prawidłowo dwa w przód, jak na ćwiczeniach - to musi być Kromp, bo Ziutek chodzi tak jak ja, linią wozów. Idą na nasze wsparcie. Kromp w mig się zorientował na kierunku i szedł od razu na moją prawą stronę; on wie, co robi, to bardzo dobry dowódca.

Teraz możemy sobie pogwizdać na każde zagrożenie, już jest nas dwóch, sześć luf armatnich, diabeł przez nas nie przejdzie i nie nadgryzie skórki tym - jak ich Dolek nazywa - pretorianom Andersa.

Rusinek uporał się z radiostacją i z flegmą oznajmił, że trzech ludzi załogi zginęło, ale porucznik Jadwisiak tylko ranny, i to nieciężko. To Pirożek i Wankiewicz musieli wiedzieć od dawna. Ja tylko przez tego całego Rusinka, ale przecież zrzuciłem hełm, więc właściwie to ja sam wystrychnąłem się na dudka. Może lepiej o tym nie gadać, bo przebieg mieliśmy piękny, skończyło się dobrze, jakoś swoje działanie w ładne słowa ubiorę i jeszcze mogę się... wymądrzyć.

Wylazłem z czołgu i zacząłem orientować mapę. Szosa idzie trochę w lewo i schodzi serpentyną do miasta. Chiaravalle w prostej linii, nie dalej jak półtora kilometra, leży zupełnie w dole, za tymi dwoma wzniesieniami, ostatnie, wyższe, ciągnie się prawie kilometr w prawo; z lewej jakieś zabudowania, prawdopodobnie farmy, zakrzaczzone wzniesienie, a za tą górką biegnąca w dół serpentyna. Do walki musimy wejść na ostatnie wzgórze, i mamy miasto jak na talerzu, byle reszta czołgów wydostała się tam z tej dróżki.

Może ta cała - jak ją Benek szumnie nazywa - ofensywa dłużej niż dwa dni nie potrwa. Przecież muszę się jakoś wyrwać do Crocette, bo dziewczyna mi się zamartwi, a do Benka pocieszenia nie mam wielkiego przekonania; gotów mi dziewczaka rozpić, a mnie wplątać w jakąś kabałę. Przecież jego trzymają się zawsze jakieś szatańskie pomysły. Zaczęło mi się robić trochę nieswojo.

A tam w dole ułany jak stali, tak stoją; pcha się do nas jakiś jeep pod górę, bodaj że sam Kiedacz.

Złość mnie już odeszła na tych ułańskich ciubaryków i ucieszyłem się na to spotkanie, bo bardzo lubię Zbyszka Kiedacza i choć mam cichy żal do niego o Adama⁴¹, ale Zbyszek żołnierz prima i mąż Haneczki, a jego wesele w Kairze było dla mnie przeżyciem na zawsze.

*

Jeszcze przed pójściem do kościoła Benek wciągnął mnie do knajpy:

- Napijmy się, Bohdan, bo smutno mi się zrobiło; naszą Haneczkę wydajemy za mąż i łzę mam w oku. Muszę się napić.

To mi odpowiadało, więc trzasnęliśmy po dwa double, żeby w kościele przystojniej wyglądać.

W kościele jak w kościele, ale w hotelu - że to przyjęcie grzeczne mama Ambrożyna córce wystawiła, więc znowu z Benkiem po jednym, tak dla lepszego samopoczucia. Diabli nadali tego starego Gauzę, i dawaj do nas przepijać (dziada w sercu nie noszę, bo chodzić do mamy Ambrożyny to chodzi, ale się

⁴¹ Major Adam Bieliński.

nie wypowiada). Już chyba po dobrych trzech, jak im obu zaczęły do żurawiejskich przysudów kolana drygać, uratowała sytuację śliczna Zosia Tarnowska:

- Słuchajcie, chłopcy, możemy pięknie tę uroczystość zakończyć. Mam wejście do klubu królewskiego, mogę was wprowadzić.

Wystarczyło jedno słowo - spławiliśmy starego opoja i buch do taksówki.

Lądujemy. Klub nad Nilem, piękny taras, orkiestra na biało, gra cichusieńko coś modnego. Pycha.

Zamówiliśmy drinki, dla Zosi coś soft and long, a my, po prawie, brandy i ginger-Ale. I wszystko by się uroczo i pięknie zakończyło, bo to i noc cudna, i ten Nil ze światłami wielkiego miasta, i ta egzotyka, i ten nastrój, gdyby cholera nie przyniosła Faruka.

Orkiestra dyskretny tusz, Zosia z dygiem, myśmy powstali, ale Benkowi aż błysnęły oczy. Zrywa się i ze szklanicą pruje do monarszego stolika, trzask Faruka łapą w łopatkę i po polsku:

- No, stary dzwońcu, napijemy się!

Do króla Egiptu z... dzwońcem! Jak do sąsiada na targach końskich w Lublinie!

Ja wytrzeźwiałem, Zosia - biała jak ściana, jak sama później mówiła, mało się nie zsiusiała w majtki, ale Faruk, że to elegancki król, wstaje i trąca się z tym gadem szklankami... Przepili!

Benus pięknie się uklonił i wraca do stolika z tryumfującą miną jakby spełnionego obowiązku.

Zosia na niego:

- Benek! Jakżeś ty mógł!

A on nic, tylko do mnie z pyskiem:

- Na jego fotelu siedzisz, jego wódkę pijesz, a nawet uszanowania dla Jego Królewskiej Mości okazać nie potrafisz - i jeszcze coś tam o prostaku.

To już była kropla ponad miarę. Fotel fotelem, nieważne, ale za wódkę zapłaciłem, i to słono, a prostaka już strawić nie mogłem. Przemówiliśmy się mocno i już nie bacząc na obecność Królewskiej Dostojności, chciałem kochanego koleżkę przykarcić i w ucho przyządlić, ale Zosia jakoś załagodziła.

Do potomka faraonów on ze... starym dzwońcem!

*

Tak, to Zbyszek Kiedacz, najmłodszy dowódca pułku w korpusie. Wyszedłem na spotkanie, żeby się przyzwocicie zameldować.

Z daleka już uśmiechnął się do mnie:

- Już wiesz pewnie, że twój dowódca ranny, szkoda mi bardzo go tu tracić, bo to naprawdę ładne dowodzenie; ten ruch waszych czołgów wyglądał imponująco.

Odetchnąłem. Kochany Zbyszek! Już Motyka ma gębę zamkniętą, wszystko pójdzie na Dolka dowodzenie.

- Pokaż mapę, ja nacieram pułkiem po tej szosie i lewą stroną, musicie dać mi osłonę z prawej, z tych wzgórz... Zrozumiane?

- Tak jest, panie majorze!

Obydwa przegapiliśmy maleńki szczegół, że to małe, zadrzewione wzgórze zasłoni nam zejście Piętnastego i będą szli z lewej... bez wsparcia. Do czołgu i... jazda!

Idę na lewą stronę Pirożka. Machnąłem ręką Wankiewiczowi - przeszedł za mną na jego prawą. Doszliśmy na jego wysokość i razem szeroko, linią wozów naprzód.

Wąska dolina, przebieg może pół kilometra, pola uprawne, w dole polna dróżka, parę słupków, drut - i pod górę. Pole po pszenicy, stoi jeszcze trochę kopek na szczycie. Z lewej ładne, białe zabudowania.

Idziemy wolno pod górę, następny pluton za nami szedł już linią wozów na naszą prawą stronę.

Już widziałem dachy Chiaravalle, gdy trzasnęło po czołgu. Strzelają, psiakrew!

- Stój!

Stanęliśmy na pełnym half-downie, ale ja z wieży widziałem już całe miasto i część zbocza, po którym biegłem w dół pułko kilkunastu gemajnow. Przekręciłem browning, szarpnąłem taśmę, rączka do tyłu - tych dwóch z lewej, sto pięćdziesiąt... cztery... trzy... cztery... trzy... trzy... trzy... trzy... No, jeden leży! Drugiego - już dolatywał do płotów! Teraz tamtych trzech... trzy... trzy... trzy... jeden leży, reszta uciekła.

A jednak Gary Cooper lepszy za machingunem, jemu frankiści kładli się dziesiątkami. I pomyśleć, że są głupi, co w to wierzą!

Przed nami w dole miasto ciągnące się doliną sadów pod powoli wznoszące się wzgórza aż gdzieś pod Monte S. Vito. Do pierwszych domków nie mamy dalej jak trzysta jardów.

Piękne stanowiska ogniowe, sześć czołgów wzdłuż długiego wzniesienia, z wyciągniętymi naprzód lufami, czujne jak żurawie. Teraz możemy sobie poczekać na to natarcie, złudzeń nie miałem, organizacja przysłowiowa, mamy kupę czasu.

Wylazłem z czołgu i schylony, ostrożnie kryjąc się za kopkami, podczołgałem się prawie do szczytu. Miasto widać jak na dłoni, ruchu żadnego, ale czuć, że przyczajeni.

Hałas się zrobił przy czołgu, więc wróciłem. Przyleciał z tych zabudowań jakiś Włosina, przyniósł bakszysz - trzy butelki francuskiego różowego szampana, ale krzychał brzydki na faszystów i Mussoliniego słownie ogromnie ponieważ. Sam był pewnie faszystą; gdy karta się odwróciła, on teraz największy wróg. Żeby nie ten bakszysz, to bym mu kopniaka zafundował, ale że się tak zgrabnie okupił, więc go tylko trochę postraszyłem, że mało nóg nie pogubił.

Szampan trochę ciepły, ale wydoiliśmy butelkę, i to w sam czas, bo do zbocza podjechał łaźnik.

Pułkownik Bobiński!

- Oho! Pułkownik już jest, za chwilę zrobi się ciepło - mruknął Kobierzycki, nurknął do wieży, zaczął pilnie sprawdzać amunicję i na wszelki wypadek układać pod działo.

Podszedłem do tyłu:

- Panie pułkowniku!

- Miło pana zobaczyć, no i niech pan powie, jak tu wygląda?

- Panie pułkowniku, miasto w dole, wgląd świetny, ale proszę uważać dochodząc do szczytu, bo strzelają z dołu - jak dotąd tylko broń maszynowa.

Pułkownik się uśmiechnął i powoli zaczął podchodzić do grzbietu, gdzie położył się za kopką pszenicy i zaczął lornetką obserwować przedpole.

Wróciłem szybko do czołgu. Teraz skończyła się lipa, czuć było akcję; nie na darmo jest Bobiński. Kobierzycki, co mówił, to czuł.

Ale kto do diabła dowodzi szwadronem?

Z sieci nic się nie można zorientować, a pytać nie mam zamiaru, bo czy mi to źle?

Tak minęło chyba z pół godziny, pułkownik odwrócił się i kiwnął na mnie. Podczołgałem się koło mego.

- Lornetka!

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Przed nami wzgórze, prawie na szczycie wieża kościółka...

- Widzę!

- Trochę w dół i prawo... co pan widzi?

- Wąską linię szosy z zakrętem wchodzącym w zadrzewienie.

- Dobrze! A teraz niech pan uważa.

Wlepiłem oczy w lornetkę. Minęła minuta, może dwie, na szosie zakurzyło się, na prostą wypadł samochód, doszedł do zakrętu i zniknął za drzewami.

- Widział pan?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Czy można tam strzelić i czy można trafić?

Uśmiechnąłem się zamiast odpowiedzi.

- Niech pan spróbuje.

- Rozkaz!

Czy można trafić? Boże... z takiej armaty! Toż ona pocisk zanieś jak ręką na cel.

Z oka trudno, z mapy prawie pięć tysięcy, kąt położenia prawie ten sam, na derywację przy tej odległości muszę dać najmniej dwie podziałki.

Stanąłem - jak kiedyś na pustyni - z tyłu czołgu za wieżą. Za wszelką cenę muszę wejść pierwszym pociskiem. Teraz strzelam dla... widowni!

- Działo! Granat... wolno... wolno w prawo.

Przez sweebey-sight⁴² naprowadzam na kierunek.

- Już!

Wziąłem drugą lornetkę, wspaniała! Zdobyczna, dwunastokrotna, ze szkłami Zeissa.

- W lewo... dwie podziałki!

Cholernie daleko... ale!

- Kwadrant... cztery dwadzieścia osiem!

Jeszcze jeden, ostatni rzut oka na wylot lufy.

- Ognia!

Powoli podniosłem lornetkę. Pirożek aż do połowy wychylił się z wieży. Jeszcze dwie sekundy i... czarny wybuch tuż, tuż za zakrętem.

Uczucie ulgi, a przecież byłem prawie pewny, że mnie nie zawiedzie.

Pirożek dał mi znak ręką, jakby mówiąc, że widział wybuch i naprowadza swoje działo na kierunek.

- W dół jedna podziałka!... Czekać na rozkaz!

- Pirożek!

- Mój strzał... dozór!...

- W lewo dwie podziałki... kwadrant... cztery dwadzieścia osiem... w dół jedna.

- Czekać na znak ręką!

Oczy w lornetkę. Przy utracie prędkości początkowej na tę odległość przelot co najmniej siedem sekund... Dam sto jardów wyprzedzenia. To będzie strzał! To nie tylko ars gratia artis, tu zobaczycie, czy moja wiara w duszę armaty jest tylko wizją dziecinnych snów.

Dłużyły się minuty. Zakurzyło się na białej nitce szosy, wypadł samochód... Podniosłem rękę... już dochodzi do podziałki w lornetce...

⁴² Pomocniczy przyrząd celowniczy na wieży czołgu.

- Fire!

Targnęło czołgami! Poszły obydwaj... gdzieś aż pod słońce!

Kobierzycki wyjrzał z wieży z swoją drugą lornetką. Samochód dochodził już do zakrętu, zwolnił i... czarna chmura wybuchu, a w niej druga!

Zeskoczyłem z czołgu, byłem pewny, że z tego dymu nikt ani nic już nie wyjdzie.

Mijały sekundy. Pułkownik Bobiński wstał, obrócił się i on - ta część legendy Pustyni Zachodniej - zaczął bić brawo... jak w teatrze!

Z wieży twarz Kobierzyckiego z uśmiechem pełnym tryumfu, daleko z czołgu Pirożek przesyłał ręką gest powinszowania.

Odpadło uczucie pewności siebie, dumy, zadowolenia. Pozostała cieniutka niteczka nostalgii za czymś z odległości minionych dni. A chociaż wiatr pustynny dawno już zawiął piaskiem ślady gąsienic, to brawo pułkownika, uśmiech Kobierzyckiego, dumnie na słońce wzniesiony wylot lufy wróciły mi ukłuciem w serce cień echa błąkającego się jeszcze gdzieś w mózgu.

„Sergeant... Lily must be crazy about you... Sergeant, you never miss!”

Crocette, lipiec 1944

METAURO RIVER

Poderwano nas w nocy alarmem.

W niecałe dwadzieścia minut szwadron stał już na kierunku wymarszu. Jak zwykle pierwsze chwile - gorączkowe oglądanie się, czy nie przeoczono jakiegoś szczegółu, i ostatnie dociąganie na siebie pasów i ekwipunku. Trochę wesołego gwaru i bieżaniny, i błąkania się po omacku, ale po paru minutach wszystko się uspokoiło poza hukami grzanych motorów.

W czołgach strojono radiostacje i układano już dokładniej cały osprzęt.

Wszystko szło jak automat. Niepotrzebne były rozkazy, pytania czy sprawdzanie czynności. To był już żołnierz wciągnięty w rutynę walki i dryl. Winszowałem sobie „nosa”, bo wróciłem przecież niecałe pół godziny temu z kolacji w Crocette. I znowu świeczki na stole, Laura w ślicznej sukience, i piękna porcelana, piękne srebra, wspaniałe wino, i ten tak niecodzienny nastrój. Całe szczęście, że nie zostałem na noc. Ładnie bym się ubrał. Wiem, że Dolek przysłałby gońca, ale było nie było miałbym to długo na sumieniu.

Już od paru dni - po cichu - oczekiwaliśmy podciągnięcia pod front i nie bardzo rozumiem, dlaczego biorą nas alarmem. Pewnie znowu generał Rakowski, trochę za bardzo Spartanin, nie oparł się pokusie, żeby nie wypróbować naszej sprawności. Co prawda można się było wyspać. Sam spać nie może, to i drugim nie da, w harcerza się bawi żartowniś.

Mogli i Niemcy kota popędzić naszym wodzom, więc znowu będą naszym pułkiem dziury łątać. Ciekawym, jak długo będziemy teraz czekać na wymarsz.

Nie czekaliśmy!

Podjechał jeepem Dolek:

- Bohdan, wygląda, że zaczęło śmierzieć na froncie, prawdopodobnie wejdziemy prosto do walki. Ja przeprowadzę szwadron, a ty, proszę cię, wyśpij się, masz przed sobą co najmniej trzy godziny. Buona notte!

No, nareszcie coś! Bo to ciągle wleczenie się za frontem, ciągle zatykanie nami dziur, te potyczki bez żadnego znaczenia już wszystkim obrzydły. Jak tylko ktoś napaskudził czy nie mógł dać sobie rady, to jakby zapisał... podciągano nasz pułk, by za innych karku nadstawiał.

Byliśmy jedynym pułkiem brygady, który chodził na jednej sieci, i jedynym, który był używany do walki tylko pełnym pułkiem. Z pozostałymi pułkami sprawa przedstawiała się inaczej.

Czwarty Pancerny był twardym pułkiem, o najlepszej obsadzie szwadronów w brygadzie, ale nie miał szczęścia do dowódców. Po pierwszym, zdjętym z dowodzenia, dostali nowego dowódcę i zastępcę, obu oficerów kawalerii, bez wyszkolenia czołgowego i bez doświadczenia, których możliwości dowódcze nikły przy takiej klasie dowódcach szwadronów, jak Drelicharz czy Rudnicki. Nie potrafili oni jeszcze nawet zgrać pułku na jedną sieć, co zmusiło dowódcę brygady do używania tylko poszczególnych szwadronów.

Gorzej było z Krechowickim. Tam trzonem pułku był bardzo dobrany zespół młodych oficerów i podchorążych, i to kończyło się na stopniu porucznika. Natomiast cała starszyna nadawała się raczej do tatarskiej jazdy albo do organizowania świąt pułkowych czy festiwali kawaleryjskich. Jak dotąd mieli większe straty w wypadkach samochodowych niż na polu walki, a odznaczenia, jakie posypały się na pułk za urojone zwycięstwa, były przedmiotem drwin i kpin obu pozostałych.

U nas w szwadronie stosunki nie mogły być lepsze. Wszyscy się dotarli i zgraliśmy się tak, że ubytek jednego mógł zachwiać równowagą całości. Dyscyplina była przykładowa, a życie się wszystkich - jak jednej załogi. Jadwisiak wyrastał na najlepszego dowódcę szwadronu pułku.

Dobrze mi było i nic mi nie przeszkadzało, że właściwie nie miałem określonego stanowiska w szwadronie. Od czasu, jak dostałem drugą gwiazdkę, zawsze w walce dowodziłem dwoma czołowymi plutonami, natomiast na etacie zastępcy dowódcy był z reguły jakiś mniej znaczny zawodowy. Nic mnie to nie obchodziło ani dotyczyło, byłem zupełnie happy.

Koc pod działo i choć trochę rzuca, może jednak się zdrzemnę.

Obudził mnie bezruch. Obudziłem się jakby zaczadzony, bo chyba cały czas majaczyła mi się we śnie jakaś walka, jakieś dowodzenie, odległości, nastawy zapalnika, dym i cztery plutony w przód, i komenda... czołgi na czołgi!... I szturm, i znowu to samo... czołgi na czołgi! Nie mogłem otrzeźwieć od tej dziwnej sennej zmory, siedzącej mi na mózgu.

Wylazłem z czołgu. Ciemno było jeszcze zupełnie, tylko czarne sylwetki czołgów odcinały się na tle jaśniejszych krzaków. Zrobiło mi się nawet zimno i z tą ociążałą głową daleki byłem od zachcianek jakiegokolwiek działania.

Jadwisiak wyrósł jak spod ziemi:

- Nie śpisz? To dobrze, idziemy na odprawę.

Szliśmy przez krzaki może parę setek kroków, potykając się w mroku na wszystkim, co się wepchało pod nogi. Dolek coś mówił o przemarszu, coś mi tłumaczył, ale nie brałem nic, byłem zupełnie odurzony i jakby zaćmiony czy zaczadziały.

W małej chałupinie, przy lampce zgromadzeni byli już wszyscy. Motyka pochylony nad mapą. Andrzej Gromadzki, Staś Masztak, Stryjewski, Franek Faszczewski, Cybruch. Panował półmrok i było trochę duszno od dymu.

Motyka podniósł głowę:

- Wszyscy? Proszę panów, sytuacja ogólna: oddziały czołowe 26 dywizji pancerniej SS uderzyły na styk naszych dwóch dywizji. Czwarty pancerny został zepchnięty i podobno ma duże straty. Dostałem rozkaz wejścia na ten styk i powstrzymania za wszelką cenę ruchu jednostek pancernych nieprzyjaciela. Proszę panów, przewidzieć należy możliwość dużych strat, a nawet zniszczenia pułku. Proszę zorientować mapy. Gotowe? Ostatnie wiadomości o nieprzyjacielu na tym odcinku - to że jego wysunięte oddziały dotarły do Rosario... to jest tutaj. Postój naszych czołgów należy traktować jako podstawę wyjściową. Od tego pierwszego pasma wzgórz dzieli nas około półtora tysiąca jardów, dalej

dolina, prawie tysiąc jardów przebiegu, i pierwsze domki Rosario... to jest tutaj. Czy nieprzyjacielskie jednostki pancerne osiągnęły już to pierwsze wzniesienie, nie wiadomo. Chcę wierzyć, że nie, ale...

Mapa zaczęła rosnąć w moich oczach, coś zaczęło mi błyskać w mózgu oderwanymi, szybko skaczącymi obrazami wyobraźni. Coś wydawało mi się dziwnie blisko znajome.

- Biorąc wszystko razem pod uwagę, zarządzam: pułk idzie prosto na te pierwsze wzniesienia... jednym w przód! W szwadronach i plutonach jeden w przód i proszę być przygotowanym na walkę pancerną.

Zapanowała chwila ciszy.

Ja przeżywałem uczucie jakby ciężkiej gorączki, czułem, jak drżą mi usta, i starałem się opanować dygocące ręce.

- Który z panów ma jakieś pytanie albo uwagę? Znowu zapanowała cisza.

Minęło parę sekund i - zupełnie bezwiednie - wyrwało mi się:

- Panie pułkowniku! Rozumiem, że naszym zadaniem jest powstrzymanie nacierającego nieprzyjaciela na tymże określonym odcinku. W myśl obowiązującego szymła, żeby powstrzymać ruch nacierających czołgów, należy wprowadzić w jak najszybszym czasie jak największą siłę ognia na jak najszerszym odcinku. W założeniu szyku jeden w przód wprowadzamy do walki z czterdziestu ośmiu w dyspozycji tylko... jeden czołg.

- Jak pan to widzi? - rzucił Motyka.

- Ja, panie pułkowniku, widzę tylko w szwadronach cztery plutony w przód, a w plutonach linie wozów.

Motyka nie spuszczał ze mnie oka i zacząłem się powoli uspokajać. Otarłem rękawem pot z czoła.

- Co panowie na to?

- Nie, panie pułkowniku - odezwał się Masztak - ten szyk jest nie do przyjęcia, bo jeśli nieprzyjaciel zajął już te pierwsze wzgórza, to dwa szwadrony idą na kompletne zniszczenie. - I patrząc na mnie, dodał z naciskiem: - Porucznik Tymieniecki chce zrobić popis walki czołgów.

- Tak, tak - mruknął Cybruch - to wariactwo.

Motyka obrócił się do Jadwisiaka:

- A ja jestem zdania porucznika Tymienieckiego.

Zapanowała długa chwila milczenia. Motyka cały czas, jakby ważąc coś w mózgu, uporczywie wpatrywał się we mnie.

- Zdecydowałem! Pułk idzie pierwszym szwadronem, jeden w przód. W szwadronie porucznik Tymieniecki dowodzi dwoma plutonami i będzie szedł takim szykiem, jaki okoliczności mu narzuca. Proszę wykonać!

Wyszliśmy bez słowa. Nie mogłem zrozumieć wystąpienia Stasia Masztaka, bo przecież gdyby rzeczywiście Niemcy już siedzieli na stanowiskach pierwszego wzniesienia, to na pewno pozwoliliby nam wyjść pełnym pułkiem i dużo łatwiej zniszczyliby nas w głąb niż na szerokim froncie. Każdy może mieć swoje teorie, ale ja wierzyłem by the book.

Szliśmy szybko, błędząc po wertepach, a mnie ciągle majaczył się obraz walki z nocnej zmory. Przecież z mapy teren taki sam i prawie te same odległości, i tam też były czołgi, i ruch spotkaniowy, i szliśmy szeroko linią wozów.

Z kierunku nieprzyjaciela szedł pocisk i trochę za nami rozprysnął się wysoko na de szarego nieba. Oho! Wstrzeliwują się ciężko, widać już wiedzą, że gdzieś jesteśmy w tej stronie. Przyśpieszyliśmy kroku i już zamajaczyła czarna sylwetka pierwszego czołgu, gdy usłyszeliśmy idący drugi. Rozprysł się nad nami. Dolek runął na ziemię, trzymając się obu rękami za klatkę piersiową.

- Dostałem, psiakrew! Ale nie boli.

Ukląkłem: - Dolek, gdzie?

Między palcami ciekła już krew.

- Słuchaj, Bohdan! Bierz szwadron i pamiętaj, że ty dowodzisz tak, jak będziesz uważał. Ciebie obowiązuje tylko ostatni rozkaz, to jest mój rozkaz... Śpiesz się!

Już lecieli od czołgu.

Wezwać lekarza i sanitarkę!... Dolek, jak się czujesz?

- Śpiesz się!... - odwrócił głowę i więcej już nie chciał mówić.

Ja już biegłem do czołgu, ale tu, mimo że było zupełnie szaro, Stapiński podał mi ręcznik i przybory do golenia. Z tyłu na czołgu leżał nowy kombinezon i śnieżnobiałe pasy bojowe.

Podbiegli koledzy... co się stało?

- Dolek ranny, idziemy na tamte wzgórza... silniki!

A teraz opanować się, skupić, spokojnie, za wszelką cenę spokojnie. Goliłem się, i starałem jak najwolniej...

- Wina! - podano mi pełen kubek. Żeby tylko opanować tętniące skronie... drugi!

- Do czołgu!

Było już szaro i choć rozpościerająca się przed nami dolina leżała jeszcze w czarnym cieniu, to coraz wyraźniej zaczynały się odcinać ciemne kontury drzew dalekiego szczytu wzgórz na tle jaśniejszego nieba.

- Działo... em pięćdziesiąt cztery... po dwa...

- Zapalnik... jeden coma osiem...

- W lewo... już!

- Kwadrant... osiem trzydzieści.

- Czekać na rozkaz!

Rozwidniało się błyskawicznie. I już coraz wyraźniej widać było całą dolinę i jeszcze kłębiące się w oczach krzaki na zboczu przeciwległego wzgórza. Nie miałem już żadnej wątpliwości, że nie po raz pierwszy tu jestem. A teraz - głęboki oddech nosem.

- Wszystkie stacje „Adam”!

Zgłosili się kolejno, jak zwykle.

- Wszystkie stacje „Adam”... kierunek... godzina... pierwsza.

- Cztery w przód!

- Pierwszy... trzeci... czwarty... drugi.

- Linia wozów.

- Duże odległości.

- Szczyt wzgórza przed nami.

- Na pełnym gazie... Wykonać!

Zrobił się ruch w krzakach. Zadymiły silniki. Plutony wychodziły na kierunek, przyjmując narzucony szyk, i czołgi zaczęły się rozchodzić, zwiększając odległość w miarę oddalania się.

Dolek może być dumny, ten szwadron chodzi jak... karuzel!

- „Adam” trzy... uwaga!

- Kierunek wysoki rozprysk! Powtarzam: kierunek wysoki rozprysk.

- Fire!

Targnęło odpałem, w pięć sekund... następnym.

Odrzut lufy wrócił mi równowagę. Zaczynała się bitwa, nasza bitwa. Bitwa o Metauro river!

Wysoko nad wierzchołkami dwóch najwyższych drzew biały obłoczek pierwszego rozprysku i w parę sekund następny. Kierunek dokładnie wyznaczony.

- Kierowca... naprzód!

Szwadron szedł już równo czterema wpród, nabierając szybkości i jeszcze trochę zwiększając dystanse między czołgami. Wyciągnęła się już w dole długa linia, pokrywająca co najmniej pół kilometra i jeszcze rozchodząca się szeroko na skrzydłach.

Zostałem w tyle najmniej sto jardów, by mieć lepszy widok całości.

Szliśmy doliną prawie po równym, pełnym wysiłkiem silników, na łagodną pochyłość tego pierwszego i docelowego grzbietu długiego wzniesienia. Jeszcze nie więcej jak osiemset. Gdyby tam byli, to już się powinny palić nasze pierwsze czołgi. Ani jednego strzału! Czołg podskakiwał w biegu i zaczęły mnie już boleć oczodoły od wciśniętej lornetki. Wchodzimy na pochyłość.

Lewe skrzydło trochę się wysunęło naprzód, skłon tam łagodniejszy, a idą pełnym rozpędem.

Podchodzimy... Pierwsze krzaczki i może nie więcej jak sto metrów do celu.

Lewoskrzydłowy czołg wchodzi już krzakami na grzbiet. Czy on nie idzie za daleko?

Odpowiedzią był obłok białego dymu, błysk i eksplozja! Na rany Chrystusa... to Wankiewlcz!

- Kierowca, w lewo!

Może... może nie wszyscy... Boże, daj, żeby nie wszyscy!

Ale z tej eksplozji i z kłębow dymu nikt już nie wyszedł.

Wankiewlcz, taki wspaniały chłopak. Najmłodszy podchorąży Pierwszej Dywizji Grenadierów z Francji. Odznaczony Croix de Guerre z Citation de l'Armée! Taki żołnierz, i tak bardzo mi bliski.

Nie wytrzymał, za gorący, poniosło go, poszedł tych parę metrów za daleko. Przecież wiedział, że tam muszą być czołgi, przecież nie nowicjusz, przecież taki żołnierz, i jak on mógł się tak wychylić...

- Stój!

Z pobliskiego czołgu wyskoczył Lesiak i zaczął podbiegać do palącego się wozu. Wariat! Psiakrew! Nie przebiegł nawet dwudziestu kroków, nie zdążyłem nawet krzyknąć. Pod samymi nogami mały obłoczek białego dymu i wybuch... aż rzuciło nim w powietrze. Runął i zaczął rzucać się na ziemi.

- Apteczka!

Złapałem bandaż i dwie tuby morfiny.

- Rusinek, wezwać sanitarkę!

Skoczyłem z czołgu. Podbiegłem od tyłu, nie więcej jak pięćdziesiąt kroków, ostatnich kilkanaście podczołgałem się na ziemi. Straszne! Połowa pleców i cały tył wyrwany, kilogramy mięsa... Białe błony i krwawiące mięśnie... Rzucił się i krzyczał.

- Spokojnie, chłopcze.

Nacisnąłem mu kolaniem szyję i wcisnąłem głowę w ziemię, żeby go utrzymać. Wbiłem pierwszą tubę morfiny przez kombinezon wysoko w ramię, a drugą w zdrowe udo. Młody, silny, musi wytrzymać. Niech się teraz nie męczy. Za chwilę będzie sanitarka.

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie, za chwilę cię opatrzą. Poleżysz sobie trochę, odpoczniesz i wrócisz. Nie martw się, teraz trochę boli, ale przestanie.

Trzymałem go ciągle silnie przy ziemi. Minęła minuta, może dwie, zaczął się uspokajać, zwolniły się mięśnie. Zdjąłem kolano; leżał spokojnie i usiłował zamknąć oczy. Pogłaskałem go po twarzy. Nie bardzo wierzę, żeby mógł się z tego wykaraskać. Nie wiem, czy ma skończone osiemnaście lat. Szkoda chłopaka.

Biegając z powrotem widziałem już z tyłu, daleko, jadącą sanitarkę.

Czołgi stały wszystkie rozrzucone szeroko wzdłuż grzbietu wzgórza, zamaskowane krzakami, starając się nie wychylić nawet wierzchołka wieży ponad horyzont.

Maskowani szerokim drzewem podeszliśmy prawie pod sam szczyt. Wskoczyłem z czołgu, a za mną anioł stróż Stapiński z tommygunem. Tych ostatnich kilkanaście kroków podchodziliśmy wolnusiętko, złamani prawie wpół.

Pierwszą niespodzianką był siedzący w dziurze za krzakiem malin germaniec. Nie zdradzał ochoty do oporu, rączki trzymał wysoko i buzię miał białą jak ściana. Stapiński pokazał mu ręką kierunek do tyłu. Wskoczył z okopu i bryknął galopem w dół. Z pobliskiego krzaku drugi, już nawet nie podnosząc rąk, popruł za koleżką.

A jednak mieli tu wysunięte patrole. Przyszli pewnie z wieczora, bo już zdążyli się porządnie okopać.

Podczołgałem się do samego szczytu przy drzewie i spokojnie, przy samej ziemi, rozgarnąłem gałązki i trawę. Wpierw ostrożnie, bez lornetki, bo mogą przypadkiem błysnąć szkła.

Z prawej wschodziło słońce i już w pełnym świetle widać było całe przedpole. Dosyć głęboka dolina ze skłonami uprawnych pól, krzakami i zielenią trawy w samym dole. Wygląda to tak, jakby wiosną płynął tu jakiś ichniejszy Rubikon. Idąc od lewej, podnosząca się winnicami pochyłość, drzewa długiego sadu, wysoka tuja, trzy domki, płotek ogródka i droga, co idzie prawą stroną doliny, prostopadle na pluton Paciukanisa. Z drugiej strony tej drogi dom, otwarte podwórze, budynek z czerwonej cegły, a dalej góra, drzewa i krzaki. Na skłonie do nas - winnice. Odległość coś ponad osiem setek, ale te domki na przeciwległej wyniosłości są jednak niżej położone od nas i naszych stanowisk.

Jest i trochę ruchu. Właśnie przez drogę przebiegło schylonych pewno z pięciu. W lewo, przy domku, trochę za tą tują, bezsprzecznie czołg. W winnicy na zboczu prześwitują przez zieleń żółte plamy piachu, okopy. Reszta musi być dobrze zamaskowana.

Teraz trzeba spróbować dokładnie przez lornetkę. Cofnąłem się trochę w tył, zasłoniłem prawą stronę szkieł ręką od słońca i zaczynam znowu, wolnusięko, każdy szczegół od lewej.

Widać jak na ekranie. Zamaskowane dwa czołgi, jeden od drugiego nie dalej jak trzydzieści metrów, trzy okopy nieduże na skłonie, dalej za tują kiepsko zamaskowany czołg, trochę niżej dłuższy okop, a nawet widać dobrze gemeinów. Dalej w prawo coś ciemnego w krzakach, domek, wyżej w winnicy długi okop, a za domem, w podwórzu, tuż przy samym rogu - płaska wieża i długa, cienka lufa. Panthera! To na pewno panthera, uzbrojona w słynną 75 mm, ze special long barrel, najgroźniejszy czołg tej wojny. Czy to nie on czasem dostał Wankiewicza? Ma lufę bardzo skręconą w prawo.

Zrobiło mi się trochę ciepło. Panthera jak na talerzu; żeby tylko dojść do strzału! Wiadomo, że pancerza nie przebije, ma pełne dwadzieścia centymetrów od przodu, ale to dla teoretyków za zielonym stolikiem. Pierwszy pocisk na tę odległość spali mu wszystkie przewody elektryczne i unieruchomi wieżę, a za drugim - załoga straci ochotę do walki i opuści czołg.

Teraz mam czas, już mi ten kotek nie wyjdzie. Niech sobie poczeka. Jak mówił legendarny chorąży Orzeszko, „i na ciebie przyjdzie kolej!”

Sytuacja wyraźna. Nieprzyjaciel okopany na stanowiskach. Ma czołgi i chwilowo ma nad nami przewagę położenia terenu. Nie możemy się ruszyć, nie możemy nosa wytknąć, żeby się nie odsłonić.

Ale rozwiązanie się ma! Takie klasyczne, dla początkujących.

Przygotowanie artyleryjskie, tak co najmniej dwoma pułkami, żeby było weselej, i bez drobnych oszczędności. Zasłona dymna na samym nieprzyjacielu i... szturm na pełnym gazie razem z piechotą. O ile dotrzymają, wyjdziemy na nich w dymie na kilkanaście metrów. I wtenczas... decyduje ten szybszy, lepszy, sprawniejszy.

Decyzja na szczepku uposażenia porucznika, z dodatkiem śródziemnomorskim, zapadła.

Sie jedzie!

Wolniutko, by listka nie ruszyć, z powrotem do tyłu.

Na całej naszej linii cisza. Najmniejszego ruchu. Czołgi jak cienie przyklepione do krzaków i gałęzi.

Rusinek wyrzucił mi z czołgu hełm ze słuchawkami. Wywołałem dowódcę pułku.

- „Adam”... słucham.

Zgłosił się natychmiast. I tu nie mogłem się oprzeć złośliwej pokusie ujawnienia siebie clear'em.

- Tu mówi porucznik Bohdan Tymieniecki. Sytuacja... nieprzyjaciel... osiemset jardów... okopana piechota... czołgi... Rozpoznano pantherę. Straty: jeden czołg, pięciu zabitych, dwóch rannych. Proszę o obserwatora artyleryjskiego i kompanię piechoty... Over!

- Wysyłam zaraz obserwatora i piechotę. Co zamierzasz robić?

- Po przygotowaniu idę do czołowego uderzenia... Over!

Na chwilę zapanowała cisza w słuchawkach.

- Niech cię Bóg prowadzi!

No, tego się nie spodziewałem. Dziwny ten cały Motyka. Na polu walki wychodzi na tak dobrego dowódcę, mądrego, rozważnego dowódcę, umiejącego zastosować każdy środek, jaki ma do swojego rozporządzenia. A przecież niech tylko zejdziemy z linii, wyłazi z niego podejrzliwy, nieufny, zazdrosny o każdego najmłodszego podchorążego, o każde słowo - ciemny, zakuty żłób!

Czułem, że na odprawie był po mojej stronie. Ale po kunktatorsku rozdzielił swój rozkaz. Wiedział, że pójdziemy rozwinętym, ale pełnej aprobaty nie dał, a zatrzymać nie chciał. Już z góry potrafił przygotować swoją obronę w razie niepowodzenia, zwalając odpowiedzialność na innych. A teraz rezerwował sobie pełne aprobaty i pochwały w razie udania się akcji. Przewidziałem to i dlatego, wbrew regulaminowi, ujawniłem się clear'em. Za tę bitwę - jak wygramy - Motyka dostanie Czwartą Klasę, ale fałę z echem mojego nazwiska jeszcze długo, długo po nim wiatr będzie obijał o gałęzie drzew nad Metauro river.

Z daleka widziałem Strukowskiego w krzaku na obserwacji, to samo pewnie robi Paciukanis i ci z lewej.

Mamy dużo czasu, więc można będzie coś zjeść. Przegryźliśmy trochę, popijając wyjątkowo dobrym winem i omawiając przyszłą akcję. Wyciągnąłem Kobierzyckiego na mój poprzedni punkt obserwacyjny, aby mu pokazać pantherę.

Trząst się cały jak wyżeł, co wystawia kuropatwy, i nie mógł oderwać od czołgu lornetki. Już chciał otworzyć usta, wiedziałem, co powie, więc uprzedziłem:

- Nie, mój kochany, nie teraz, poczekaj, my go już uściskamy. Wracaj, pan, do czołgu, ja tu zostanę. W razie gdy się zgłosi oficer artylerii, przysłać do mnie, tylko niech idzie ostrożnie.

Umieściłem się wygodnie w trawie, nie spuszczaając lornetki z przedpola. Miałem jeszcze dużo czasu, zanim zacznie się cała reżyseria.

Słońce zaczęło już przygrzewać i wszystko zamarło w bezruchu. Z obu stron wyczekiwanie: kto teraz zacznie pierwszy?

Nie mogłem się uspokoić ani pogodzić ze stratą Wankiewicza. Przecież jeszcze nie oddaliśmy jednego strzału do nieprzyjaciela, a już mamy pięciu zabitych. Jak będzie wyglądało zakończenie zadania?

Albo Lesiak! Tyle razy Dolek mówił: „Nie wolno wychodzić z czołgu w akcji”. Tyle razy każdy z nas to powtarzał, nic nie pomogło. Indywidualista, bohater w wydaniu dla uboższych, psiakrew! Teraz zapłaci życiem albo kalectwem.

Z tyłu huk silnika. Pod górę, prosto na nas pcha się czołg artylerii przeciwpancernej. Zatrzymał się przy moim czołgu i młody podchorąży idzie ku mnie, zupełnie się nie schylając.

- Na ziemię... psiakrew!

Dobrze, że jeszcze usłyszał. Cofnąłem się do tyłu:

Czego?

Podobno są pantery, dostałem rozkaz zniszczyć.

- Czy pan kpi? Z tą pukawką na pantherę? Kto panu dał taki rozkaz? A pan co? Czy pan wie, co to jest panthera? Ja ją panu pokażę, chodź, pan, ostrożnie, bo zobaczy ją pan pierwszy raz w życiu, i życzę, żeby przypadkiem nie ostatni. Czy pan zechce zrozumieć, że najmniejsze wychylenie... to śmierć? Ona nie pułtuje i ma najcelniejsze działo czołgowe w świecie, a pan do niej z pukawką?

Ale podchorążemu nic nie trafiało do przekonania. Zobaczył i był pewny siebie, że mu się uda. Zamaskuje czołg gałęziami, podsunie się do szczytu

Te jego przechwałki zaczęły mnie nudzić i już chciałem wydać rozkaz, gdy oświadczył:

Nie jestem przydzielony do tych czołgów, my działamy samodzielnie.

Ano, jak samodzielnie, to... good luck!

Nie moje zmartwienie, ten, co mu dał taki rozkaz, wie lepiej.

Ustroili czołg z przodu gałęziami, podchorąży wszedł do środka i ruszyli wolno naprzód. Podchorąży stał nawet nie schylony. Przyglądałem się całemu temu przedstawieniu z odległości nie większej niż dwadzieścia kroków. Ujechali tak z piętnaście metrów. Świsnęło w powietrzu! Podchorąży runął na dno. Wrzasnąłem:

- Do tyłu!

Całe szczęście, że kierowca usłyszał, włączył tylny bieg i stoczył czołg w dół.

Podbiegliśmy. Na dnie przy dziale leżał nieruchomo ten młody podchorąży z całą górną częścią czaszki zniesioną. W białych zwojach mózgu sączyła się krew.

Zwróciłem się do kaprała, prawdopodobnie celowniczego:

- Przyjacielu! Zawieź tego chłopca swojemu dowódcy i powiedz, coś widział, i powtórz dokładnie, że takiej samodzielnej pomocy my tu nie potrzebujemy.

Psiakrew!... To już szósty zabity.

Nareszcie jest. Od dołu szedł nieduży starszy pan z odznakami majora. Zasalutowałem, wyciągnął rękę:

- Ostrowski. Jestem obserwatorem artylerii, dysponuję dwoma pułkami lekkiej i jednym medium. Gdzie panowie chcą mieć ten ogień?

Podczołgaliśmy się na mój punkt.

- Nacierać będziemy na odcinku od tego załamania z lewej do tych wyższych drzew za budynkami farmy. Proszę o nawałę ognia na samo wzniesienie. I niech pan, majorze, nie robi drobnych oszczędności - jeśli można, to choć po dwadzieścia cztery. Ale wpierw uzgodnię z piechotą, która już z tyłu podjechała.

- Po dwadzieścia cztery się panu zachciewa? Co pan, do cholery, myśli, że ja dla pana lufy pourygam?

Ale widać było, że był zadowolony. Nieprzyjaciela widocznego prawie gołym okiem miał jak na dłoni, punkt obserwacyjny wymarzony i zadanie mu podchodziło.

- No dobrze, młody człowieku, puknę sobie teraz jednym pułkiem, żeby później być gotowym i wam ich przedwcześnie nie wystraszyć.

Widząc nadchodzących, wycofałem się do tyłu. Zameldowali się, porucznik i chorąży, siedemnasty batalion. Porucznik - jak porucznik piechoty - twarz bez wyrazu. Ale chorąży miał dobrą gębę. Sucha, zdecydowana twarz pewnego siebie żołnierza.

Ostrożnie znowu wczołgaliśmy się, ale już na inne miejsce.

- Proszę panów, nacieramy na tym odcinku. Piechota pójdzie przed czołgami, i pójdzie nie bandą, ale drużynami, każda z wyznaczonym punktem docelowym. Drużyny szeroką tyralierą. Proszę sobie dokładnie rozdzielić odcinek, żeby, broń Boże, gdzieś w dole drużyny się nie zesły. A teraz wyjaśnię dokładnie: tam, na te okopy, pójdzie nawała artylerii trzech pułków. W pewnym momencie położę z czołgu zasłonę dymną. Na mój znak ręką w białej rękawicy pójdziecie biegiem w dół. Czołgi wyjdą w trzy minuty po was, dojdą was w dole i tam was przejdą. Jeżeli wykonacie dokładnie tak, jak powiedziałem, ręczę, że nie będzie żadnych strat... Zrozumiane?

- Jak to przed czołgami? - zaczął niezdecydowanie porucznik.

- Nie, panie poruczniku - przerwał chorąży - tak będzie dobrze jak ten rozkaz, i my go wykonamy jak należy.

- Nazwisko pana, panie chorąży?

- Chorąży Talaga.

- Panie chorąży Talaga, proszę tylko uważać dokładnie na znak do wyjścia.

Chorąży, leżąc, zsalutował w odpowiedzi. Uśmiechnąłem się bodaj pierwszy raz dzisiaj. Udał mi się ten chorąży, to jest żołnierz!

Przez ten czas major Ostrowski podawał dane przez moje radio. Dwóch ludzi załogi stroiło czołg małymi gałązkami. Zwróciłem uwagę, że lufę armatnią z góry nakryli zielenią i ubrali tylko samą wieżę z przodu. To Kobierzycki, nie zrażony klęską poprzednika, przygotowywał się do rozprawy z pantherą.

O nich nie miałem najmniejszych obaw, to prawdziwi professionals, oni nie strzelą byka jak tamten młodziak.

Major wrócił już na swój punkt obserwacyjny, więc podciągnąłem się do niego. Nie minęła minuta, jak zawyła nam nad głowami pierwsza seria pułkowa. Była za długa i bardzo w lewo.

- Dobrze - mruknął major - mam ich.

- No, teraz, panie majorze, małe polowanie na pantherę, tę tam, za rogiem. Spróbujemy ją unieszkodliwić. Pierwsze usiłowanie skończyło się tragicznie, tu tragedii nie będzie, ale za rezultat nie ręcę.

Kiwnąłem na Kobierzyckiego. Podsunął się do mnie.

- Pierwszy strzał granatem, prosto w łeb, wybuch zadymi mu lunetę na parę sekund. A po pierwszym, dwa AP na tym samym podniesieniu i... do tyłu. Tylko pamiętajcie... wolniutko.

Czołg zaczął wolno toczyć się naprzód, skręcając trochę w prawo, gdzie były najniższe krzaczki zasłony. Stanął i równocześnie lufą rzuciło do tyłu. Następny... trzeci... Na samej wieży panthery biały obłok dymu - dostała w sam środek. Rozszedł się dym, ale stoi, jak stała; może lufa trochę niżej, ale może to być również złudzenie. W każdym razie wie, że jest na czymś celowniku. A jeżeli dostała choćby jednego AP, w co wierzę, to już w tej walce udziału nie weźmie.

- Kiedy pan będzie gotowy do tego swojego natarcia, to niech pan raczej mnie uprzedzi. A teraz mam coś nowego - odezwał się major.

- Patrz, pan! Tam na tych drugich wzgórzach, raczej na zboczu, idzie droga, prawie równoległe do nas, wysadzona drzewami, tak około trzech tysięcy pięciuset.

- Widzę!

Major zerknął na mnie spod lornetki.

- No, jak pan widzi, to chyba pan ich też widzi. A mógłbym teraz spróbować po nich jednym pułkiem.

I rzeczywiście, pod drzewami pojedynczo, gęsiego, posuwał się oddział piechoty.

- O, nie, panie majorze! Do tych to ja panu pokażę, jak my strzelamy. Niech pan poczeka.

Skoczyłem do czołgu. Do tego celu na tę odległość mogę strzelać wygodnie zza zasłony. Różnica kątów położenia - dziesięć stopni. Trzeba skrócić celownik, a wydłużyć zapalnik.

- Działo!

- Em pięćdziesiąt cztery... piętnaście...

- Zapalnik... cztery coma jeden...

- Co jedna podziałka w prawo...

- Kwadrant trzy dwadzieścia osiem.

- Mówić, kiedy gotowe.

W czołgu gorączkowa praca wydobycia pocisków i nastawy zapalników. Teraz strzelam bez poprawek, od dawna w mózgu siedziała mi ta nastawa.

Szczęk zamka.

- Fire!

Ten miękki odrzut lufy!

Targało czołgiem. Pocisk szedł za pociskiem, tam w dok troiły się ręce. Dla nich dopiero teraz zaczynała się bitwa.

Nad samymi koronami drzew białe obłoczki rozprysków zaczęły się układać w równusierńką linijkę. Przy tej szybkości wysyłania ostatni wybuch wyrównał do pierwszego, zanim ten zdążył rozpląnąć się w powietrzu.

Wróciłem do majora.

- Wie pan co, młody człowieku, bo nie znam pańskiego stopnia, ostatnie lata byłem wykładowcą w Szkole Artylerii w Toruniu. Wiem, co to jest artyleria, bo do dziś jest moim życiem. Ale takiego strzelania na rozprysk nie widziałem. Prawda, że wasze działa mają większą prędkość początkową, a tym samym mniejsze rozrzuty. Ale żeby wybuchy były na jednej linii i na jednej wysokości przy strzelaniu na kąt podniesienia, to trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć nawet w możliwość. Jak pan mógł na ten dystans, bez wstrzeliwania się, tak od razu siedzieć na celu? Kto pan jest, do cholery? Czy pan artylerzysta?

- Kto ja jestem?... Panie majorze, jestem żołnierzem zawodowym armii prywatnej generała Andersa, na skromnym uposażeniu porucznika.

- Głupie żarty się pana trzymają, poruczniku, znalazł się kondotier prywatnej armii. Jak pan do tych nonsensów doszedł?

- Ano, służyło się w armii Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w charakterze pospolitego ruszenia, jak wypadało z tradycji. Nie wyszło. We Francji wcielili mnie w sołdaty nowej armii, tej lepszej armii, z najwspanialszymi dowódcami. Znowu nie wyszło. Więc razem z Sikorskim zmieniliśmy kwaterę na Wyspę. Tam mi towarzystwo nie odpowiadało, więc jako podróżny zwyczajny nie oparłem się aż w Egipcie. Jak się biedaczek Sikorski utopił, to ja sobie Andersa na commanding officera okrzyknąłem. Dobrze mi tu, na jadło nie narzekam, tylko słabo płacą.

Major zniecierpliwiony machnął ręką i odwrócił głowę.

Ogromnie byłem zadowolony z efektu. Po pierwsze starszy pan zdenerwował się, po drugie z tym strzelaniem to był mój popisowy numer. Wszystko było łatwiejsze, niż wyglądało. Przy mojej wprawie oceny odległości, nabytej przy tysiącach wystrzelonych pocisków na strzelnicach pustynnych Abbasya, wejść pierwszym strzałem na cel nie było żadną sztuką. Udawało mi się to dziesiątki razy.

Reszta to świetny trening załogi. Ale cieszyło mnie to, bo widziałem z twarzy majora, że historia tego strzelania pójdzie dalej. I tak po cichu reklama się robi niezgorsza.

Jak ten strzał pod Chiaravalle nabrał już posmaku legendy, a nawet obił się o stół samego marszałka Harolda Alexandra. Benek Lipkowski to z miejsca zdyskontował i bodaj już czterem naiwniakom w sztabie przehandlował łuskę tego - jak mówił - legendarnego pocisku za jakieś tam ułatwienia i osobiste przydziały whisky z NAFFI. Naturalnie, przywiózł mi butelkę, żeby się pochwalić:

- White Horse'a ci przywożem, jak sam rozumiesz, tylko dla konserwatystów. Coraz trudniej żyć w tym narodzie. Sam taki nie wypije, bo mu żal, a drugiemu nie da. Ale jak ja to pięknie ubrałem w Alexandra, to brali jak płotki na robaka. Było nie było, piękny souvenir. Cała rodzina contadina przez niedzielę pucowała te łuski do glansu, nawet ich do kościoła nie puściłem.

- Benek! Ale przecież, jak się zwiedzą, będzie granda. Jednemu - to rozumiem, dobry wic! Ale czterem - to już trochę przesoliłeś.

- Widzisz, gdybym wcisnął jednemu, toby później autentyczności mogli dochodzić, jakby się kto wygadał. A jak czterem, to wcześniej czy później oni się zgadają, no i co? Przyzna się który, że głupi i że go wydmuchano? Krew ich zaleje, bo centusie, ale będą trzymać język za zębami. Najwyżej wyrzucą łuski za okno. My wyrzucimy puste butelki. Oni nie będą mieli pięknie wyczyszczonych souvenirów, a my nie będziemy mieli whisky. I znowu boża równowaga we wszechświecie. To jest podstawa ekonomii, mój kochany.

Piechota już na stanowiskach wyjściowych. Spojrzałem na zegarek.

- Panie majorze, dokładnie za piętnaście minut proszę o pański ogień! Major w odpowiedzi ścisnął mi ramię. Zsunąłem się w dół.

Mam piętnaście minut, pełne piętnaście minut. Przez tych piętnaście minut oni mogą również położyć na nas nawałę ogniową, mogą nas zadymić i pójść do uderzenia. Przez tych piętnaście minut musi wyjść cała reżyseria. Długie będzie to piętnaście minut.

Skoczyłem, by omówić zadania z dowódcami plutonów. Najważniejsze były prawoskrzydłowe, Paciukanisa i Ziutka Strukowskiego, bo od samego początku przeciwległego wzniesienia brały na siebie prawie cały ciężar walki.

Zeszliśmy się w trójkę. W paru słowach objaśniłem zadanie i pokazałem kierunki. Nastrój był raczej poważny i wymiana suchych, prostych zdań. Wszyscy zdawali sobie sprawę z groźby czekającej nas w tym dymie.

Tadzio Paciukanis zaczął wydziwiać i tym podważył powagę nastroju i wywołał uśmiechy.

- Na pogrzeb swój jadę, i to w kiepskiej asyście. Do Bozi mnie pan wysyła, a z kim ja tam w szkło uderzę? Z dziadami kościelnymi pić będę? Na stratę Paciukanisa zapisano. Pocieszam się jedynie, że się tam spotkamy i że się na panu odkuję, no i trzaśniemy w gaz.

Jak tu się nie śmiać z tego „zapisanego na stratę”? Ale na to nie było czasu.

- Jeszcze jedenaście minut! Do czołgów, panowie, i good luck!

Wlaziłem do czołgu.

- A teraz uwaga, szanowny panie Kobierzycki. Dwadzieścia dymnych. Jak tylko artyleria zacznie nawałę, wyjdziemy na sam grzbiet, bo dym i wybuchy zupełnie nas zasłonią. Tam nastawię cię na kierunek. Spoziomuj, daj pierwszy na trzy obroty w górę. Jak będzie za długi, skróć przez peryskop tak, żeby zasłona szła zaraz przy szczycie. Jak wyjdzie, to pchaj resztę na największej szybkości... Jasne?

- A teraz napijmy się wina.

Nalaliśmy kubki.

- Mamy jeszcze sześć minut. Dobrze, co?

- Dajcie mi drugi. Jak ruszymy, pepanc i stabilizator.

Jeszcze minuta.

Rozdarło się nad nami powietrze - szła pierwsza seria i huk wybuchów na celu. Ta własna artyleria, to wycie idących na nieprzyjaciela kilogramów stali, te wybuchy, błyski, dym - dają dziwne uczucie bezpieczeństwa i pewności siebie. Nie czujemy się już samotni. Druga! Ta pierwsza już ich dobrze przycisnęła. Trzecia! Czwarta! Ale wałą! Na całym wzgórzu i zboczach chmura dymu i tumany piachu z błyskami wybuchów, wszystko aż się kłębi, nie widać nic!

- Kierowca, naprzód!

Pięknie strzela ten major, nie dziwota, że nasza artyleria najlepsza w 8 armii.

- Stój!

Ale wałą!

- Działo w lewo... wolniej... Już!

Na celu kurz i dym na dwa piętra. Major nie żałuje amunicji, już przeszło chyba z piętnaście, a może więcej, bo nad głowami wycie bez przerwy. Major wstał i dał mi znak ręką.

- Ognia!

Poszedł pierwszy, trochę za krótki. Kobierzycki poprawił i pchał jednego za drugim. Włożyłem białe rękawice.

- Siedem... osiem... dziewięć... dziesięć!

Wychyliłem się wysoko z czołgu i machnąłem ręką na kierunek.

Piechota podniosła się i poszła z krzaków drużynami prosto w dół. Widać było, jak piorunem rozsypali się biegiem w długą tyralierę. Brawo, panie chorąży Talaga!

... Trzynasty... czternasty...

Jeszcze dwie minuty.

... Osiemnasty... lufa już zupełnie na prawo, idzie ostatni. Teraz!

Podniosłem mikrofon:

- Wszystkie stacje „Adam”!

- Czołgi... na czołgi!

- Na pełnym gazie... wykonać!

Zadymiły silniki, poruszyły się krzaki, lawina czołgów przeszła przez grzbiet i runęła w dół. Zamek trzasnął za pociskiem ppanc.

- Kierowca, naprzód!

Zdjąłem hełm, już mi nie był potrzebny. Teraz albo nigdy.

- Jodis, gaz, gaz... jak nigdy w życiu!

Waliliśmy pełnym rozpędem i całą mocą silników w dół, wszystko migotało w oczach, wszystko się działo za prędko. Piechota już była w dole i jeszcze nie doszliśmy do niej, gdy zamajaczył mi w lornetce, na samym lewym skrzydle, wychodzący zza dymu czołg.

- Działo w lewo... siedemset!

Zawył mechanizm wieży, lufa poszła błyskawicznie na kierunek. Tamten stanął. Targnęło lufą w odrzucie. Na nieprzyjacielskim czołgu chmura czarnego dymu i eksplozja.

- Na tej szybkości! Wspaniale, Kobierzycki!

Z radości kopnąłem go w plecy.

Sznur czołgów wchodził już na zbocze, dawno przeszliśmy piechotę. Teraz w ten dym na winnicy. Nic nie widać. Gaz!

Wyszedłem prosto na wysoką tuję i dom. Stachów idący z lewej wysunął się na róg domu, stanął na samym grzbiecie wzniesienia i czołgiem jego aż rzucało od wysyłanych w pośpiechu pocisków. Z boku, zaraz za domem, dwa prześwitujące przez kurz nowością farby działa szturmowe na gąsienicach, zupełnie jak czołgi. Pod ścianą domu sześciu ludzi załogi z rękami do góry; reszta pewnie uciekła.

Wyszedłem czołgiem naprzód z prawej strony domu od drogi. Daleko, już za zakrętem na drodze, uciekało pięć czołgów, oddalając się coraz bardziej. Ale Stachów nie dawał za wygraną i mimo odległości pchał za nimi pocisk za pociskiem.

Piechota już doszła i wybierała po krzakach z okopów poddających się Niemców. Zadowoleni, pewni siebie, uśmiechnięci. Brali bardzo czynny udział w prawdziwej bitwie, no i naturalnie wygrali.

Wyskoczyłem z czołgu, za mną Stachów. Wyszliśmy za żywoptot na drogę, do której dochodziła mała polna dróżka z zabudowań gospodarskich farmy. Głębokie koleiny nieprzyjacielskich czołgów szły bokiem przez pole.

Stanęliśmy.

- Co oni, za głupich nas mają? - warknął Stachów. - Przecież to miny te niedbale zamaskowane kopczyki.

- No, to teraz piorunem, pan z jednej, ja z drugiej. To duża skrzynkowa, bezpiecznik z boku.

Delikatnie odgrzebaliśmy - jest! Podałem Stachowowi zapalną, przetkną zatyczkę.

- Powoli do góry! Uwaga, czy nie ma booby-trapu⁴³. Jazda! Postawimy ją na środku drogi, by się kto nie nadział.

Przeszliśmy przez drogę z tyłu za ogród farmy. Tu widać było skutki artyleryjskiej nawały. Wszystko zryte, drzewa okaleczone.

W małym wąwozie, w głębi, palą się dwie ciężarówki, porozrzucane płaszcze, jakieś papiery. Trochę z tyłu, pod stromym brzegiem, dwa duże wojskowe trucki nienaruszone i z piętnaście motocykli opartych o wykop. Z boku pięciu żołnierzy z odznakami dywizji SS z podniesionymi rękami.

- Niezła zdobycz - mruknął Stachów.

Przeszliśmy przez górkę ogrodu do podwórza zabudowań. Za rogiem stała panthera. Podeszliśmy - pusta. Wskoczyłem na czołg. Wieża otwarta, wszedłem. Wszystko pozostawione nienaruszone, jedynie swąd palącej się gumy. Działo załadowane. Na podłodze mapnik i piękna, nowusieńka lornetka. Stachów już siedział na siodełku kierowcy, starter martwy. Nie mogli zapalić i dlatego go zostawili. Zaczęliśmy go dokładnie oglądać na zewnątrz. Na przodzie, przy samej obsadzie lufy, czarna plama od wybuchu granatu. Z boku wieży głęboka rysa pocisku ppanc i oderwany odlew nasady anteny. To to trafienie spowodowało zapalenie się przewodów i uniemożliwiło rozruch silnika. Brawo, Koberzycki! Co najmniej jedno okucie więcej na Krzyżu Walecznych.

Piękny czołg i co za działo. Bądź co bądź pierwsza na terenie Włoch rozbita panthera. To dopiero będzie halo!

Zawarkotało w powietrzu, my buch pod pantherę! Cała salwa pocisków z moździerzy w sam środek podwórka, dym, kurz. Druga! Ta poszła dalej, prosto na stanowiska naszych czołgów.

Po chwili uspokoiło się znowu i nasza piechota zaczęła powoli wyłazić z winnic i krzaków, tryumfalnie prowadząc jeńców. Mieli ich około trzydziestu. Jak mówią, w okopach pełno zabitych.

A my żadnych strat, jeśli nie brać pod uwagę jednego z piechurów, ogromnie narzekającego i wyzywającego, że portki podarł i tyłek pokaleczył na drutach, gdzieś w dole. Strasznie się zaperzył i mało nie doszło do mordobicia, bo nasze chłopaki zaczęły się z niego nieprzystojnie nabijać, a po daleko idącej propozycji z jego strony ledwie ktoś ich rozdzielił.

Teraz należałoby złożyć meldunek dowódcy. Szedłem do czołgu, a Stachów ze mną. W czołgu tylko Rusinek, bo reszta już poleciała oglądać pantherę.

- No, Rusinek, daj nam wina.

⁴³ Mina-pułapka, wybuchająca przy najbliższym dotyku.

Trąciliśmy się kubkami - chin... chin! Wino było dobre, nastrój raczej radosny, minęło napięcie i napięcie mięśni.

Zawsze poważny i małomówny, o opalonej na brązowo i jak z kawałka stali twarzy, Stachów odezwał się pierwszy:

- Tak, to była bitwa czołgów, prawdziwa bitwa i bardzo szczęśliwa bitwa. Ale, panie poruczniku, jeszcze dwie takie bitwy jak ta, a pójdzie pan tak, jak poszedł Wankiewicz, pójdę ja, pójdzie Strukowski i Pirożek. Czy my przypadkiem sami do tego się nie pchamy?

- Czy my się pchamy sami? Chyba nie. Bo, widzi pan, czołgi idą, a my na nich jedziemy. Uśmiechnie się dziewczyna, zapachnie wino, zaświeci słońce i dobrze nam z tym. Jutro znowu wsiądziemy na czołgi i pójdziemy dalej. Zostanie za nami duch Wankiewicza i błędzić będzie wzdłuż kolein naszych gąsienic nad Metauro river. Idą czołgi, kochany Stachów, a ktoś zawsze po drodze zostanie. Bo tak już musi być... jak idą czołgi.

Wywołałem:

- Tu mówi porucznik Tymieniecki! Zadanie wykonane, w końcowej fazie walki... strat żadnych. Zdobyte: dwa działa samobieżne z załogami, dwa samochody ciężarowe, osiemnaście motocykli, wzięto trzydziestu dwóch jeńców. Spalone trzy czołgi, w tym jedna panthera, trzy ciężarówki. Zabitych około dwudziestu... Over!

- Dziękuję. Stać, czekać dalszych rozkazów... Koniec.

O żeby ich jasna cholera! Znowu przystali nam serię z tych moździerzy, jeszcze kogo pokaleczą, bo kochane chłopaczki włączą się wszędzie i może jeszcze który oberwać.

Nie bałem się przeciwnatarcia, bo Paciukanis i Strukowski stali na takich stanowiskach, że samemu Kesselringowi obrzydzą wojnę, gdyby zaryzykował.

Poszedłem zobaczyć nową zdobycz, którą żołnierzyki wywęszyły w krzakach. Piękna Tatra, w sam raz coś dla mnie na osobiste rozjazdy. Chodzi jak woda, więc zjechałem na boczną ścieżkę, żeby w razie przyjazdu Motyki nie kłuła go zbyt w oczy.

A teraz coś dla dobrych przyjaciół. Na niemieckiej czarnej, ceratowej płachcie śmiertelnej wydrukowałem pięknie kredą:

„Rozbity i zdobyty przez pierwszy szwadron Pułku Szóstego Pancernego. Za niewielką opłatą wynajmujemy na święta pułkowe”.

Płachtę pieczołowicie powiesiliśmy na boku panthery. Wiadomo, że zjadą wszystkie wodze oglądać tę niecodzienną zdobycz. Będzie trochę kpini i śmiechu z zainteresowanych.

Co do jasnej zarazy! Nie mogą się uspokoić? Amunicji mają za dużo? Strzelają z daleka, prawdopodobnie gdzieś tam z dołu, i walą od razu salwą z sześciu. Głupi to musi być żołnierz, co nie potrafi uszanować tea-time'u.

Zjechaliśmy trochę czołgiem w dół, a czas najwyższy na małe tea-party. O... nie! Znowu! Gotowi jeszcze przyłożyć nam artylerią.

- Okopać się pod czołgami!

W razie nawały wygodniej będzie leżeć pod czołgiem niż siedzieć w wieży. Ziemia miękka, to zanim woda się zagotuje, wykop będzie gotowy.

Coś im teraz nie wyszło. Przenieśli dobre sto jardów, ale niewąsko postraszyli piechotę, która w najlepsze roztasowała się w winnicy. Zdaje się, że nawet któryś oberwał, bo krzyk podnieśli ogromny.

Wykopali piękny dół, najechali czołgiem i altanka jak się patrzy.

- Co jest z herbatą?

Wszystkie gęby zadowolone, każdy ma coś do powiedzenia. Obłowiły się łobuzy, bo cała ciężarówka pełna paczek gotowych do wysyłki do Niemiec. Czego tam nie było! Siedzieliśmy w czwórkę pod czołgiem, bo Kobicrzyckiego jeszcze zaniósł do panthery. Nie mógł się nacieszyć, więc poszedł jeszcze raz ją pomacać. Ale był trochę na mnie naburmuszony, bo koniecznie chciał lecieć obejrzeć tamtą, strzeloną w biegu. To było trochę za daleko, i nie pozwoliłem.

Niespodzianka! Przyjechał Dolek Jadwisiak. Trochę blady, wyrwał z punktu opatrunkowego. Ranę ma powierzchowną, bardziej bolesną niż poważną. Włazł pod czołg, i tu ścisk się zrobił jak przy konfesjonale. Trzeba było wszystko opowiedzieć od początku. Każdy miał coś swojego, wszyscy gadali równocześnie, jeden przez drugiego. Zanim rozlano wino, seria z moździerzy usiadła wprost na naszym czołgu. Zadymiło nas zupełnie, a Daszewski, którego tu diabli przynieśli, dostał odłamkiem. Nic groźnego, bo na poczekaniu wydułbał z bohaterskiej piersi szczyptę żelaza.

Poszedł cały jerry-can wina, poszła chowana na czarną godzinę Benusiowa butelka whisky. Ale Dolek był rozpromieniony.

Wyszliśmy razem, bo chciał odwiedzić wszystkie czołgi i miał mi coś na boku do powiedzenia.

- Byłem u Motyki, jak przyjechał generał i zaczął cię wychwalać. Coś ty podobno wyciął na sieci „Tu mówi porucznik Tymieniecki”? Bardzo się to generałowi podobało. Będziesz miał fory u niego. Dopytywał się o twój ostatni awans. A Motyka jak ta gradowa chmura, aż się jąkał. Już za tę bitwę Czwartą Klasę diabli mu wzięli. Ale ty teraz uważaj z tymi twoimi wyjazdami, bo on do byle czego się będzie czepiał. Już i tak wziął generała na stronę i coś mu tłumaczył.

- Mój kochany, dziewczyny mi nie odbije, a resztę mam tam, gdzie kura ma jajko. Chodź, lepiej pokażę ci nowy nabytek, wózek jak złoto, zżółkną inni z zazdrości.

Wracając poszedłem uciąć sobie pogadacza z Bogusiem Zielińskim, który prowadził swój szwadron 15 Ułanów na nasze ubezpieczenie z przodu i na dalsze rozpoznanie. Zapowiadało to spokojną noc, bo na pewno po drodze przepłoszą tych z moździerzami.

Słońce szło już ku zachodowi. Przy czołgu małe zbiegowisko, bo kochane chłopaczki przyniosły mi część łupów według własnego rozdziału. Dostałem: dwie sztuki jedwabiu, jedną białego, drugą

granatowego, osiem pudełek z flakonami perfum Chanela i nowe parabellum. Było mi bardzo przyjemnie, że jednak o mnie pamiętali.

Powoli wszystko zaczęło się uspokajać. Nawet te parszywe mózdzierze już nas nie niepokoją. Załogi wyroiły się z czołgów. Wszędzie huczą prymusy. Bractwo jeszcze trochę włóczyło się albo siedząc przy czołgach popijało wino.

Zbliżał się koniec dnia i dopiero teraz zmęczenie powoli zaczęło brać górę nad natężeniem przeżytych wrażeń.

Wróciłem do czołgu, moja rola już była skończona. Armata była już wyczyszczona i wylot patrzył przez szczyty drzew doliny i zielone wzgórze gdzieś daleko, na zachodzące słońce. Straszna potęga w tym wspaniałym kawale stali. I kto by pomyślał, że ona taka czuła i wrażliwa na każdy najbliższy dotyk ręki.

Siedziałem przy czołgu z wyciągniętymi nogami, oparty o tę potworną masę żelaza. No, chyba teraz, gdy już zatkaliśmy tę dziurę, dadzą nam parę dni oddechu. Trzeba wypróbować tę Tatrę i do... Crocette. I fason większy, i wygodniej niż tym parszywym jeepem.

Piękna była ta bitwa i duże gadanie się robi, ale - jak Stachów mówi - jeszcze dwie takie bitwy i... psiakrew! Ten Wankiewicz, taki uroczy chłopak.

Żołnierzyki pozносиły puste jerry-cany, w środku zawarczał prymus, siedzieliśmy wszyscy wianuszkami, czekając na kawę. Jak zwykle trochę przekomarzenia się, przechwałek, docinków i przygryzków, ale widać było, że jeden jest dumny z drugiego.

Kawa zakipiwała i Stapiński zaczął rozlewać. Teraz już nie w kubkach, ale jak po prawie wypadało - w porcelanie.

Oj! Ale ta kawa gorąca! Umilkła rozmowa, siedzieliśmy w kółku dmuchając na wrzątek, i gdy oczy nasze się spotykały, to z miłym, spokojnym i wesołym uśmiechem pełnego zrozumienia tej tak silnie związanej całości, pięciu żyć ludzkich... załogi.

...*L'Equipage!*⁴⁴ Kiedyś, dawno, bardzo dawno temu, czytałem tę książkę. Tam też było to samo zrozumienie, to samo zespolenie, to samo poczucie jednego obiegu krwi, mimo że na niezdrowej pożywce. A jednak to zrozumienie, te węzły zespołu, ta prawdziwa przyjaźń przeważała nawet siłę wielkiego uczucia. Załoga to węzeł dużo mocniejszy niż więzy krwi.

Może uda mi się jutro wyrwać do dziewczyny. Spojrzałem po twarzach. Tu jest jednak dobrze, tak bardzo dobrze w tym maleńkim kółeczku. Ja przecież ciągle uciekam, nigdy mnie nie ma, a mimo to jestem częścią ich życia.

Przedstawiono mnie jako narzeczonego tym wszystkim włoskim półhrabkom. Czy ten Benek czego nie nakręcił? On gotów rzeczywiście przewiadywać się o posag i tak mnie ustawić, że nie będzie możliwości odwrotu. Laura zrobiła się za bardzo wymagająca. Na przyjęcia razem, do kościoła razem, i do tego jeszcze pod rękę. Na ostatnim przyjęciu u Leopardich to już prawie nam wieszowano. Gdzie

⁴⁴ Joseph Kessel, *L'Equipage*.

ja do małżeństwa? Nie, chyba jutro nie pojedę. Pojadę za dwa dni, bo tutaj może coś jeszcze wypaść. Jodis dolał mi kawy.

Szedł już cichy, prawie jesienny wieczór, szarzało. Z daleka widać było przy czołgach ogniki żarzących się papierosów, dolatywał gwar rozmów.

Wyciągnąłem wygodniej nogi. Laura ma takie błyszczące oczy. Co robić? Bo ja wiem? Zerknąłem na Rusinka. Podniósł wysoko do ust filiżankę i wydętymi policzkami dmuchał na gorącą kawę. Uśmiechnął się oczami. Eh, zostanę. Tu mi jednak tak dobrze. Pojadę kiedy indziej.

A nad rzeką, w gęstwinie

szary słowik jak piłą

bez litości zarzynał... miłość,

której nie było...⁴⁵

A jednak tzy się kręcą.

Cerasa, wrzesień 1944

⁴⁵ Edward Słoński.

SOŁDACKIE ŻYCIE

Nic się, psiakrew, nie zmieniło. Zawsze to samo łatanie nami dziur. Jak tylko Niemcy stuknęli silniej i na prawym skrzydle frontu zepchnęli Anglików, a brygadę grecką zdziesiątkowali pod Cattolica, to na podparcie frontu, jakby innych nie było, idzie Szósty Pancerny.

Deszcz leje od tygodnia. Błoto, że nóg nie można wyciągnąć. Czołgi siedzą w tej mazi po brzuchy, a ten nasz generał to już chyba na punkcie swojego spartaństwa w piętę goni. Na taką pogodę, na takie zimno nie wolno kwaterować po domach, tylko przy czołgach, w namiocikach. Aż litość bierze patrzeć na tych chłopców, skurczonych, zmokniętych, zmarzniętych, śpiących w błocie i zimnie.

Front jednak trzyma, więc po jaką cholere ten popłoch i ta zabawa w harcerzy. Ale Stary uważa, że żołnierz nie powinien się rozleniwiać i niewieścieć, bo według jego filozofii twarde warunki robią twardego żołnierza.

Stoimy na dalekich przedmieściach i na granicy ostatnich ogrodów tego parszywego, zadeszczonego miasta. Deszcz leje, nie widać nic, do czołgów dojść nie można, bo kto przebrnie przez to bajoro błota. Niech tak poleje z tydzień, to nam się czołgi i potopią. Przeszedłem szczęśliwie Szkocję i żaden reumatyzm mnie nie dopadł, a tu, we Włoszech, gotowe mnie jeszcze połamać. Sportowiec się znalazł! Sam chodzi z koszulą rozpiętą po pępek i w szoferskiej skórcie, a ze mnie glistę chce zrobić. Ciubarykami mu dowodzić, a nie europejskim żołnierzem!

Benka jak na złość od dwóch dni nie widać, Dolek pojechał do żony, a ja siedzę na tym szwadronie przemokniętym i sam marznę. Nawet nie ma się z kim pokłócić, bo wszystko pochowało się po dziurach i każdemu z nosa kapie.

Benkowi na miłość się zebralo, hrabinę sobie gładko przygadał. Babka rzeczywiście na pokaz, jak te ułany mówią, „i oko na wierzchu, i sucha w pęcinie”. Nazywają ją „Czerwoną Damą z Corinaldo”. Ładne to, bo i ładne, ale żeby nie była taka ładna, to by się już dwa razy nie rozwiodła. A złośliwi jeszcze do tych dwóch mężów cały sztab Kesselringa dodawali.

Zakochał się stary krokodyl i wdychać zaczyna. Próbowałem mu to po swojemu przedłożyć, tak trochę na styl Adama, ale o mało się na mnie śmiertelnie nie obraził, taki czuły. Najgorzej, że jego ekspensy ogromnie wzrosły, a teraz o dobrą partię coraz trudniej, i jak tak dalej pójdzie, to to dziewczę nas zrujnuje.

Z ostatniego pokera zgarnąłem prawie ćwierć miliona⁴⁶, ale żółcią mnie napojono.

Zaraz za Metauro stanęliśmy pułkiem koło ślicznej posiadłości z pięknym pałacem. Wieczorem przyszło zaproszenie od hrabiego Bellegarde do dowódcy pułku... na kolację. Motyka wyznaczył do swojej asysty Gromadzkiego, Jadwisiaka i mnie. W pół godziny ładowaliśmy się na łaziki. Pięknie wyprasowane bush-jackets, kolorowe szaliki, czarne sznury; wiadomo - 8 armia.

Ta wizyta u hrabiostwa Bellegarde zepsuła moje samopoczucie na bardzo długo. Żebym był wiedział!

⁴⁶ 625 funtów.

Wielki hall, pełno ludzi, białe smokingi, wieczorowe suknie, piękne salony, zapach dobrych perfum. Nareszcie jest czym oddychać. Tłum włoskich arystokratów wszystkich gradacji. Eleganccy, przyjemni, wygadani. Ponieważ nasz włoski przedstawiał dużo do życzenia, przeszliśmy z miejsca z Andrzejem na francuski. Dolek dawał sobie dobrze radę z angielskim, jedynie Motyka dukał tylko „yes” i „no”, kiwając głową. Rozlano wino i potoczyła się rozmowa. Przeszliśmy do jadalni. Motykę podejmowano z wielkimi honorami, chociaż widać było, że spodziewanego wrażenia nie zrobił. Cały ciężar rozmowy spoczywał na nas i przy stole posadzono mnie koło wyjątkowo pięknej panny domu.

Panienka wesoła, roześmiana, przyjemna, władająca świetnie francuszczyznę. Bawiliśmy się doskonale. Jedzenie skromne, ale bardzo wystawnie podane, wina doskonałe. W pewnym momencie panienka zapytała mnie, czy nie znam przypadkiem narzeczonego jej kuzynki, „un charmant aristocrate polonais, un officier des chars d'assaut”.

- Parę tygodni temu miałam od niej dużo interesujących wiadomości.

-Jakim sposobem? Przecież wczoraj byli tu jeszcze Niemcy.

Panienka ślicznie się roześmiała;

- Nauczyliśmy się porozumiewać przez front bez używania znaczków pocztowych.

Nie może sobie przypomnieć jego nazwiska,

- Un moment - zerwała się i po chwili przyniosła kartkę papieru i wolno wysylabizowała: Timiniecki.

Mnie zamroziło. Benek! To nikt inny, tylko Benek. Nie dość, że wpakował mnie w to narzeczeństwo, to jeszcze arystokratę ze mnie zrobił. Ciekawym, ile pałek mi do korony dolepił. Ale nie miałem wyboru. Ze słodkim uśmiechem przyznałem się skromnie, że to ja jestem tym szczęśliwym wybranym.

Panienka narobiła wrzasku, obwieszczając tę nowinę zebranych. Wszystko się zerwało wieszając: „Mon cher comte”. Już kuzyna sobie znaleźli. Andrzej zachował powagę i zrobił tylko do mnie oko, ale Dolek parsknął śmiechem w talerz. Nie wiedziałem, jak się do tej nowej roli narzeczonego, a do tego jeszcze świeżo upieczonego hrabiego, tak natychmiast dostosować. Ściskano mi rękę, nawet mnie wycałowano. Motyka otworzył gębę - nie rozumiejąc ani słowa, nie wiedział, o co chodzi.

Jak on mógł mnie tak urządzić? Przecież teraz będzie to za mną szło przez całe Włochy. Front nie front. I teraz tak ładnie zaczęty flirt diabli wzięli, bo panienka z miejsca ochłódła. Motyka nachmurzony, bo Włochy, nie mogąc się z nim dogadać, pozostawili pułkownikowską dostojność na uboczu. A widząc ten entuzjazm i powinszowania, i nie rozumiejąc ani słowa, myślał, że to ja wszystkie należne mu honory odbieram.

Przeszliśmy do salonów. W gabinecie organizowano pokera. Skwapliwie ustąpiono mi miejsca. Byłem wściekły i grałem jak wariat. Karta szła nieprawdopodobnie, wygrałem prawie ćwierć miliona. Ale gorycz została.

Na linii Gotów pogodziliśmy się chwilowo, a nawet doszliśmy do ogromnej komitywy z Motyką. Zaczęło się jak zwykle od awantury.

Po bitwie o Metauro zaczęły się w pułku małe kwasy między mną a szeregiem kolegów. Rozpoczęła się pewnego rodzaju złośliwa konkurencja między szwadronami, podsycana raczej przez załogi, i tą drogą przeszła nawet do dowódców. Zła polityka dowódcy pułku zaczęła stwarzać pewne animozje i niechęci, co doprowadziło do zająknięcia się życia w szwadronach.

To wszystko zaczęło mnie nudzić. Doszedłem do przekonania, że mam dosyć. Co chciałem, to miałem, nic więcej spodziewać się nie mogłem, najwyżej kalectwa albo zakończenia... piosenki. Są lepsi, mądrzejsi, starsi stopniem, a tym samym bardziej wartościowi ode mnie żołnierze. Niech oni się teraz trochę pobiją i wykażą uzasadnienie swoich stopni, stanowisk i wielkich pysków. Trzeba im zrobić miejsce. Benek miał rację, że wojnę wygrają i beze mnie. Dlaczego ja mam nadstawiać karku? Nawet Laura zaczęła mi już bokiem wychodzić.

Podciągnięto nas na linię Gotów i czekaliśmy na tę decydującą „0” hour. Zwróciłem się do Motyki i zażądałem przeniesienia mnie do dyspozycji dowódcy dywizji.

Rozmowa miała charakter nie tylko niecodzienny, ale i niewojskowy.

- Czyś ty oszalał? Za parę godzin idziemy do natarcia, a ja cię będę odsyłał do dywizji? Czyś ty się przypadkiem nie upił?

- Panie pułkowniku, po pierwsze nie upoważniłem pana do zwracania się do mnie per ty. Po drugie nikt jeszcze pana Tymienieckiego nie widział pijanym, chyba miłością.

- Głupi jesteś, jeszcze w Palestynie byliśmy po imieniu.

To wszystko, co było, to tempi passati, i wiatr rozwiął.

- Co cię, do cholery, ugryzło? I czego ty chcesz?

- Po prostu nie chcę się więcej bić, bo nie czuję się na siłach za te pieniądze brać na siebie odpowiedzialności za życia ludzkie.

- Przecież dopiero od dwóch miesięcy nosisz tę drugą gwiazdkę.

- Dla mnie o miesiąc za długo, ekspensa mi się zwiększyła.

- Co by na to powiedział generał! Przecież on cię gotów zamknąć.

- Dużo on nie powie, bo małomówny, a z tym zamknięciem mnie to nie jest takie znów proste, bardzo by się to mogło nie podobać załogom czołgowym nie tylko w naszym pułku.

- A ja ci mówię, że jesteś głupi, i teraz obraż się na mnie. Ja przez palce patrzę od dawna na te twoje wyjazdy, ledwie akcja się skończy, ciebie już w pułku nie ma. Jadwisiak ciebie kryje. Ale inni to widzą i już parę razy nasłuchiwałem się, że tobie wszystko wolno, że ciebie faworyzuję i na wszystko pozwalam. To co ty chcesz jeszcze? Żeby cię krzyżami obsypywał i co dwa miesiące awansował? Albo jedno, albo drugie. A teraz odczep się i jak nie będziesz więcej pyskował, to dam ci butelkę whisky.

- Dziękuję za to pierwsze, ale butelki to ja jeszcze nie widzę i nie wierzę, że ją zobaczę, bo jej nie masz. A wsio taki lepiej wyglądałbym w tym pospolitym ruszeniu.

- Jak mi przyrzekniesz, że swoimi kpinami nie będziesz mi więcej podrywał autorytetu, to ci ją sam zaraz przyniosę.

Podaliśmy sobie na zgodę rękę. Przekonał mnie, dostał mnie na te wyjazdy. Cholernie chytry człowiek ten Motyka.

Wróciłem do czołgów, gdzie sam widok otoczenia mógł zniechęcić nawet kinomana. Anglicy zmasowali na tym, nie większym jak siedem kilometrów, odcinku kolosalną artylerię, podobno pięćdziesiąt pułków. Wszystko było pomieszane, czołgi, działa, i znowu działa. Z boków, z tyłu, nawet między nami.

Siedzieliśmy przy czołgach grzejąc się na słońcu i popijając wino. Pogoda była śliczna, każdy był trochę rozleniwiony i oziębiały.

Kubki wyleciały nam z rąk! Zdawało się, że całe niebo na nas się wali. Darcie w ustach, nosie, gębie. Po minucie każdy prawie ogłuchł i zaniemógł. Odpalili wszyscy równocześnie! Szły nad nami tony żelaza z wyciem piekła. Nie słychać było nawet idących nad naszymi głowami samolotów. Szły latające fortece, w szyku po czterdzieści pięć, fala za falą.

Tam, na wzgórzach oddalonych od nas nie więcej jak pięć kilometrów, otwartą się bramy piekła. Ofensywa na linię Gotów zaczęła się!

Z prawej strony, może ze dwadzieścia kroków od mojego czołgu, boysy rozebrane do gaci tylko na siebie pokrzykiwali, ładując i odpalając z cholerną uciechą. Jakiś może dwudziestotrzyletni majorek jeszcze ich do tego zachęcał.

A tu mózg bulgoce w czaszce jak woda. Podszedłem do pętaka:

- Are you not overdoing, Old Man? Stop your bloody fire and don't disturb the privacy of a gendeman.⁴⁷

Dobrze gówniarzowi, jak sobie waty do uszu napakował.

- I am crying for you, Old Man, go and have a nap in one of your bloody tin-boxes.⁴⁸

Gdyby ze mną był Stapiński, to pewnie bym pętaka w ucho wyciął za te tin-boxes i za tę dowcipną propozycję drzemki.

Rozklekotali nas tak, że pół godziny byliśmy głusi i znieczuleni. Dobrze, że im cholerom z tej uciechy aż dwie lufy urwało. Nas szczęśliwie nie ruszono. Przed wieczorem przyszedł Motyka i przyniósł tylko pół butelki, ale przyszedł z majorem Łagidze z artylerii, i niewiele z tej pół butelki zobaczyłem.

*

A teraz siedź tutaj.

⁴⁷ Czy ty, stary, nie jesteś trochę nadgorliwy? Przerwij ten swój przeklęty ogień i nie zakłócaj dżentelmenowi spokoju.

⁴⁸ Żal mi ciebie, stary, idź lepiej przespać się w jednym ze swoich podłych blaszanych pudełek.

Przyszliśmy w ulewę wieczorem. Roztarasowywaliśmy się do późna w nocy w tym błocie. Nie wolno w domach... rozkaz.

Mogą sobie inni odciski moczyć. Może mój generał w skauta się bawić, ale mnie na taki sport nikt nie nabierze.

Kazałem namiocik postawić około dużego, na pół rozwalonego domu i w myśl dobrego, starego chłopskiego powiedzenia o sławojkach: „postawiłem, bom musiał, ale i tak do niego chodzić nie będę”, wprowadziłem się do domu.

Na dole w korytarzu zawalone drzewem i cegłami, ale na piętrze jeden cały pokój, z wyrwanym tylko oknem. Piorunem! Plandeka, dwa koce, rozłożyło się łóżeczko, fotelik i zawarzał prymus czołgowy. Moja załoga choć trochę posiedzi na sucho i w suchym zje kolację. Cieknie trochę w rogu, ale od łóżka daleko. Zelektryfikowaliśmy apartament, wiadomo, akumulatorem z czołgu.

Chłopaczki zjedli, trochę odpoczęli i poszli, przeklinając sołdackie życie, do swoich namiotów. Ja w pidżamę, jeszcze kairską, i buch do śpiwora. Rozłączyłem druciki elektryfikacji i już chciałem nakryć się z głową, bo zimno było cholernie, gdy usłyszałem na dole płacz dziecka.

Wyraźny płacz dziecka.

Włożyłem płaszcz i zszedłem z latarką na dół. Za kupą drzewa w korytarzu były drzwi. Zacząłem się dobijać. Po chwili otworzyła zapłakana kobieta. Wszedłem. Na stole lampka naftowa, jakieś garnki, nóż, kawałek brązowego chleba. Na dużym łóżku leżała mała, może sześćioletnia, dziewczynka z wielkimi czarnymi oczami. W rogu małe łóżeczko i druga dziewczynka, głośno i z trudem oddychająca, z czerwoną, rozpaloną gorączką twarzyczką.

Kobieta szlochała cały czas i bełkocąc coś, pokazywała na to biedne maleństwo. Z każdego kąta wзираła nędza i straszna niedola.

Wszedłem i wywołałem wartownika.

- Doktora Rutanę natychmiast prosić, by przyszedł.

W piętnaście minut był Jędrzek z sanitariuszem.

- Co się stało?

Wprowadziłem go do środka. Nie trzeba było słów. Obejrzał małą.

- Ten dzieciak musi być operowany natychmiast, inaczej się udusi, ale nie jestem siebie pewny. Poczekaj, pojadę po Siudę do Krechowieckiego, on na te rzeczy... rabin.

Biedactwo strasznie się krztusiło; podniósł ją wysoko w łóżeczku i wyszedł. Była równo jedenasta w nocy. Przyszedł zaalarmowany szef i zaczął powoli dogadywać się z Włoszką.

- To one te ostatnie dziesięć dni żyły z trzech bochenków chleba i trochę jabłek, co znalazły w tym domu. Męża jej zabrały cofające się wojska Grazianiego, ona z dziećmi uciekła i tu się zaryła w tej norze.

Spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową.

W dwadzieścia minut był z powrotem z dwoma żołnierzami, dźwigającymi pełne kartony. Zapalono nowiutki prymus czołgowy. Całe stopy jedzenia: chleb, mleko skondensowane, cukier, mąka, puszki masła, szynki, bekonu, kakao. Wszystko, co mógł zabrać pośpiesznie z magazynu kuchennego szwadronu.

W parę minut ta smarkata z łóżka już siedziała przy stole. Już żołnierzyki podwiązały jej jakąś szmatę pod brodą i karmiły na przemian chlebem z szynką i biszkoptami, wszystko popijane gęstym kakao. Oczy dzieciakowi się śmiały, mamlą coś pełną buzią, była zachwycona.

Doktorzy przyjechali dobrze po północy i - po minucie rozmowy - owinęli dziecko w koce i do sanitarki. Włoszka podniosła gwałt. Rzuciła się na ziemię, ledwie Kwiatkowski ją uspokoił, tłumacząc konieczność tego rozstania.

Nareszcie mogłem iść i położyć się spać, choć długo jeszcze dochodził mnie śmiech rozradowanego i rozbudzonego dzieciaka. Na drugi dzień obudziło mnie pukanie.

- Inside!

Otworzyły się drzwi i weszła ta mała smarkata, trzymając z ogromnym nabożeństwem filiżankę z kawą. Miała zaplecione warkoczyki z czerwonymi wstążeczkami.

- Buon giorno, signore comandante.

Radosny śmiech buzi tej sześciolatniej osoby w warkoczykach rozjaśnił, jak słońce, ponury wygląd tej nory bez światła. Już wiadome było, że raczej czekolady naszego czołgu znalazły właściwego odbiorcę.

Dzień szedł za dniem w tej pogodzie nad samymi dachami kłębiących się chmur.. Grywaliśmy od czasu do czasu w zimnej mesie w brydża. Wrócił Benek z Rzymu i wrócił Dolek.

I ta opuszczona, ciemna knajpa włoska, obrócona na nasze kasyno, była jedynym miejscem skupiającym trochę życia. Tu się jadało, siedziało, gadało, grało w brydża. Tu zaczęli nas odwiedzać koledzy z innych pułków. Ja od czasu, jak Kwiatkowski zorganizował mojej Włoszce prawie że pralnię szwadronową, spędzałem tu cały dzień, bo w domu trudno było usiedzieć od ustawicznego ruchu, no i zapachu mydła. A wycinanki z papieru i ciągle czytanie *Pinocchio*⁴⁹ też mi się znudziły. Już nawet przemyślałem o przeniesieniu się do sławojki, gdyby nie bóle głowy. Zaczęła mnie boleć głowa. Tak nawrotami, codziennie, a nawet w nocy. Zaczęło mi to poważnie dokuczać. Poszedłem do Rutany. Jędrrek zbadał mnie dokładnie i po namyśle zaczął:

- Podejrzewam, że masz ropę w zatokach czołowych. Jak cię zaczną leczyć po szpitalach, to diabli wiedzą, jak długo to potrwa. Ja ci radzę: weź urlop, jedź do Egiptu albo Palestyny. Słońce cię nagrzej, odpoczniesz i wszystko ci przejdzie. A jak nie, to tam są szpitale i lekarze, i lepsze możliwości. Stań do raportu, ja napiszę swoją opinię. Idzie zima, nic tu się dziać nie będzie. Mówię ci, jedź.

Poszedłem do Dołka, który wybierał się na niedzielę do Hanki. Poszedł natychmiast do Motyki. Motyka w godzinę później już jechał do generała.

⁴⁹ Znana książka dla dzieci.

Wieczorem w domu radość ogromna, bo wróciła moja druga dziewczynka, więc urządziliśmy jej małe przyjęcie. Kucharz do kompotu z moreli zmajstrował nawet krem. Ale pętał już był tak w szpitalu rozpaskudzony, że nawet krem nie zrobił oczekiwanego przez nas wrażenia. Naturalnie, nie schodziły mi z kolan.

Na drugi dzień znowu padało. Szedłem na śniadanie, gdy zobaczyłem za murem rozwalonego domu szefa stojącego przed szeregiem nie znanych mi żołnierzy.

Podał „baczość” i zameldował, że przyszło uzupełnienie do pułku. Przyjechali nad ranem, wyładowano ich w naszym szwadronie i zaraz służbowy odprowadzi ich do dowództwa.

- Panie poruczniku, oni wszyscy Ślązacy, słabo mówią po polsku, wszyscy z Afrika-Korps. Przeszkolono ich teraz w St. Basilio.

Przeszedłem przed frontem. Prezentowali się świetnie. Młodzi, wysocy, wysportowani. Zacięte twarze, oczy nic nie mówiące. Jak automaty. Spytałem pierwszego:

- Nazwisko?

- Tomczak.

- Hermann Göring Panzerdivision.

Mnie to wystarczyło. To był żołnierz najwyższej szkoły w świecie. Zapomniałem o bólu głowy. Do tego żołnierza śmiała mi się dusza. Poszedłem do mesy. Po śniadaniu wezwano nas na odprawę. Chodziło o przydziały nowych uzupełnień. Nam brakowało w szwadronie czterech załóg i dwóch pierwszego uzupełnienia. Zażądałem sześciu załóg.

- Jak to, mam Niemców brać? - obruszył się Masztak. - Ja ich nie chcę. Oni służyli w armii niemieckiej, kto ich wie, co za jedni. Może między nimi są Niemcy, co się podają za Polaków.

- Tak, tak - mruknął Cybruch - to na pewno Niemcy.

- Panie pułkowniku! Ja, o ile można, wymienię cztery załogi więcej za tych, jak ich kapitan Masztak nazywa, „Niemców”. Mnie jest wszystko jedno, czy on kocha ojczyznę czy nie kocha. Czy on jest Polak, Niemiec czy Włoch, chcę, żeby on się bił tak, jak ja chcę. A ten żołnierz chodzić mi będzie w palcach jak pałeczki w rękach dobosza szkockiej kapeli.

Motyka schował uśmiech.

- No to się między sobą rozdzielcie. Dam na pierwszy pięć załóg. I zapotrzebować czołgi ze szwadronu dostawy.

Poszedłem do Benka, żeby omówić mój wyjazd do Egiptu. Czekałem już tylko na papiery, może potrwać kilka dni. Benek był zachwycony projektem.

- Cudowna okazja! Mamy kupę forsy, pamiętaj, kup złota, „kasztanów”. To tutaj trochę zahandluję. Zarobi się sporo grosza.

Zaczęliśmy przeliczać nasze zasoby. Byliśmy na naszą skalę zamożni.

- Jedziesz na trzy tygodnie, dziesięć funtów dziennie powinno ci wystarczyć, wliczam w to naturalnie Shepparda, no i, wiadomo, kolację z szampanem w Mena Housie. Nie szalej, pamiętaj, za resztę kup złota.

Poszliśmy zaraz do płatnika wymienić liry okupacyjne na czek przekazowy.

- Panowie trochę przesadzają. Jak ja mogę umotywić przelew półtora tysiąca funtów?

Po dłuższej pertraktacji doszliśmy do porozumienia. Zamiast jednego czeku wzięłem cztery. Zanim dojdą, to i wojna się skończy.

Wieczorem było ogromne pijaństwo ze śpiewami. Przyjechali Krechowieccy w odwiedziny ze swoim dowódcą, Kaziem Zaorskim. Uroczy facet i cudny kompan. Szkoda tylko, że nie do... czołgów. Motyka ogromnie ich podejmował.

Na drugi dzień wszystkie moje papiery były już w dowództwie.

- Masz szczęście, ty szczęściarzu - mruknął Stryjewski. - Sam generał zażądał natychmiastowego załatwienia w korpusie.

Rano wrócił Dolek i zaczęto szykować moją Tatrę do drogi. Było nie było, prawie siedemset kilometrów do Taranto. Tam będę miał statek. Wyjeżdżam jutro o świcie.

O Boże! I znowu Cairo! I tyle światła, i śliczne restauracje, i wspaniałe wystawy na Sharia Soliman Pasha, i Groppi, i nawet ten niezapomniany hymn narodowy *King Faruk*, śpiewany z takim zapałem po każdym przedstawieniu w kinach przez żołnierzy całej 8 armii. Naturalnie, słowa w brzmieniu angielskim podnosiły ze wściekłości włosy pod czerwonymi tarbushami tubylców.

Dostawałem aż dreszczy z samej radości oczekiwania.

I znowu choć rzut oka na pustynię, i śliczne łazienki w hotelu, i mątwy nadziewane ryżem i czerwonym pieprzem „Chez Christau”. Jak on się mną ucieszy!

Nawet te esmy - ja naprawdę się za nimi stęskniłem. No i kolacja na Nilu. I ten ruch w nocy na ulicach. I tancerki w Bhadii. I południowy drink w Ghezira Club.

Rano czarna rozpacz i gwałt, jakby się paliło. One nie spały już chyba od godziny, bo dziewczynki były ubrane, Włoszka ryczała, dzieciaki uczepliły się mnie i nie chciały za nic puścić. Płacz, szloch i zawodzenie jakby ostatniego rozstania z najdroższym ojcem.

Nie mogłem tych moich smarkatek uspokoić ani oderwać od szyi. A już się rozwidniało i wóz już czekał przed domem, a tam daleko, daleko... Cairo!

No dobrze, jeszcze choć chwilkę, nie mogę zmartwić tych maleńkich serduszek. Jeszcze dwa ciepłe pocałunki. Wsiadłem do wozu.

Nikt mnie jeszcze tak w życiu nie żegnał.

TEDY PRZESZŁY CZOŁGI

- Dzień dobry panom!

Przeszła przez salkę i zaczęła otwierać okiennicę. Z otwartym na rozcież oknem wtargnęła powiew świeżego powietrza i uderzył w twarz.

Odwróciłem się ze zdawkowym uśmiechem; wyjęła z kieszeni fartucha termometry i - po strząśnięciu - podawała kolejno leżącym.

Na salce leżało nas czterech, ale ponieważ ostatnie dwa tygodnie gorączka nie opadała mi z czterdziestu, nie bardzo zdawałem sobie sprawę z otoczenia. Było mi raczej zupełnie obojętne, nieistotne i nie istniejące.

Dopiero od paru dni temperatura spadła i zaczęto mnie karmić jakimiś płynami bez smaku. Od paru dni dopiero nie dusiłem się tamponami, którymi wyładowywano mi usta. Od kilku dni zaledwie nie było śladu ropy. Przywieziono mnie nieprzytomnego i od prawie trzech tygodni byłem odcięty od wszystkiego, co mogło łączyć mnie z życiem, tym moim własnym życiem.

Świeży powiew poruszył za oknem gałązkami drzew i zwisającą zastoną. Pączki, choć jeszcze brązowe, zaczęły już lekko zielenieć i błyszcząły w promieniach słońca jak wylakierowane. Ten zimny, świeży powiew, idący z dolin czy z gór, poruszył gdzieś na dnie drzemiący niepokój.

Szła wiosna!

Z trzaskiem otworzyły się drzwi: wszedł Józek Jabłczyński i Kazio Skalski. W zimowych kombinezonach, spięci w białe pasy bojowe, silni, zdrowi, roześmiani.

- Jak się masz, Bohdan? Dobrze wyglądasz. A myśmy się już o ciebie martwili. Idziemy na Faenzę. Nie siedź długo. Pamiętaj, Wielkanoc za pasem. Wszystkie twoje rzeczy spakowane. Gołeczki przyjedzie tu jutro łazikiem po twoje instrukcje. Andrzej chciał wpaść do ciebie, ale nie mógł prowadzić szwadron.

- No, bądź zdrow, Bohdan - Józek rzucił mi na łóżko gałązkę mimozy. Wyszli.

A ja zostałem! Zostałem jak te parszywe umrzyki, co leżą ze mną, jak pusta łuska po wystrzelonym pocisku.

A tam idą czołgi. Idzie wiosna, ciepło i słońce. Wiara w tych zimowych kombinezonach obsiadła wieże. Śmieją się zakurzone gęby. Przekomarzania, okrzyki. Poleci czasem kwiatek od napotkanej dziewczyny, rozjaśni się buzia na wesoły okrzyk. Zazgrzyta gąsienica i kurz powoli przestoni oddalającą się kolumnę. Bo tak już musi być, gdy razem z wiosną... idą czołgi. A ja zostałem w tym szpitalnym smrodzie, między tymi zgniłkami, i krew mnie teraz zalewa.

Toż przecież już trzy miesiące, jak wróciłem z Egiptu.

To była eskapada nie na codzienną skalę i nie dla przeciętnego przeżuwacza wojskowego menu.

Już w Taranto kompania się powiększyła: Andrzej Tarnowski i Staś Mieszkowski, obaj z Karpackiego Ułanów i obaj kompani „pierwszej gildy”.

Statek jak dla milionerów, naturalnie, pierwsza klasa, każda kabina z łazienką, salony, jadalnie, bary, a jedzenie mucha nie siądzie.

Już wieczorem w barze przypętał się do nas kapitalny Żydzina. Nos jak do gaszenia świec, nóżki jak u mongolskiego jeźdźca, no i naturalnie rasowy kłapouch. Podporucznik z kasyna w Ankonie. Ale gad wesoły, dowcipny i wygodny, i na gwałt szukający kompanii. Po trzech doublach, za które upierał się zapłacić, zaproponował nam małego pokera. Jak odmówić takiemu kompanowi? Po półgodzinie ta znajomość ze mną kosztowała go równe sto funtów. Nie wytrzymał:

- Panie, pan gra jak Cyprys!

- Kto jest Cyprys?

- Jak to, pan nie zna Cyprysa? Kto nie zna Cyprysa? To najlepszy pokerzysta we Włoszech. Ho, ho, panie, doktor Cyprys!

- Dziękuję szanownemu za uznanie i chętnie bym poznał tego pańskiego Cyprysa, bo zapotrzebowanie na gotówkę mi się zwiększa.

- Co? Pan chce ograć Cyprysa? Panie, pan nie wie, co to jest Cyprys!

- Królu cygański, ja z pańskiego Cyprysa w pół godziny zrobię wałacha tak, jak już z pana zrobiłem.

W ciągu następnych dwóch dni wziąłem mu drugą setkę; ze smutkiem przyznał, że chyba mogę zagrać z legendarnym Cyprysem. Udał nam się ten nowy koleżka, i mało tego, wypiliśmy z nim brudzia, bo bardzo silnie nam to wmawiał.

W Ismaila, ledwie zesliśmy ze statku, zaczęło się przedstawienie.

Zrobił się wrzask... „Prince Bolonia”! To te małe Arabusy, sprzedające podróżnym gotowane na twardo jajka, poznały Andrzeja. Jak na komendę sześciu pętałów ustawiło przed Andrzejem koszyki z jajkami i kucnąwszy, ze skupionymi twarzami i oczami utkwionymi w jego twarzy, czekało na jego decyzję.

- Teraz masz przedsmak tego, co nas czeka na każdym przystanku - odezwał się Staś. - On to robi od trzech lat, od Tel Awiwu do Aleksandrii, i za nic tej hecy nie opuści. Zaręczam ci, że za dwie godziny nie będzie es-my w całym Kairze, który by nie wiedział, że Prince Bolonia jest z powrotem.

Andrzej z powagą stanął przy pierwszym koszyku. Popatrzył, jakby się namyślał, i przecząco pokręcił głową. Na twarzy sprzedającego obraz rozpaczliwego zawodu. Z drugiego wziął jajko i zaczął ważyć w rękę. Cała gromadka wstrzymała oddechy, sześć par oczu wlepionych w każdy ruch ręki. Znowu przecząco kiwnął głową i położył jajko z powrotem.

Minął z drewnianą twarzą trzeci koszyk. Zaniepokojenie wzrosło. Z czwartego wziął znowu jajko, wolno obejrzał, jakby z namysłem. Chłopaczki wstrzymały oddech. Andrzej powoli podniósł stick, uderzył w skorupkę, powoli obrał i nadgryzł czubek jajka.

Cała gromadka aż skoczyła z radości do góry. Mają dziś szczęście, Prince Bolonia znalazł jajko godne siebie. Andrzej wyjął dziesięć piasstrów i wrzucił do koszyka. Naturalnie, wartość co najmniej dwóch tuzinów.

Chłopcy zerwali się jak stado wróbli, odbiegli kilkanaście kroków, usiedli w kółko, z głowami schylnymi do siebie, prawdopodobnie dzieląc między sobą ten hojny bakszysz.

W Kairze po naradzie doszliśmy z Andrzejem do wniosku, że hotel Shepparda jest dla nas not good enough, i wzięliśmy we dwóch apartament na Malika Farida.

Prysznic, świeży mundur i - utonęliśmy w Kairze.

Na drugi dzień rano Andrzej był jeszcze sztywny jak kawał drewna, ale byliśmy umówieni ze Stasiem, że się spotkamy u polskiego town majora, gdzie mieliśmy wymienić nasze czeki przekazowe. Poszedłem sam.

W dużym hallu kręciło się parę typów w mundurach, a pod ścianą w rogu na kanapach siedziało trzech starszych pułkowników i dwie panie czarno ubrane. Zacząłem się im przyglądać, bo wydawało mi się, że tę starszą już gdzieś kiedyś w życiu widziałem. Młodsza, ładniutka, bardzo blada, również czarno ubrana. Wyglądały raczej na Francuzki.

- Co się tak gapisz? - spytał Staś.

- Wiesz co, Stasiu, chodźmy stąd, nie podobają mi się te babki, mam złe przeczucie. Ja idę.

- Gdzie? Przecież musimy wymienić pieniądze.

- Nie, Stasiu, to mogę zrobić jutro, a teraz wychodzę. Staś wybiegł za mną:

- Co ci się stało?

- Nic się nie stało, ale mam takie złe przeczucie, że gdybym tam został, to musiałbym się ożenić z tą bledziutką.

- Co ty opowiadasz, może jeszcze nie wytrzeźwiałeś?

- Może, ale idę i koniec.

Pomaszerowaliśmy - jak się należało o tej porze - do Małego Groppie-go. Po pierwsze, żeby napić się kawy, bo tak wypadało, a po drugie, umówiłem się z Titine, że ją zabiorę na śniadanie.

Ogródek był prawie pusty, może tylko kilka stolików zajętych. Ledwie nasz stary przyjaciel, Mahmud, postawił przed nami filiżanki, a już podskakując jak wróbelek wykwitła przy naszym stoliku Halszka Drymerowa, jakiś tam komendant siostr szpitalnych 2 korpusu.

Chłopcy kochani! Jak się cieszę, że was widzę. Chodźcie tu zaraz, to was przedstawię pięknej pannie. Ona jeszcze nie widziała, poza tymi starymi piernikami z bazy, prawdziwego oficera. Dopiero przyjechała z Turcji.

Ślicznie pani wygląda, pani Halszko, i sam widok pani jest największą przyjemnością, ale na co mnie ta panna? Jak pani zobaczy Titine, to aż oko pani, Halszko, zbieleje.

Halszka Drymerowa była ładna, bez wieku, z uroczym temperamentem i musiała się każdemu podobać. Zaczęliśmy się trochę przekomarzać, ale Mahmud już sam prznosił filiżanki.

Przeszliśmy do stolika w kącie, gdzie siedziała ta sama, na czarno ubrana, panienka z komendy placu. Czułem, że pot wystąpił mi na czoło. Zacząłem tracić pewność siebie, bytem wściekły.

Przez cały czas rozmowy nie otworzyłem ust. Ale już wstając, zaproponowałem pannie Bubię śniadanie nazajutrz w Auberge de Turf.

Zaproszenie zostało przyjęte.

Oddychaliśmy Kairem pełną - jak się to mówi - piersią i chłoniliśmy tę cudowną beztroskę i bezwład Środkowego Wschodu. Z panienką widywaliśmy się co drugi dzień. Chodziliśmy razem po cukierniach, restauracjach i po Kairze. Panna Buba była miła, przyjemna, wesoła, i dobrze nam było razem.

Naturalnie, że w tym czasie odchodziły nieprawdopodobne zabawy, nie zawsze dobrze się kończące.

Przez stosunki Zosi Tarnowskiej dostaliśmy zaproszenie na wielkie party do premiera Egiptu, Nahas Pashy. Tłumy ludzi i zabawa od samego wejścia. Humory doszły do samego peaku. Wychodząc zamieniliśmy w szatni nasze berety na piękne czerwone tarbushe miejscowych dygnitarzy. Irka Srebrna miała swojego Packarda, więc do wozu - i na kolację do Mena House'u.

Szampan się lał. Nad ranem wszyscy byliśmy pod potężnym gazem. Irka uparła się prowadzić samochód. Już o dziesiątej rano uciekłem ze szpitala, bo miałem pannę Bubę na śniadaniu, więc nie wypadało robić jej zawodu. W szpitalu została Zosia z połamanyimi nogami, Denise miała tylko rozkwaszone pysio, a Andrzejowi... nic.

Ledwie się wykąpałem i pousuwałem, jak mogłem, ślady krwi, bo gębę miałem potężnie rozbitą, gdy służący wprowadził na pewno nie proszonych gości: przedstawiciele miejscowego porządku wojskowego, inaczej mówiąc - żandarmeria.

Pan plutonowy uprzejmie wręczył mi „zaproszenie” od komendanta placu na godzinę dwunastą. Niestety, nie umiał mnie objaśnić, co było powodem tej „powiestki”. Andrzeja nie pozwoliłem obudzić, tłumacząc panu plutonowemu, że lepiej wilka nie drażnić, gdy śpi.

Czego oni od nas mogą chcieć? Nie podpadaliśmy niczyjej władzy, chyba w wypadku złamania prawa. I właściwie poza trochę wesołym trybem życia nic nam nie można było zarzucić.

To było dowództwo zbieraniny odpadków wojskowych, którzy siedzieli po obozach wyczekując na koniec wojny. Ale tego rodzaju dowództwo trudno nam było traktować jako jakąkolwiek władzę wojskową.

Ubrany tak, jak każdy szanujący się oficer korpusu pancernego 8 armii, zjawiłem się w komendzie placu. Wprowadzono mnie do gabinetu, gdzie za ogromnym biurkiem siedział brodaty major.

Rozmowa nasza nadawała się tylko do operetki.

Stałem przed biurkiem w postawie zasadniczej;

- Na rozkaz, panie majorze.

- Nazwisko?

- Tymieniecki.

- Skąd jesteście, poruczniku?

- Jesteśmy z Żerkowic, majorze.

- Ja się nie pytam, gdzie urodziliście się, ja się pytam, z jakiego oddziału jest porucznik?

- Nie urodziliśmy się w Żerkowicach, a porucznik jest z pułku Szóstego Pancernego Dzieci Lwowskich.

- Jak porucznik się do mnie odnosi?

- Jak major do porucznika, tak porucznik do majora, obowiązuje nas ta sama forma w stosunkach służbowych.

Major już ledwo panował nad sobą. A mnie od samego początku ta sytuacja niezmiernie bawiła. Ten biedny urzędniczy wojskowy był wobec mnie zupełnie bezsilny. Każde odezwanie się w tej formie narażało go tylko na śmieszność.

- Pan jest przy raporcie karnym.

- A to na podstawie jakich przepisów i uprawnień?

- Ja się panu tłumaczyć nie będę.

- To za chwilę zobaczymy, a teraz może mi pan powie, co spowodowało to miłe zaproszenie i tę uroczą rozmowę?

- Pan i pańscy koledzy chodzą nieprzepisowo ubrani. Były skargi, że panowie w miejscach publicznych zdejmują pasy i noszą jakieś kijki⁵⁰. To jest sprzeczne z przepisami umundurowania tego garnizonu. Zrozumiano?

-- Nie zrozumiano, pan porucznik i koledzy chodzą ubrani tak, jak im pozwalają przepisy armii, w której służą. A co do tych, jak je pan nazywa, kijków, to nosi generał Anders, nosi pułkownik Bobiński i nosi porucznik Tymieniecki, razem ma nas pan już trzech. Co dalej?

Majora zatkało; pienił się, fatalnie mu ten raport wychodził.

⁵⁰ Tradycyjna trzcinka oficerów angielskich.

- Ja pana nauczę szanować rozkazy i przepisy. Odeślę pana na zakończenie jego urlopu do obozu w Ismaila, i to zaraz.

- Nie zaraz, panie majorze, bo najpierw pan musi, rozumie pan, majorze, pan musi wytłumaczyć british town majorowi, na jakiej podstawie prawnej ośmielił się pan bez żadnego powodu grozić przerwaniem urlopu frontowemu oficerowi ósmej armii.

Major zdumiał do reszty. Takiego obrotu sprawy nie mógł przewidzieć. Zaczął coś bełkotać bez związku.

- Panie majorze, uważam naszą rozmowę za zakończoną i pozwolę sobie pana pożegnać. Wyszedłem.

Cała poczekalnia zanosila się od śmiechu. Przez cienkie oszklone przepierzenie słychać było każde słowo.

*

W Bibbienie zasypało nas śniegiem. Tu pułk dostał leże zimowe i jakoby był na wzmocnienie frontu w Apeninach.

Prosto z Egiptu wpadłem w śnieg. A zasypał nas tak, że prawie byliśmy odcięci nawet od dostaw. Śliczne, maleńkie miasteczko Toscanii, daleko od głównych magistrali i daleko od wojny. Na rynku jak dla lalek był ratusz, może jeszcze z okresu quattrocento, z poważnym i pełnym godności sindaco.

Przechodziliśmy końcową fazę organizacji dywizji pancernej. Dołączyły do nas wszystkie formacje składowe i czekaliśmy tylko na będącą w końcowym stadium szkolenia brygadę piechoty i na najbardziej przez nas oczekiwany batalion commando.

Na pułk rozpoznawczy dywizji przyszedł do nas piękny pułk Ułanów Karpackich, który według nomenklatury brytyjskiej był prawdziwym pułkiem kawalerii, o typowym uzbrojeniu pułków gwardii, o tradycjach kawaleryjskich. Z tą naszą kawalerią to wyglądało trochę inaczej, niż krzyczano.

Pułk Ułanów Krechowieckich miał zasadniczą numerację organizacyjną... piąty pułk pancerny i był tylko imienia Pułku Ułanów Krechowieckich. To samo odnosiło się do Dwunastego i Piętnastego Ułanów, które w myśl etatu były niczym innym, jak batalionami rozpoznawczymi dywizji piechoty o typowym dla tych oddziałów uzbrojeniu. Obydwa były bardzo dobrymi jednostkami bojowymi ze specjalnym wyróżnieniem Piętnastego Ułanów.

Zaczęło się życie małego garnizonu, odciętego prawie od świata. Miasto przyjęło nas z otwartymi ramionami, zaczęło żyć naszym życiem, a dowódca pułku, siłą rzeczy, został jakoby wielkorządcą na Bibbienie.

Motyka miał już dzisiaj pierwszy głos u generała, co było dla nas zupełnie zrozumiałe. Był na pewno najlepszym dowódcą pułku pancernego w brygadzie, a może jedynym w armii naszej, który miał pełne wykształcenie nowoczesnej broni pancernej bez żadnych starych naleciałości. Nabrał ogromnej pewności siebie, tym bardziej że generał Szyszko-Bohusz, będąc jakimś krewnym czy opiekunem żony Stasia Maształa, zaczął bywać w pułku i Motykę do „poufałości” dopuszczać.

A w naszym korpusie oficerskim wyglądało chyba tak, jak w każdym pułku na świecie.

Wytworzyły się trzy ugrupowania. Jedno, co zawsze skacze do kłamki, patrzy wiernie w oczy i... mówi „tak jest!” Drugie - zupełnie obojętne, idące z prądem dnia. Trzecie - niechętnie, a nawet wrogo nastawione do dowódcy pułku. Nieszczęście, że do tego ostatniego należeli najlepsi oficerowie pułku.

Przyczyną tych niechęci i animozji był niesłuszny i niesprawiedliwy rozdział odznaczeń, awansów i funkcji. Motyka równał do najślabszych kosztem najlepszych, nie biorąc pod uwagę ani indywidualnych wartości, ani zasług. To nie mogło się podobać tym kilku, na których właściwie stał pułk. I gdyby nie perswazje księdza Czornego i takt Andrzeja Gromadzkiego, to te sprawy nabrałyby szerszego rozgłosu.

Największym autorytetem w pułku, przerastającym autorytet dowódcy, był magister praw z cywila, rotmistrz Andrzej Gromadzki.

Już pod Piedimonte, w momencie największego kryzysu, po stracie pułkownika Świetlickiego, Andrzej dowodził pułkiem. I każdy widział w nim przyszłego dowódcę.

Generał Rakowski uważał jednak, że oficer rezerwy nie może przekroczyć stopnia kapitana. Po bitwie wezwał Gromadzkiego i uwarunkował, że jeżeli podpisze on deklarację na oficera zawodowego, to zostanie zastępcą dowódcy pułku w stopniu majora. Gromadzki odmówił motywując, że podpisanie takiej deklaracji i w takich okolicznościach koliduje z jego pojęciem uczciwości żołnierskiej. W rezultacie za dowodzenie pułkiem w momencie przełomowym nie dostał Virtuti Militari. Ale Andrzej zdawał sobie sprawę, że podważenie stanowiska Motyki może doprowadzić do zmiany, na której pułk tylko straci. Bo mimo wszystko na zewnątrz byliśmy z naszego dowódcy bardzo dumni i byliśmy bardzo do pułku przywiązani.

Więc Andrzej, jak mógł, starał się rozładować napięcie.

Ja, siłą rzeczy, musiałem trzymać się na uboczu. Motyka dawał mi taką swobodę poruszania się, że to nawet czasem drażniło moich kolegów. Buba była już w Rzymie i na pierwsze moje zwrócenie się o pozwolenie wyjazdu dostawałem je, mimo że przedtem dwóch oficerów spotkała odmowa. Na tej swobodzie najwięcej mi zależało i nie mogłem mieć żadnych pretensji o odznaczenia, stanowisko czy awans.

Oliwy do ognia dolewał Miś Pirożek. Od pewnego czasu zaczął dosłownie polować na każdą najmniejszą słabość Motyki i tylko szukał możliwości, żeby wypuścić żądło. Co ternu cholerze- do łba strzeliło, nie wiadomo. Począł naśladować każdy mój ruch, ubranie, gesty, odezwania się, wiedząc, że tym doprowadzi do pasji pułkownika, który na sam widok Pirożka już siniał.

Ponieważ lubiliśmy obaj z sobą gadać, więc w kasynie siedzieliśmy koło siebie. Naprzeciwko nas siedział kochany chłopak, porucznik Towarnicki, którego Motyka trochę faworyzował. Doszedł do tego Pirożek i jako odbitkę dla swoich dowcipów obrał sobie Towarnickiego.

W niedzielę w kasynie, podczas obiadu, kiedy podano już mięso i w takim momencie ciszy, gdy wszyscy zajęci są jedzeniem, nagle z twarzą o sztucznej powadze odezwał się Pirożek:

- Panie poruczniku Towarnicki (w ogóle byli na ty), radzę przysunąć się do stołu, bo przedłużenie linii zaopatrywania powoduje zwiększenie strat marszowych.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Ale strzał był celny. Motyka zaczerwienił się i odsunął talerz.

Zaraz następnego dnia Miś wyczekał na swój moment. Atak poszedł w tym samym kierunku:

- Panie poruczniku Towarnicki, czy pana nie uczono w gimnazjum o zasadach równi pochyłej? Przecież to ziarnko grochu na pańskim nożu, które z niepokojem śledzę, nabiera ogromnego poślizgu, utrudnia kontrolę i może stać się zagrożeniem dla otoczenia.

Tego rodzaju dowcipy witane były burzą śmiechu, tym bardziej że Towarnicki grochu nożem nie jadł. Motyka zrywał się, bo czuł, że to mała złośliwość na odbitkę.

Ale Miś jednym ze swoich najlepszych dowcipów przeciągnął strunę.

W tydzień później, na odprawie oficerskiej, dowódca pułku zwrócił się do nas (nie zanotowałem imion i muszę posłużyć się zastępczymi, o podobnym brzmieniu):

- Proszę panów, kolega nasz, porucznik Towarnicki, nosi się z zamiarem wstąpienia w związek małżeński. Nazwisko tej pani Stanisława Mączka, córka Walentego Mączki i Weroniki z domu Drożdż. W myśl przyjętego pragmatyką zwyczaju zapytuję, czy który z panów widzi jakieś przeszkody?

Naturalnie, że nikt żadnych przeszkód nie miał, ale na chwilę zapanowała cisza.

- Ja! - padło z końca sali. Wstał Miś Pirożek:

- Panie pułkowniku, jeżeli panna jest Mączka, a do tego mama Drożdże, to tak, jak się słyszy, może być żona tylko dla Pirożka. Gdzie Towarnickiemu do ciasta?

Myśmy mało nie pospadali z krzesel.

- Panie poruczniku Pirożek, wypraszam sobie takie żarty. A w ogóle mam już pana dosyć.

Los Misia Pirożka w Szóstym Pancernym był prawie przesądzony. Pozostawało jeszcze małe „ale”. Miś był z naszego szwadronu, a szwadronem dowodził Dolek Jadwisiak.

Nagle jak piorun z jasnego nieba spadła na nas Jałta. Umilkły śmiechy w mesie oficerskiej. Skończyły się żarty, jak uciął nożem wszystkie nieporozumienia, kwasy, ambicje osobiste, zadrażnienia. Na to nie było już miejsca.

Ci młodzi chłopcy patrzyli na nas wyczekująco, żądając wyjaśnień, chcieli mieć pełny obraz narastającej rzeczywistości. Jak im to wytłumaczyć? Jak im to uczciwie wyjaśnić? Jak sami sobie nie mogliśmy wyobrazić zaistniałej sytuacji.

Nam starszym, już o tej odrobinie życiowego doświadczenia, rosnęło coraz bardziej przed oczami potworne widmo „konia na wzgórzu”.

*

Nareszcie ruszono nas z barłogu. Szykuje się wiosenna ofensywa, a z nią przerzucanie całych formacji. My idziemy znowu na Costa Adriatica.

Mróz, wiatr, gołoledź i przeraźliwe zimno. Idziemy na gąsienicach do Arezzo, tam miały czekać na nas transportery.

I zaczęła się makabra straszego przemarszu przez góry. Droga wąska, zmarznięta, pełno ostrych i pochyłych zakrętów. A schodzimy prawie cały czas w dół. Czołgi idą bezwładnością masy swoich trzydziestu ton. Prawie nie do opanowania. Saperzy, załogi, my wszyscy pracujemy jak woły bez wytchnienia, rzucamy pod gąsienice ziemię, kamienie, drzewa. Popękały nam usta od wiatru, paliły policzki. A jednak, mimo tego ogromnego wysiłku, mimo opanowania i zimnej krwi świętych kierowców, dwa czołgi stoczyły się w przepaść. Dwóch ludzi zabitych, jeden ciężko ranny, nie wiadomo, czy wyżyje.

Późną nocą, na pół żywi, doszliśmy do Arezzo.

Z tej strony przełęczy Fabriano nic się nie zmieniło. Nie ma mrozu, ale za to leje bez przerwy i ciągle mgły.

Zapadliśmy w Montefano i tu mamy stać może nawet parę tygodni. Więc znowu trochę beczynności. Poprosiłem o wyjazd do Rzymu. Dostałem.

Moja panienska w Rzymie nie mogła narzekać na brak różnorodności. Wszyscy moi koledzy z pułków pancernych uważali za swój obowiązek - podczas bytności w Rzymie - zapraszać ją na obiady i kolacje do wielkich restauracji. Była zawsze otoczona.

Ale jak zwykle znaleźli się również kibice z formacji tyłowych, którzy zaczęli przebierać nogami i podskakiwać do panny, nawet z kwiatkami. Mnie naturalnie nie było, ale miałem dobrych przyjaciół. I kiedy Staś Holba z Karpackiego Ułanów zobaczył z obrzydzeniem jednego z pajaców z referatu propagandy, sunącego w podrygach do panny, wziął tego Romea w wydaniu dla uboższych silnie pod rękę i wolno cedząc słowa do samego ucha, zapytał:

- Czy szanownemu wiadomo, że ta panna to dziewczyna Tymienieckiego?

Facet się obruszył i usiłował się wyrwać.

- No to co?

- A czy szanowny zna porucznika Tymienieckiego?

- Nie, a choćbym znał, to co?

- Noto szanownemu obiecuję, że go pan pozna. A w ogóle twarz osoby coraz mniej mi się zaczyna podobać.

Ta cała hałastra najrozmaitszych i najprzedziwniejszych służb, wieszająca się na tyłach armii, należała raczej do gatunku przezornych. Więc czasem jeszcze jakiś nieświadomiony i niezorientowany zaczął podskakiwać, dopóki mu nie obrzydono i nie ostudzono go w zapalach.

Jeden z takich kogutów nadział się na Ludwika Popiela. Więcej go w Rzymie nie zobaczono.

To niepisane prawo przynależności do jednego z gromady było sprawdzianem tego koleżeństwa i przyjaźni, jakie daje front.

Ale Buba była urażona.

- Co ty ludzi straszysz! Mili, przyjemni, inteligentni chłopcy i tacy sami żołnierze, jak wy wszyscy. A przez tych twoich koleżków to teraz wszyscy mnie unikają. Twoją narzeczoną nie jestem, żadnych uprawnień do mnie nie masz, a twoi koledzy monopolu. Już ja się z Holbą rozprawię. Jak on śmie moich znajomych tak traktować.

Ja wyłem ze śmiechu. Wolałem tematu nie podtrzymywać i tym samym dolewać oliwy do ognia, bo Bubusia była w złym sosie. Co do tego rozprawiania się, to obaw nie miałem. Buba uwielbiała cały Karpacki Ułanów, a Staś Holba był jednym z ulubieńców.

I znowu zaczęło się życie jak w garnizonie, aż pękła bomba! Pojechaliśmy z Andrzejem Gromadzkim do Loreto zobaczyć nowo otwartą kantinę polową i nowe kantyniarki. W tym czasie doszło do poważnej awantury między Dołkiem a dowódcą pułku. Podobno poszło o mnie. Motyka zabrał natychmiast Dołka do raportu do generała.

Wróciliśmy późno. Spotkałem tylko Paciukanisa, który napomknął, że była granda, ale szczegółów nie znał.

Na drugi dzień rozkaz pułkowy zaskoczył wszystkich. Kapitan Jadwisiak zostaje przeniesiony do Centrum Wyszkozenia, rotmistrz Gromadzki na dowódcę trzeciego szwadronu, ja na zastępcę dowódcy trzeciego szwadronu, podporucznik Pirożek przeniesiony do dywizji.

Przyciskany do muru Dolek zapewniał, że odchodzi na własne żądanie. W to nikt z nas nie wierzył, ale wyczuliśmy intencję. Dolek był dobrym żołnierzem, a tym samym bardzo pewny siebie. Wiedział, że jeżeli powie, co się za tym kryło, to na pewno dojdzie do ostrego zatargu, którego w dzisiejszej sytuacji należało za wszelką cenę uniknąć. To uszanowaliśmy i przyjęliśmy spokojnie i bez komentarzy zarządzenie, ale każdy z nas miał cichy żal do dowódcy pułku za wykorzystanie okoliczności do uderzenia... poniżej pasa.

W dwa dni później dostałem silnej gorączki. Przyszedł Jędrzek Rutana, obejrzał, zbadał, pokiwał głową. Dał coś do wypicia, proszek i powiedział, że wygląda to na silną anginę, ale podejrzewa, że jest to coś innego. Na drugi dzień było gorzej, gorączka skoczyła na czterdzieści jeden. W nocy otworzyła się rana w ustach. Nad ranem Jędrzek wsadził mnie do sanitarki. Było jeszcze szaro, padał deszcz ze śniegiem.

Obudziłem się tutaj i przygniwałam w tej kompanii warsztatowej od ludzkich członków. Ciekawym, jak długo mnie tu utrzymają. GołECKI przyjedzie jutro, zobaczymy.

Wieczorem wstałem po raz pierwszy i wywlokłem się na korytarz. Nogi trochę źle chodzą i kręci się we łbie jak pijanemu. Musiałem przysiąść na jakimś tłumoku z brudami.

GołECKI przyjechał rano. Wręczył mi paczkę z czystą pidżamą. Aż zapachniało Kairem. Już dosyć mam tych szpitalnych flaneli. Posadziłem go blisko, na łóżku. Na pidżamę ta paczka była trochę za ciężka, wysunęła się butelka White Horse'a. Szybko pod poduszkę.

- To od pana rotmistrza.

- Uważaj pilnie, Gołteki: pojedziesz pod Faenzę i zameldujesz rotmistrzowi, że musisz przyjechać do mnie w niedzielę, to znaczy za trzy dni... Miej w łaziku pod ręką beret, płaszcz i koc. Weź mój battledress, corduroye⁵¹ i stick. O tym rotmistrzowi ani słowa. To ma być niespodzianka. Zajedziesz pod bramę punkt dwunasta. O tej porze zaczynają rozdawać obiad. I czekaj. Jasne?

Rano znowu spacerek. Słabo jeszcze idzie. Staram się jeść, bo człowiek nabrał do życia więcej ciekawości i zaczęło mi się śpieszyć. Codziennie spacerek rano i po obiedzie. Wieczorem, jak te zdechlaki już spały, gruchnąłem sobie pół kubka whisky, tak od jednego zamachu. Paliło w gębie strasznie, bo rana jeszcze nie zagojona, ale po półgodzinie mogłem już nawet zaśpiewać. Zaczyna się żyć!

W niedzielę, za pięć dwunasta, wyszedłem z miną tak od niechcenia. Właśnie zaczęto roznosić obiad. Na dworze myślałem, że nie dojdę. Przeliczyłem się trochę z siłami. Do bramy było dobrych dwieście kroków.

Gołteki podał płaszcz, włożyłem beret, kocem nogi w czarnym jedwabiu i... jazda!

- Zajedź do tej knajpy w Colombina, zaraz koło stacji, znam padrone, tam się podżywimy i nareszcie przebiorę się na człowieka.

Włoch z miejsca wpuścił mnie do prywatnego mieszkania. A teraz czarnej kawy i koniaku. Jak na złość zapomniałem nie dokończonej butelki, została pod poduszką. No, będą wiedzieli, co sobie o mnie pomyśleć.

Pierwszy raz od tyłu tygodni czarna kawa. Kazałem Gołteckiemu zjeść obiad.

- Una altra! - Następna!

Przebrałem się. Nareszcie człowiek we własnej skórze. Teraz talerz minestrone i... yalla!

Wszystko skakało w oczach. Wszystko było jakieś nowe, radosne i czułem się wesoły jak wróbel w kąpieli. Jechaliśmy wolno, bo ciągnął pod front konwój za konwojem. Słońce dogrzewało, kurz, wiatr szedł od morza.

Kazałem zjechać nad samą wodę. Tutaj sobie trochę odpocznę, bo jednak wysiłek był duży. Wyciągnąłem się na kocu.

Gołteki nalał dwa kubki wina.

- No, panie poruczniku, na zdrowie! Dopiero się pan rotmistrz ucieszy. Stoimy na samym froncie. Jest tam i trochę piechoty, ale tak, żeby prawdę powiedział, to między nami a szwabami tylko krzaki. Co noc nam dokuczają tymi patrolami i ciągle trzeba się mieć na baczności. Wczoraj w nocy to cholery naszych żandarmów z samego okrągłaka zgarnęli. A dzisiaj rano ich odesłali, nawet rewolwerów nie zabrali, ot tak, dla hecy. Żartów im się zachciewa, świńskim ryjom. Niech tylko ofensywa się zacznie!

Oddychałem pełnymi płucami. Od drogi szedł łoskot poruszających się kolumn. Wino było dobre i ten świeży, ostry podmuch, idący jakby nad samymi falami. Śliczny kolor ma ta woda. Jutro jeszcze będę za słaby, ale tak za dwa dni to można już wsiąść do czołgu. Byle się tylko ta ofensywa wstrzymała

⁵¹ Spodnie sztruksowe od Colicoata.

jeden tydzień. Muszę koniecznie napisać do Buby i jakoś mądrze wysłać. Szkoda, że nie ma Benka. On tam musi niewąsko podbawiać się w Kairze.

Nie podobają mi się te siedemnastofuntówki, za wolno palny ładunek, wieża zawsze pełna ognia nie budzi zaufania i nie wierzę w celność ponad półtora tysiąca. Te sto pięć to doskonała haubica. Nasi już dobrze opanowali system nastawy i użycia. Ano, zobaczymy.

Czy to warto się teraz pchać na grandę? Na plutonie to człowiek miał ten grip na walce, miał poczucie siły tych swoich trzech dział. Obojętnie, kto dowodzi, to jednak ja się biję, i to jest moja walka. Moje działa pchają pocisk za pociskiem tam, gdzie ja chcę, i jak się przypnę, to mnie jeszcze nie oderwano. To było coś. Dym i gaz! I znowu naprzód. A teraz co? Wankiewiczza mi zabili, Pirożka zabrali, a mnie na zastępcę. Całą frajdę walki diabli wzięli. Dobrze, że choć z Andrzejem. Nie mogli mnie to zostawić na plutonie? Szkoda, że Motyka nie pozwolił mi zabrać mojej załogi. Ot, mała złośliwość. To była załoga!

Niech mi teraz kto powie, o co ja mam się bić? Nic nie wiem, co się dzieje. Nawet „Orła”⁵² nie czytałem. Nie chce mi się myśleć, niech się inni martwią. Co ja Buby napiszę?

- No, jeszcze jeden kubeczek, szanowny panie Gołdecki, i... jedziem!

Droga im dalej, tym bardziej tłoczno. Angliki, Gurki, byki⁵³, choinki⁵⁴, działa, reflektory, cysterny i samochody, samochody, samochody. Minęliśmy Rimini, w Forli zator na dobre pół godziny. Wyrócili cysternę.

Już było dobrze koło szóstej, gdy podjechaliśmy na okrągłak Faenzy. Stąd do germańców nie więcej jak dwa kilometry. Skręciliśmy za znakami pułku w prawo. Wąska szosa może ze dwa kilometry. I tu w lewo rozwalony zjazd, pełne bajora wody, głębokie odciski gąsienic. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Tędy przeszły czołgi!

⁵² „Orzeł Biały” - tygodnik 2 korpusu.

⁵³ Byk - żubr był odznaką Kresowej Dywizji Piechoty.

⁵⁴ choinka - świerk - odznaką Dywizji Karpackiej.

JAK DINNER TO TYLKO W „PAPAGALLO”

Z brzękiem posypały się szyby wprost na orkiestrę. Kurz i kawałki białego tynku spadły na głowy i stoliki ustawione pod ścianami. Warkot karabinów maszynowych, trzask broni małokalibrowej, a po chwili huk wybuchów ręcznych granatów, jakby tuż za drzwiami, zdawało się, że zakończy tak świetnie zapowiadające się party.

Przerażona orkiestra ucięła z miejsca, ale pary tańczące na środku nie przerwały. Młody oficer Household-Cavalry kiwnął tylko rozkazująco głową na przerażonych muzykantów. Zaczęli grać znowu. Żaden uśmiech nie zniknął z twarzy, żadna rozmowa nie została przerwana. Nikt nie obrócił nawet głowy.

Salka mesy oficerskiej angielskiego garnizonu Faenza była zatłoczona. Oficerowie wszystkich możliwych formacji tego odcinka frontu podejmowali wielkim „dance” nowo przybyłe dziewczyny z nowozelandzkiego korpusu. Dziewuchy były mało że świetne, w doskonale skrojonych, eleganckich mundurkach, rozbawione, nawet nie przerwały chichotów i tańca.

Kapitan Siódmego Huzarów, siedzący przy naszym stoliku, zgarnął z włosów trochę osiadłego tynku:

- Bastards! - Kiwnął na staniającego się ze strachu kelnera i pokazał na rząd pustych szklanek na naszym stoliku. - Pronto!

A tam, może na trzeciej ulicy, toczyła się walka wręcz. Niemcy zaryzykowali nocny wypad na Faenzę.

Ale cóż ich to mogło obchodzić, tych weteranów 8 armii. Oni przyszli tu, żeby się bawić, a jakiś głupi wypad nie jest żadnym powodem, żeby tę zabawę im przerwać. A że tamci się biją, to ich sprawa. Jedni się biją, drudzy się bawią. Jutro może zmieni się kolejka.

Orkiestra zagłuszała terkot karabinów maszynowych. W salce zatłoczonej i czarnej od dymu bladzi ze strachu i przerażenia kelnerzy roznosili w gorączkowym pośpiechu następne drinki.

Andrzej roześmiał się do mnie:

- Wesoło, co?

Tych kilkudziesięciu oficerów - to resztki armii, która kiedyś przejdzie do historii. Resztki, bo właśnie 8 armia już przestała istnieć. W zeszłym roku jej większość odeszła na lądowanie w Europie.

Ósma armia była jednostką specyficzną jak na warunki angielskie. Powstała z armii Nilu, armii stworzonej do zupełnie innych warunków prowadzenia wojny. Cztery lata walk pustynnych, o zmiennym szczęściu, wytworzyły żołnierza zupełnie odrębnego od wojsk metropolii. Rozluźniły się przepisy umundurowania i dyscypliny. Wytworzył się specjalny sposób bycia i jakiś dziwny fason czy styl, prawie niemożliwy do naśladowania. Oficer tej armii i jej żołnierz był tak potwornie „efficient” i „professional”, iż nawet doborowa Afrika-Korps przyznawała, że znalazła sobie równych.

W skład tej armii podczas kampanii libijskiej wchodziły słynne jednostki Imperium:

Siódma Dywizja Pancerna z czterema pułkami pancernymi, które były dumą Royal Armoured Corps;

Szósta Dywizja Australijska, Desert Rats, gwizdząca nieustannie swoją *Waltzing Mathilda*;

Pięćdziesiąta Pierwsza Highland Division, której bataliony o trzystuletniej tradycji chodziły do natarcia zawsze prowadzone przez pułkowych piperów;

Siódma Brygada RTR (Royal Tank Regiments), która rozniosła całą armię Grazianiego;

Jedenasta Hinduska i nasza Brygada Karpacka ze swoim słynnym w całej armii pułkiem Western Desert Lancers, inaczej Pułkiem Ułanów Karpackich.

Polacy mieli wielką markę i porównywano nas z nieśmiertelną Legią Cudzoziemską, okrytą chwałą obrony Bir Hakeim.

Tak powoli tworzyła się legenda o tej armii, którą urodziły piaski Pustyni Zachodniej i wielkie hotele Kairu i Aleksandrii.

Kożuchy baranie, ogromne wąsiska, kryjące wiek dwudziestokilkuletnich majorów, podpułkowników, a nawet dowódców brygad, kolorowe szaliki, desert boots i nieodstępne końskie ogony podnosiły z oburzenia włosy pod czapami przybyłych z metropolii i wciągniętych w tamtejszy dryl oficerów sztabowych.

W skład tej armii razem z korpusem nowozelandzkim, kanadyjskim, francuskim i hinduskim wszedł na lądowanie we Włoszech nasz 2 korpus.

Drugi korpus był bardzo ładną jednostką i tworzyliśmy razem z innymi pewnego rodzaju egzotykę tej dziwnej armii, mając pełną świadomość, że jesteśmy wysoko umieszczeni w ocenie. Dowodem tego było, że Siódmy Huzarów i dwa pułki artylerii angielskiej znajdowały się pod naszym dowództwem.

Wszystkie mesy oficerskie stały dla nas otworem, byliśmy zawsze bardzo serdecznie i gościnnie podejmowani. Szkoda tylko, że z tej gościnności korzystali przeważnie oficerowie z dawnej Brygady Karpackiej, bo reszta - nie znając języka - raczej się krępowała i wszystkie swoje braki towarzyskie starała się pokryć okazywaną pewnego rodzaju niechęcią.

Tak i teraz - na cały ten tłum było nas tylko dwóch. Od samego wejścia prawie siłą zabrali nas do swojego stolika oficerowie Siódmego Huzarów. Whisky polatała się z miejsca.

Z pewnym żalem wielu z nas zauważało coraz mniej znaków drogowych i żołnierzy ze słynną tarczą krzyżowców aa ramieniu. Bo nawet uzupełnienia przychodzące do starych jednostek 8 armii nie były uprawnione do noszenia tej odznaki.

Ósmej armii już nie było.

Pozostawiła za sobą nostalgię wspomnień i setki opowiadań i anegdot, powtarzanych chętnie przez żołnierzy z nią związanych.

Podczas lądowania na Sycylii jadący jeepem na linię frontu marszałek Montgomery spotkał się na wąskiej dróżce górskiej z samochodem ciężarowym któreś z kolumn transportowych. Dróżka była wąska i tylko z trudnością można było się wyminąć. Było gorąco - kierowca ciężarówki był bez koszuli, ale za to na głowie miał pięknie świecący czarny cylinder. Zobaczywszy swego dowódcę, kierowca bez namysłu uchylił uprzejmie tego nieoczekiwanego nakrycia głowy.

Marszałek odsalutował.

Na drugi dzień w rozkazie dziennym 8 armii ukazała się następująca wzmianka: „Zdaję sobie sprawę z chwilowych trudności z uzupełnieniem braków umundurowania, jak również oceniam należycie dobre maniere. Jednak wydaje mi się, że cylinder nie jest najwłaściwszym nakryciem głowy żołnierzy Ósmej Armii”.

Taki to był l'esprit de corps tej wspaniałej formacji.

Dużo sentymentu i miłych wspomnień łączyło mnie z tymi ludźmi.

W centrum wyszkolenia w Abbasya przydzielony byłem na okres prawie dziesięciu miesięcy do reinforcement⁵⁵ 11 Huzarów Prince Albert Own, tak zwanych Cherry Pickers - od czerwonych lampasów na galowych spodniach. Był to jeden z najstawniejszych pułków kawalerii armii brytyjskiej. Dwukrotnie wychodziłem z nimi alarmem w pustynię jako staff sergeant, tank commander. Miałem urocze stosunki i dużo dobrych przyjaciół. Mieli mnie za swojego, i czułem się jednym z nich.

W jakąś godzinę uspokoiło się wszystko. Niemcy fatalnie trafili. Właśnie wieczorem na ten odcinek wszedł batalion Gurdów; ci z miejsca poszli do przeciwnatarcia i prawdopodobnie zniechęcili Niemców do następnych tego rodzaju wyczynów.

Była już chyba druga w nocy, gdy wyszliśmy na ulicę. I pomyśleć, że jeszcze dzisiaj rano byłem na etacie umrzyków. Kręciło mi się trochę w głowie i nogi były nie za bardzo pewne siebie, ale nie od osłabienia ani pozostałości chorobowych - byłem trochę zalany, to prawda, ale byłem zdrow.

Ulica była pusta i cicha. Z tyłu za nami dolatywały jeszcze chóralne śpiewy bawiących się.

Andrzej zatrzymał się:

- Wiesz co, Bohdan, zazdroszczę im jednej rzeczy: oni mają gdzie wrócić.

Szwadron nasz ubezpieczał batalion piechoty i stał rozrzucony plutonami wzdłuż wąskiej, równolegle biegnącej do linii frontu dróżki.

Między z rzadka leżącymi, pojedynczymi gospodarstwami, ogrodami, winnicami i poprzecinanymi rzędami drzew owocowych uprawnymi półkami szeroko rozstawione czołgi plutonów jakby zlały się swoją szarością z otoczeniem.

Przed nami leżał no-man's land - ziemia niczyja tychże małych farm, ogrodów, krzaków i winnic. Do nieprzyjaciela było nie więcej jak tysiąc jardów i każdy ruch na naszej dróżce prowokował natychmiastową serię spandauów.

No-man's land od prawie trzech miesięcy minowali wszyscy po kolei i tylko nocą patrole obu stron buszowały po przedpolu, wywołując niepotrzebne zamieszanie i prowokując się wzajemnie do gwałtownego ognia moździerzy i artylerii.

Wiosna szła już na grandę i w ostrych promieniach słońca zaczęło się zielenić.

⁵⁵ Uzupełnienie.

Jedyną i największą atrakcją całego przedpola było stado zupełnie już zdziczałych perlic, na które obie strony polowały zawzięcie od dwóch przeszło miesięcy. Perlice, prawdopodobnie po początkowych stratach, zbystryły się tak, że w żadnym wypadku nie dopuszczały bliżej niż dobre trzysta metrów i przy swojej ruchliwości prawie uniemożliwiały celny strzał.

Obie strony jakby zawzięły się; patrole dzienne - tak ich, jak i nasze - całą uwagę i zacięcie skupiały raczej na perlicach, pozostawiając siebie w spokoju. Już od samego świtu biegła wzdłuż naszego odcinka wiadomość: perlice na niemieckiej stronie! I niecierpliwe wyczekiwanie na strzał, który może je przepędzić znowu na naszą stronę.

Zamieszkałem razem z Andrzejem w opuszczonym domu i nie bardzo się pokazywałem, bo obawiałem się trochę Jędrka Rutany, który mógłby narobić alarmu i odesłać mnie ciupasem z powrotem do szpitala.

Tak minęło parę dni, aż nadziałem się na Czornego, którego diabli przynieśli razem z jego kościelnym.

- Czyś ty, ksiądz, nie zwariował? Kurzysz tym łazikiem jak cholera, przecież cię ustrzelą jak kaczkę.

- A ty co tu robisz? Zaraz powiem Rutanie. Twoje psie prawo w szpitalu leżeć i tam bogobojnie umierać, a nie z pyskiem do swojego kapelana. Znalazł się radca.

Podszedł Andrzej:

- Gdzie ty się, proboszcz, pchasz z tym łazikiem? Nawet do zakrętu nie dojdziecie, jak będziecie tak kurzyć.

- Drugi mądry się znalazł! Odczepcie się obydwaj. Jak będę wracał, to wpadnę do was na kubek.

No i pojechali...

Daleko dojechali? Do zakrętu.

Jak im w tego ich łazika przysmarowano, to kościelny mało nie umarł ze strachu, gdy swoją krew zobaczył, a dostał niewąsko. A biedny Czorny ledwie się z rowu wygramolił. Mieliśmy ogromną uciechę, że ksiądz na ładnych parę dni stracił transport, no i kościelny na drugą taką eskapadę namówić się nie da, i kto wie, czy po wylizaniu się nie zrezygnuje z tej szczytnej funkcji.

Motyka przyjął mnie bardzo serdecznie, tylko Jędrak Rutana pysk rozdarł i ledwie dał się udobruchać. Ale gorączkę mi zmierzył, i pewnie krew go zalewała, że nie miałem.

Następnego dnia perlice znowu były na tamtej stronie, więc poszedłem zobaczyć swój czołg i poznać nową załogę.

Biegiem stanęli przed czołgiem i meldowali się w myśl przyjętego regulaminu:

- Starszy pancerny Obrycki, kierowca.

- Podchorąży Szmidt, radiooperator.

- Starszy pancerny Kowalski, celowniczy.

- Pancerny Kumraus, drugi kierowca, strzelec przedni.

Przedemną stało czterech doskonale prezentujących się żołnierzy. Pięknie wyprasowane battledressy, bielusińskie pasy, baretki odznaczeń, twarde twarze pewnego siebie żołnierza. Zrobili na mnie jak najlepsze wrażenie.

Przywitaliśmy się jak starzy znajomi. Wszedłem na czołg i do wieży. Uderzyło mnie, że w czołgu wszystko jest tak jak ze starą załogą: i moje trzy lornetki na haku, i puszka z papierosami, i dwie tabliczki czekolady. Na radiostacji nowy kombinezon i para śnieżnobiałych rękawic.

- Trzydzieści dymnych i cała prawa komora em pięćdziesiąt cztery - zameldował Kowalski.

- Jaceście do tego doszli?

- A bo Obrycki tak się szarpał, że poszliśmy do pierwszego szwadronu i tam podchorąży Kobierzycki wszystko nam objaśnił i pouczył. Cała załoga kazała pana porucznika pozdrowić.

Zaczynało się bardzo dobrze. Widziałem i czułem, że się ogromie podobam nowej załodze i że są ze mnie zadowoleni. Ale tu nastąpiło nieoczekiwane. Odchodzącego, dogonił mnie Obrycki.

- Panie poruczniku!

- Co jest?

- Panie poruczniku, ja chciałem tak trochę porozmawiać o tym, jak to niby jest z tym naszym czołgiem i załogą. Czołg - nie narzekam, choć czasem pysny jak zimno, ale tak, to chodzi jak złoto. A z tą załogą - to nie bardzo po mojej myśli, i chyba pan teraz zrobi jakiś porządek.

- Jak to?

- Ano, bo to ja jestem Obrycki z Obrytek, panie poruczniku, jak się należy. O panu poruczniku to i tak wszyscy wiedzą, że pan, i szkoda gadać. Kowalski - dobry celowniczy, trochę chimerny, ale swój człowiek, choć za dużo z pyskiem. A ten podchorąży to sam nie wiem, co za cholera. Żołnierz to on jest dobry, ale tak trochę patrzy mi z Niemców, albo może i jewrei. U nas w Pułtusku to czterech ich Szmidów było, choć kupce rzetelne, ale Żydy. Więc jak dotąd, to ino patrzę i nic nie mówię. Ino ten Kumraus!

Ścierpieć swołcia nie mogę. Niemiec to prawdziwy i cham zakuty, cały czołg mi zasmrodził. Słysząc cholere tak, jak te bunkry pod Piedimonte. Niemiec, mówię, panie poruczniku, i hardy. Złość mi tylko robi, bo ino przechwała się, że gdyby temu jego Rommelowi benzynę podwieźli, to byłiby nas do Ruska przegonili. Cierpię go tylko, bo do czołga ogromnie sposobny i chybimy. Ale żadnego poważania dla człowieka nie ma, i chyba teraz pan tu zrobi swój układ. Ale mówię, że swołcia dłużej nie ścierpię. Cham to jest, panie poruczniku. Cham, mówię, i do nas obu do czołga nie pasuje.

Bałem się parsknąć śmiechem. Bo tenże Obrycki z Obrytek mówił na serio i z ogromnie poważną twarzą, więc nie chciałem go niepotrzebnie urazić. Był pewno starszy ode mnie i na pewno najstarszy wiekiem kierowca czołgu w pułku. Nosił się z niesłychaną godnością. A Virtuti i dwa Walecznych również mówiły za siebie. Ale cholera tak śmieszna i tak pocieszna, że ledwie wytrzymałem.

- No tak, szanowny panie Obrycki, musimy tę sprawę dokładnie rozważyć, a później coś obaj postanowimy.

Dusiłem się od śmiechu i szedłem do wozu dowodzenia, żeby zobaczyć się z Andrzejem, ale tam czekała już na mnie nowa niespodzianka.

- Podchorąży Szmidt do pana porucznika.

Słucham, panie podchorąży.

Szmidt, elegancki, ładnie się prezentujący, nie więcej jak dziewiętnaście lat, o inteligentnej, przyjemnej twarzy, z pewnym zażenowaniem zaczął:

- Panie poruczniku, nie chciałbym, żeby mnie pan źle zrozumiał, ale zmuszony jestem prosić pana porucznika o przeniesienie. Przez tego Obryckiego życie w naszym czołgu stało się nie do zniesienia. Ciemny, zakuty cham ze wsi. Dobrze, że czytać i pisać umie. Gdy się dowiedział, że pan przychodzi na dowódcę, zupełnie mu się w głowie przewróciło. Szlachcic z Obrytek się zrobił, nosa do góry zadziera i zaczął terroryzować nas wszystkich. Kowalski spryciarz, to mu basuje. A co ten Kumraus wycierpi! Ale szczęśliwie nic sobie z tego nie robi, to doskonały żołnierz i pewnie lepszy kierowca od Obryckiego, a ten mu jeszcze dogaduje. Więc teraz przyczepił się do mnie. Moje nazwisko nie daje mu spokoju. Raz pyta, czy przypadkiem mój ojciec nie był Niemcem, a jak nie ojciec, to może dziadek. A drugie i prawie stałe pytanie, to czy przypadkiem nie mam wujka w Pułtusku, bo on tam zna jakichś czterech Żydów Szmidtów. Ale to głupstwo i dałbym sobie z tym radę, tylko dzisiaj już przeholował. Kazał nam wszystkim nogi myć co rano, bo mówił, że w czołgu śmierdzi, i on za to jest przed panem odpowiedzialny. Mało tego, kazał nam, to jest mnie i Kumrausowi - bo Kowalski jak zwykle się ulotnił - buty zdjąć, żeby sprawdzić, czyśmy jego zarządzenie wykonali. Musiało siłą rzeczy dojść do awantury. Ja jestem kapralem podchorążym i załoga załogą, ale nie będę ulegał terrorowi ciemnego żłoba. Kumraus dla świętego spokoju buty zdjął, ale ja - mimo że Obrycki twierdzi, że pan go mianował w czołgu swoim zastępcą - nie mogłem. Bardzo się ucieszyłem, że pan przychodzi na naszego dowódcę, ale w takiej atmosferze niepodobna wytrzymać. A co za przemówienie nam wygłosił, zanim pan przyszedł! Jak pan pozwoli, to powtórzę.

Widząc mnie duszącego się od śmiechu, Szmidt zmienił zupełnie powagę początkowego wystąpienia i zaczął w cudowny sposób naśladować głos i mimikę Obryckiego:

- „To ja wam teraz mówię, że to tak ma być. Pana dostajemy na dowódcę czołga, rozumiano? Pana z panów, a nie żadnego łachmytę, dziada gołodupca. I prawo musi być. I ja wam to mówię, Obrycki z Obrytek. Tu nie ma żadnych podchorążych i innych stroi. A ty, Kumraus, ja na ciebie specjalne oko mam. Czołg tym niemieckim smrodem zapowietrzyłeś, że mi wstyd ino pana Tymienieckiego. I jedno jeszcze słowo mrukniesz o tym zasranym swoim Rommelu, to łeb rozbiję, jak Obrycki jestem. A jak który nie zrozumiał, to mu zaraz to wyślę. I ty, Kowalski, się głupio nie uśmiechaj, bo ci się zaraz ja uśmiechnę. Na dzisiaj dosyć. I żeby mi wszystko było jak należy”.

Ja płakałem ze śmiechu. Co za fantastyczny typ! Zupełnie jak z powieści Lama czy Rodziewiczówny. Gdzie się taki uchowal?

Szmidt bardzo mi się podobał i po przyjemnej, wesołej rozmowie rozstaliśmy się jak dobrzy przyjaciele.

No, ale ten Obrycki, to przecież чудо! Nie będzie mi się nudzić w czołgu.

Przed wieczorem perlice przeszły na naszą stronę, więc trzeba uważać, żeby w razie czego swoich myśliwych nie postrzelać.

Zielono się zrobiło zupełnie i za parę dni szła Wielkanoc, gdy Turek Liebhardt z Krechowieckiego wyciął najlepszy chyba dowcip tej wojny.

Liebhardt, tak jak i my, stał ze swoim plutonem przy jakiejś opuszczonej farmie i nudziło mu się cholernie. Wina było do diabła, ale Turek wina nie lubił, bo - jak mówił - przy każdym krzaku nogę musi podnosić i w brzuchu mu burczy. Chwalił się, że ze wszystkich win jedynie koniak mu odpowiada.

Racja miesięczna whisky starczała mu na jedno popołudnie, a że był gościnny i lubił wystawnie podjąć odwiedzających, więc wpadł na pomysł własnej fabrykacji. Razem ze swoimi chłopakami zmajstrował jakiś kociołek na wino i buzowano pod nim ogień, odprowadzając parę gumową rurką do starej chłodnicy samochodowej. Kapała z niej kroplami brązowa ciecz

O ogromnej mocy alkoholu, tak że nawet najtęższe mołojce z Krechowieckiego przyznawały, że jak... dynamit.

Ale gdzie ogień, tam i dym.

Przyglądali się Niemcy parę dni tej dymnej aktywności z komina rodzimej wytwórni. Aż pewnego dnia przypalantowali mu serię, która nie tylko rozbiła w drzazgi całą wytwórnię, ale jeszcze poturbowała gorzelników. Sam Turek ledwie ze zdrowiem uszedł.

Na drugi dzień rano oficer ze Sztabu korpusu zbierał z odcinka ostatnie wiadomości, przygotowując poranny „melsyt”, jakiś majorek świeżo po ukończonej Wyższej Szkole Wojennej w Londynie. Podjechał do Liebhardta.

- No, jak tam dzisiaj było w nocy na odcinku?

- Ano, gorzelnię mi zniszczyli, psiakrew.

- Co, gorzelnię?

Major nie czekał dalszych wyjaśnień. Nareszcie ma coś. Nareszcie przywiezie wiadomość. Nareszcie będzie się mógł wykazać. Skoczył na łazika i odjechał.

Na drugi dzień zaroilo się na odcinku. Trzy samochody z Caserty⁵⁶. Same czerwone otoki wielkiego sztabu. Mieli dokładnie określone współrzędne, więc prosto do Liebhardta:

- Where is this refinery?

Turek w mig się spostrzegł, a że ma język dobrze powieszony, dowcipnie i złośliwie wyjaśnił im, ze swoimi komentarzami, całą sprawę.

⁵⁶ Miejsce postoju sztabu 8 armii.

Anglicy nawet w poważnych sytuacjach mają duże poczucie humoru, i wielkie pułkownicy ściskają rękę Turka, winszując mu świetnego kawału.

I co się okazało?

Otóż ten „smorgończyk”⁵⁷ zawiózł do sztabu wiadomość o rozbiciu gorzelni. Ale jak to podać Anglikom? Tylko gorzelni? Trzeba jakoś zaimponować^ poważniej określić, nadać jakąś wagę. Znajomość angielskiego adeptach tej słynnej ze swoich wykładowców „Akademii” była wprost proporcjonalna do tego, co myśmy o nich sądzili. Zamiast już choćby „distillery” użyli określenia „refinery”.

W Casercie zagotowało się. Jak to? Pięć lat wojny! Wszystkie wywiady alianckie, ogrom włożonej wieloletniej pracy, tysiące zdjęć lotniczych, i taką ważną sprawę mogli przepuścić?

Turek zrobił się sławny. A my zacieraliśmy ręce. Mieliśmy jeden dowód więcej na poparcie naszych opinii.

Zły jestem na Bubę. Już chyba sześć listów wysłałem, i to jeszcze bardzo przemyślnym sposobem, bo razem z pocztą generała Andersa, a w zamian jakiś łachudra przywiózł mi kartkę, i to z opisem wiosny w Rzymie. Jakby tu wiosny nie było. A cholera mi do kwiatów na Janicolo! Kwiatów nie widziałem! Dziewczyna ma wiadomości z pierwszej ręki, i to na gorąco, a ja opisy wiosny dostaję.

Nie mam absolutnie nic do roboty, bo na odcinku spokój, Andrzej dowodzi szwadronem, a ja włączę się po plutonach, a po obiedzie leżąc w krzakach powtarzam sobie tabele i strzelam lornetką, by nie wyjść z wprawy i nie zwolnić szybkości oceny.

Jak tylko się zazieleniło, to i perlice zniknęły i stały się zupełnie niewidoczne w tym morzu zieloności.

Na Wielkanoc nasze chłopaki prawie powariowały. W każdym plutonie święcone. Jak nie kurak, to gęś, a Skalski się przechwalał, że ma indora. Indor okazał się co prawda bardzo wiekowym kogutem, ale przy tej ilości alkoholu to i wół by smakował pawiem. Przyjechały ich dziewczyny i naprawdę było uroczo. Niemcy nie strzelili ani razu.

A to moje dziewczę nawet mi kartki nie przysłało.

Nareszcie pękł front. Nie było nawet okazji oddania jednego strzału, zrobili to za nas inni.

Podobno teraz Niemcy usiedli na Senio i tam na nas czekają. Więc pchamy się na Senio. Znowu zejdzie dobrych parę dni na łamanie. Tutaj trochę różnorodności, bo w nocy cały front - jak okiem sięgnąć - oświetlony reflektorami. Widno jak w dzień.

⁵⁷ W Smorgoniach na Litwie istniała przed stuleciem głośna szkoła cygańska, gdzie uczono tańczyć niedźwiedzie.

Przyjechały Haneczka Jadwisiakowa z „Kwiatuszką” i swoją kantyną polową. Obie przemiłe i cały wolny czas z nimi przesiadujemy. Haneczka dla starych przyjaciół miała butelkę whisky, więc bardzo nie narzekamy.

Nareszcie! Przyszła na nas kolej.

Odprawa u dowódcy pułku trwała parę minut. Idziemy kolumną pancerną na Sillaro. Most podobno wysadzony, ale to nieważne. Nasz szwadron idzie jako oddział przedni. Skład: pluton Skalskiego, mój czołg, pluton commando na carriersach, Jabłczyński i Bohdan Doliński ze swoimi plutonami, Andrzej z resztą szwadronu. Mam podebrać kompanię piechoty 18 batalionu.

W czołgu radość, jakby im diabeł w kieszeń nasrał, i nawet Obrycki z Kumrausem w najlepszej komitywie i uprzejmie częstują się papierosami.

Boże! Po tylu miesiącach! I znowu zadymiły silniki, i znowu: „Kierowca! Naprzód!”

Droga, którą idziemy, ma tylko wgląd w przód, bo wszystkie półka uprawne są poprzerastane drzewami owocowymi tak, że widoczność nie przekracza stu metrów.

Nad nami, prawie zaczepiając nas skrzydłami, przeleciała z piekielnym hałasem eskadra Lightningów, polująca na nieprzyjacielskie czołgi i stanowiska dział. Wygląda ogromnie ofensywnie. Pierwszy raz idę pod takim parasolem lotniczym.

Zagrożenia jeszcze nie ma, bo jeszcze przed nami dobre pół kilometra penetrują patrole piechoty.

Rozkaz: zatrzymać!

Więc się stoi.

Musiał się coś pokiełbać z dowodzeniem naszemu „dywizjonerowi”. Pierwszy raz dowodzi kolumną pancerną, więc nie dziwota, że chłopak niezwyčajny. Śmiać mi się chce na samą myśl, jak on ją rozwinie do walki, gdy napotkamy opór. Gdyby tu dowodził Bobiński, to jeszcze przed zachodem słońca zobaczyłyby nas wieże Bolonii. Zresztą, czy mi to nie wszystko jedno?

Ale każde zatrzymanie może spowodować nieoczekiwane następstwa, tak jak i teraz. Z drugiego czołgu plutonu wyskoczył królik. Król był maskotką załogi i jeździł zawsze w obsadzie. Wielki stary samiec rządził się w czołgu jak u siebie w kojcu. Znudzilo go czekanie, kłapa kierowcy otwarta, skorzystał z nieuwagi i... wyprowadził się na zewnątrz. Cała wieża za nim.

Bydlę wlaźło pod czołg i wyjść nie chce. Łupie kopytami o asfalt, aż tu słychać, i bodaj się nawet rozzłościł. Czterech pod czołgiem, tylko wypięte tyłki widać. Proszą, kuszą, namawiają, a bydlę się uparło i wyjść nie chce.

Rozkaz: naprzód!

Jak ja się będę ruszał? Króla trzeba złapać, przecież go nie zostawimy.

Dla nas on ważniejszy niż całe Sillaro.

Z tyłu łązik z generałem Rakowskim. Podjechał do czołgu, wysiadł i zaniepokojony pyta wypiętego tyłkiem jednego z załogi:

- Co się tam stało?

Odpowiedź padła natychmiast:

- Nie twój zasrany interes i wytykaj, żebym do ciebie nie wylazł.

Ale mówiący obrócił się i... zobaczył generała. Jakby w niego piorun trzasnął!

- Panie generale!

A tu już drugi taszczy króla-cholere za uszy.

Generała mało apopleksja nie trafiła. Ja przezornie schowałem się w wieży. Będzie Motyka miał palaver!⁵⁸

- Naprzód!

Droga prosta jak strzełi. Odległość między czołgami trochę więcej niż pięćdziesiąt metrów. Dotychczas nikt nie strzela i chwilowo wygląda na przejazdżkę.

Na pierwszym zakręcie oficer piechoty i kilku szeregowych, wyglądających z krzaków.

- Stój!

Zeskoczyłem z czołgu.

- To pan przydzielony do nas?

- Tak jest.

- A to pięknie; po czterech włączyć na czołgi i chować się za wieżami... pronto!

- Ja na czołgi nie pozwolę wchodzić moim ludziom, bo...

Podniosłem rękę... dosyć!

- Królu cygański, daję panu jedną minutę na wykonanie tego rozkazu, jasne?

Tych kilku, co za nim stało, biegiem szło do czołgów, nie czekając już na rozkaz swego dowódcy. Reszta wysypała się z krzaków i nawet ochoczo, z gwarem, gramoliła się na wieże. Porucznik, prawdopodobnie niechętnie nastawiony do czołgów, teraz jeszcze przynaglał do pośpiechu tę swoją rebiatę.

Za pierwszym zakrętem straciłem z oczu pierwsze trzy czołgi, doleciał mnie tylko gorączkowy terkot karabinów maszynowych. Rzeka Sillaro była z lewej strony i nie dalej jak osiemset metrów.

- „Adam” trzy... słucham!

- W lewo, kierunek... godzina... dwunasta.

- Trzy w przód!

⁵⁸ Duże gadanie.

- Linia wozów.

- Wykonać!

Na miejscu, z drogi, plutony skręciły w lewo. Piechota zeskoczyła z czołgów i rozsypała się po krzakach. Idziemy przez przerośnięte liniami drzewek półkola. Kontakt wzrokowy między czołgami zły. Nie ma czasu na żadne namysły, my nie nowicjusze. Trafiliśmy na opór, to i z miejsca rozwijamy się do natarcia, prawidłowo, by the book.

Kończą się krzaki z lewej i otwiera się dosyć szerokie pole widzenia. Droga, z której zesliśmy, skręca prostopadle do widocznych o paręset metrów gruzów wysadzonego mostu.

Przeszedłem na gazie na prawe skrzydło prawego plutonu. Ale Doliński, idący na lewej stronie, dochodził już do koryta rzeki.

Huk eksplozji - i dym zasłonił mi go zupełnie. Czyżby zaminowane?

Druga eksplozja - carriers z commando... wyleciał!

Weszliśmy na pole minowe.

- Stój!

Jeszcze w mikrofonie nie przebrzmiała komenda, a już targnęto lufami dział. Na zupełnie dobrze widocznych z tej odległości okopach po drugiej stronie rzeki wykwitły szare wybuchy dymu, a po minucie cały odcinek przymostowy był literalnie pokryty jakby zasłoną, za którą iskrzyły się tylko eksplozje naszych pocisków.

Żał mi trochę Bohdana. Ładny chłopaczek, na którego ułożeniu tak bardzo znać rękę matki. Dostał dobrze pod Loreto, ledwie się wylizał, a teraz znowu wyleciał na minie. Już widzę, jak będzie narzekał na pecha. Gdyby nie był taki zuchwały, to i nie miałby tego pecha.

Musiało go niewąsko postraszyć. Ale w nocy dostał nowy czołg, i na jutro będzie O.K.!

Doliński wyleciał, ale jego dwa czołgi już weszły w koryto rzeki i Picheta wszedł przy samym moście.

Kanonada jak diabli, bo Andrzej wprowadził resztę szwadronu do walki. I na tamtą stronę idzie pocisk za pociskiem, aż chmura dymu zaczęła dochodzić do rzeki.

Rozkaz Gromadzkiego: rozpoznać pola minowe.

Wyskoczyłem z czołgu, za mną chciał wyskoczyć Kumraus.

- Stój, psiakrew!

Jeden wystarczy. Szedłem sobie spokojnie przez to półko już dobrze pod-rostych kartofli, patrzyłem pod nogi, ale zdawałem sobie sprawę, że na czołgowej minie nie wylecę, a jeśli są ludzkie, to przecież i tak ktoś musi przejść. Szedłem prosto na most, a ponieważ szedłem ukosem do linii czołgów, przerwano ogień, bo byłem w ich polu rażenia.

Doszedłem do wywalonych bloków betonu. W korycie rzeki załogi, nie zwracając uwagi na właściwie śmiertelne niebezpieczeństwo, wyskoczyły z czołgów. Wody prawie nie było, ale za to ruchome dno, tak zwana kurzawka - czołgi ulgnęły i ani kroku naprzód, ani w tył. Chłopcy znosili pod gąsienice bloki gruzu, kłody drzewa, gałęzie.

Usiadłem wygodnie na ukośnym kawale betonu i zapaliłem papierosa. Dymy po tamtej stronie ogrodów zaczęły opadać i po chwili, nie dalej jak pięćdziesiąt metrów ode mnie, wyjrzały z okopu dwa hełmy. Trochę dalej znowu pokazał się jeden, i znowu dwa. Zaczęliśmy się sobie przyglądać. Mieli mnie jak gołębia na dachu. I bawiło mnie, co oni sobie mogą pomyśleć na widok tego nieprzyjaciela w białych rękawicach, z kijkiem, palącego spokojnie papierosa. Obaw nie miałem żadnych. Po tamtej stronie były wyborowe oddziały dywizji spadochronowej. Taki żołnierz do bezbronnych nie strzela.

Nie strzelił nikt. Wstałem i zacząłem iść wolno brzegiem rzeki, wzdłuż ich okopów.

Obrycki nerwowo nie wytrzymał i runął moim czołgiem na pole minowe. Szedł ze strasznym rykiem silnika, a ja tylko czekałem, kiedy zobaczę wybuch czarnego dymu. Już ja się z nim rozliczę! Niech tylko spróbuje wylecieć. Szlachcic z Obrytek, psiakrew!

I taka cholera ma szczęście - przeszedł. Z wyciem i zgrzytem gąsienic zatoczył łuk na szosie i szedł na całej prędkości prosto na mnie. Ledwie uskokczyłem. Zasłonił mnie czołgiem od nieprzyjaciela.

Podchorąży Szmidt podczas mojej nieobecności zażądał przysłania czołgów faszynowych. Z niego to będzie dowódca.

Piechota już była na drugiej stronie rzeki. Śladami gąsienic Obryckiego szedł cały szwadron. Już prawie o zmroku przeszliśmy na drugą stronę.

Bitwa o rzekę Sillaro była skończona.

*

A teraz znowu naprzód.

Na drugi dzień przeszły przez nas tamte dwa szwadrony i teraz wlecemy się na tyle. Właściwie nie ma nic do roboty, kto inny się bije, a my zaczynamy się opalać. Udało mi się wysłać Ust do mojej Bubusi, dostanie wieczorem, a jest o czym pisać, bo nareszcie trochę ruchu i nowych wrażeń, i różności.

Niemcy podobno ogromny opór stawili na rzece Gaiana i podciągają teraz cały korpus na forsowanie. Zrobiono z nas dwie grupy: grupą „Rak” dowodzi nasz Stary, Rakowski, i ma nasze dwa pułki pancerne; grupą „Rud” dowodzi generał Rudnicki i ma u siebie pułk Krechowicki. Ogromne nadzieje pokładamy w tej grupie. Idzie z nimi Turek Liebhardt, krechowicki Tuhaj-bej. Stawiamy silnie na Turka.

Cztery dni przebyczyliśmy w tych krzakach, a Niemcy trzymają. Prawda, że mają tam swoje najlepsze oddziały samych weteranów tej wojny, ale nie mają lotnictwa i nic się nie mówi o żadnych formacjach pancernych.

Godzina była jedenasta i przy swoim czołgu dawałem śliczne tea-party. Był Andrzej Gromadzki, Józek Jabłczyński, Kazio Skalski, Doliński i Szmidt. Obrycki z Kumrausem pełnili świetnie rolę gospodarzy.

Omawialiśmy wesoło zajście, jakie miałem wczoraj z majorem Weissem z korpusu.

Przyleciał do nas Włoch z wielkim alarmem, że u niego w stogu słomy są schowani Niemcy. Do farmy nie było dalej jak sto kroków, więc poszliśmy razem ze Skalskim i dwoma z załogi zobaczyć.

Na nasz widok wyszło dwóch niemieckich podoficerów i starszy bardzo przyzwoicie się zameldował. Byli z panzergrenadiere, zepsuł im się samochód, który jest tam w stogu schowany, i zostali przez nas ogarnięci. W tym momencie na podwórko farmy wpadł łaźnik i wyskoczył z niego major Weiss.

- Co to za ludzie?

- Jeńcy, panie majorze, zostali na tyłach, a teraz się poddali - odpowiedział Skalski.

- Rozstrzelać natychmiast!

- My jeńców nie rozstrzelujemy, panie majorze. My jesteśmy wojskiem, a nie rzeźnikami.

Zauważyłem, że Skalskiemu drżą usta i patrzy na Weissa jakby sprężony do skoku.

- Ja daję rozkaz!

- Spokojnie...

Podszedłem do Weissa blisko, bliźniutko, twarzą w twarz:

- Panie majorze, spotykamy się po raz drugi. Tam w Piedimonte też pan mi kazał rozstrzeliwać. Pamięta pan odpowiedź? Teraz widzę, że mnie pan poznaje. Zabrał pan wtenczas tych trzech spadochroniarzy i zawiózł do dowództwa, żeby się pochwalił jeńcami. Za to „bohaterstwo” dano panu Virtuti. Ale tu ja jestem dowódcą i taki rozkaz może pan wydać swojej ciotce. A teraz niech mi się pan dobrze przyjrzy, bo jeszcze tylko jedno słowo, a więcej już pan mnie nie zobaczy. I ani mru-mru, compris? - Pokazałem ręką na łaźnika: - Żegnam pana.

Z miejsca o zajściu zameldowałem Motyce. Obiecał mi, że generał zajmie się tym Weissem.

Bawiliśmy się świetnie omawiając ten incydent, gdy przyleciał goniec i wezwał ranie do dowódcy pułku. Co on? Stęsknił się za mną czy co? Nawet herbaty wypić spokojnie nie można.

Tu czekała mnie niespodzianka na wyrost.

Wyznaczony jesteś na dowódcę grupy wydzielonej korpusu. W tej chwili rozmawiałem z generałem Rakowskim. Dostajesz nasze dwa plutony ze sto pięć i dwa takie same z czwartego pułku. Idziesz z kompanią commando na forsowanie rzeki Gaiana. Zgłoś się natychmiast do brygady piechoty, tam dostaniesz szczegółowe dane odcinka.

Panie pułkowniku, to wygląda trochę na dowcip. Jak to, ja, porucznik rezerwy, na dowódcę grupy wydzielonej? Rozumiem, jakiś wielki oficer sztabowy, którego nie ma za co odznaczyć albo awansować, ale ja?

Co ty się tym przejmujesz? W wodze wielkie popadniesz, może generała z ciebie chcą zrobić? A mówiąc na serio, to sam rozumiesz, że jest to pewne wyróżnienie twoich wiadomości. To nie jest łatwe zadanie i tam trzeba trochę takiego - jak ty sam mówisz - „rabina” od armat. Więc raczej bądź zadowolony. Jak chcesz nazwać tę swoją grupę?

- Markiza, panie pułkowniku.

Jechałem dingo⁵⁹ do dowództwa brygady piechoty. Zadanie ogromnie mi pochlebiało i zacząłem sobie obiecywać, że zrobię wielki pokaz. No i będzie się czym przed Bubą pochwalić. Muszę znaleźć w nocy choć chwilę czasu, żeby do niej napisać.

W brygadzie skierowano mnie do dowództwa trzynastego batalionu. Tam major, którego dobrze znałem z widzenia, dał mi bardzo dokładne dane całego odcinka, ale poradził, żeby po pierwsze zasięgnąć języka od Karpackich Ułanów o ostatnich rozpoznaniach nieprzyjaciela, a po wtóre nawiązać łączność z jego drugą kompanią, która ten odcinek obsadza, i najlepiej, jak rozpoznam teren wzrokowo.

Jechałem teraz do Karpackiego i cieszyłem się na spotkanie koleżków, obiecując sobie, że na żaden, nawet strzeмиenny drink nie dam się namówić. Po dokładnym zapoznaniu się z zadaniem już powoli zarysowywał mi się w mózgu sposób jego wykonania. Zależy najwięcej od samego commando. Jeżeli oni na to pójdą, to wydaje mi się, że złamiemy opór jednym zamachem.

Sama walka mnie nie brała i nie odczuwałem żadnych wzruszeń wewnętrznego zadowolenia. Według dotychczas otrzymanych informacji były to tylko oddziały spadochronowe, bez czołgów i bez lotnictwa. Co prawda dobrze okopane, ale zdane tylko na siebie. To nie będzie walka, to będzie łamanie słabszego. Odpada uczucie współzawodnictwa, zostaje tylko wykonanie zadania. To nie jest mój piece of cake. Wykonać, to ja wiem, że wykonam, ale nie będzie się czym chwalić.

W Karpackim Wierzbowski odesłał mnie do Stasia Holby, który właśnie wrócił z patrolu. Ledwie tym swoim dingo przepравиłem się na przetaj przez winnice.

I tych parę batalionów trzyma na sobie nasze trzy dywizje, brygadę Gurków i dwie brygady nowozelandzkie już prawie od tygodnia. Niełatwe będzie to forsowanie z takim przeciwnikiem; mnie i moim czołgom nic nie grozi, ale commando może mieć duże straty.

W wozie dowodzenia siedział na jakimś zagrabionym fotelu ze złożonymi poręczami Staś Holba, w szlafroku. Jeden z żołnierzy z namaszczeniem golił go, drugi robił mu manicure. Ucieszył się na mój widok.

- Co jest?

- Co ma być, Stasiu? Idę na wojnę, musisz mi dać trochę news.

- To shoot, bo za dwadzieścia minut wracam na odcinek.

Podał manicurzyście drugą rękę, a wolną zaczął mi dawać objaśnienia na mapie.

- Whisky?

⁵⁹ Najmniejszy odkryty samochód opancerzony.

- Nie, dziękuję.

To salaam.⁶⁰

- Aitła!⁶¹

Plan dojrzał. Zatrzymałem się w krzakach, żeby już dokładnie opracować całość działania.

Dwa plutony sto pięć z Czwartego ustawię na tej dróżce i one skierują cały ogień, naturalnie plutonami, na lewą stronę mostu, którym ma przejść cały Czwarty Pancerny.

Ja zostanę z naszymi dwoma z tej strony i muszę teraz bardzo dokładnie opracować nastawy.

Strzelać będę salwami po trzy, ze skokami o pięćdziesiąt metrów. Razem dziesięć salw. Każda z kontrolowanym celownikiem. Commando pójdzie w dym. Nawała ognia będzie szła przed nimi, między siedemdziesiąt a pięćdziesiąt metrów. Najmniejsze odchylenie może spowodować katastrofę. Nigdy bym tego nie zaryzykował ze zwykłą piechotą. Ale commando miało ustaloną reputację, a o swoich dowódców czołgów byłem spokojny.

Pozostało teraz tylko porozumieć się z kolegami z Czwartego i dowódcą zmotoryzowanej kompanii komandosów. Przed wieczorem wszystko miałem ustawione i omówione. Oficera z commando znałem jeszcze ze Szkocji, więc wszystko załatwiliśmy w dwóch słowach.

Już było szaro, jak podjechałem pod odcinek. Tu zatrzymał mnie młody podporucznik.

- Dalej niech pan nie jedzie, bo strzelają natychmiast na każdy zauważony ruch. Wczoraj przyjechał tu jakiś major z tych ułanów. Mój dowódca mu tłumaczył, że niepotrzebnie się naraża, tym bardziej że major nie miał tu nic do szukania. Był razem z młodym podporucznikiem czy podoficerem. Ale pan wie, jak major, a do tego z kawalerii, to takiemu nikt nic nie wytłumaczy. Podjechał do tych dwóch drzew, tam w przodzie. Dostał serię ze spandaua. Podporucznik, czy jak mu było, zabity na miejscu. Major uciekł. Miał szczęście, że jego nie utłukli. Jak pan sądzi, czy on za to będzie ponosić odpowiedzialność?

Incydent ten nie był mi znany i nie umiałem na ostatnie pytanie odpowiedzieć. Wyjaśniłem cel swego przybycia i uprzejmy podporucznik obiecał mi, jak tylko trochę jeszcze się ściemni, podprowadzić mnie do dróżki, na której chciałem ustawić swoje czołgi.

Zorientowaliśmy dokładnie mapy i zacząłem wyszukiwać jakiś kawałek gałązki czy kija, aby naznaczyć stanowisko mojego czołgu.

Podeszliśmy wolno krzakami i rowem. Od skrzyżowania dwóch drózek odliczyłem, jak mogłem najdokładniej, dwieście metrowych kroków i wbiłem przyniesiony kij.

W nocy zrobiłem prawie że precyzyjnie mały improwizowany stolik topograficzny; musiałem obliczyć celowniki z dokładnością do pięciu metrów. Każdy kwadrat był dwucentymetrowy i równał się stu

⁶⁰ Pozdrawiam (arab.)

⁶¹ Ja również (arab.)

metrom. Całe szczęście, że potrzebny był mi tylko jeden kilometr. Zaczynałem ogień od sześciuset metrów. Obliczyłem kwadraty.

Naturalnie, napisałem Ust do Buby, opisując jej na wesoło moją doniosłą misję. Jak tu teraz wysłać ten Ust, skoro człowiek będzie zajęty strzelaniem?

O bladym świetle zjechaliśmy się z czołgami Czwartego w oznaczonym punkcie. Grało co do minuty. Wskoczyłem z czołgu, by raz jeszcze dodać niedopowiedziane wczoraj. Zgrani byliśmy na jedną sieć. Kod „Markiza”, reszta na elear. Oni znali swoje rzemiosło nie gorzej od nas, więc ich współpracy byłem pewny, zresztą same dobre koleżki, więc ze skóry wyjdą, żeby wyszło.

- Good luck, boys!

Oni poszli prosto, my skręciliśmy w prawo. Teraz idziemy wolno; już dróżka, na której wczoraj byliśmy z porucznikiem. Idę pierwszy, by zająć wyznaczone kijem stanowisko. Cisza poranka. Jesteśmy już w zasięgu ich skutecznego ognia. Cisza. Ani jednego strzału. Jest jeszcze szaro.

Skręcam w lewo. O dwieście metrów od skrętu mój kij. Doszedłem. Lufa w prawo. Pierwszy pluton mnie przeszedł i ustawił się czterdzieści metrów czołg od czołgu. To samo zrobił następny z tyłu. Ustawiamy snop równoległy do środka, na mój czołg. Szybkie podanie kątów. W cztery minuty gotowe.

Z czołgu, pierwszego z lewej, wyskoczył zapasowy kierowca. Na linii strzału rośło drzewko. Odczepił siekierę i chciał odciąć przeszkadzające gałęzie. Padł jeden pojedynczy strzał. Chłopiec runął na miejscu, ani drgnął.

- Stój! Nie wolno wychodzić z czołgu!

Dlaczego ja nie dałem tego rozkazu przed wejściem na stanowiska? Jak mogłem tego nie przewidzieć? Jak gówniarz, nowicjusz.

Siekierę trzymał w rękach, zsunął się beret, jasna czupryna zachodziła czarną plamą krwi.

I znowu złowroga cisza.

Z tyłu za nami daleki szum silników. Przez krzaki widać podchodzące carriersy. I znowu cisza.

Idą, idą jak cienie, drużyna za drużyną, bokami dróżki, w tych swoich pończochach na głowach. Jeden dziesięć metrów od drugiego, bez słowa, jak duchy.

Mnie aż podrzuciło, gdy zobaczyłem zajmujących stanowiska. Kładli się kolejno, bez słowa, bez odwrócenia nawet głowy, bez jednego zbędnego ruchu. Co za cudowna dyscyplina! Co za wojsko!

I znowu zapadła cisza, i zupełny bezruch.

Liczyłem sekundy na zegarku. Dochodziła szósta minut pięć.

- Wszystkie stacje... „Markiza”!

- Celownik numer jeden.

- Ognia!

Huk targnął ciszą poranka. Poszła pierwsza salwa. Przed nami sześćset metrów wyrosła równa ściana czarnych wybuchów. Cztery sekundy... i nowa salwa.

Tak tym czarnym dymem wybuchów i hukiem odpałów dział moich czołgów rozpocząłem bitwę o rzekę Gaiana. Trzecia salwa. Podniosło się commando.

- Celownik numer dwa!

Poszli!... Jak oni poszli!

Takiego ataku piechoty jeszcze nie widziały moje oczy. Dlaczego taki Smrokowski mógł w dziewięć miesięcy zrobić takie wojsko, a te srakotłuki zmarnowały dwa lata. Wychowali, psiakrew!

Już dobiegali do dymu.

Szła trzecia salwa na drugim celowniku.

- Celownik numer trzy!

Wyczekałem cztery sekundy.

- Ognia!

Krzaki zarastające łączkę i drzewa na odcinku tych dwustu pięćdziesięciu metrów naszego ognia pełne czarnego dymu. Przed nami na wprost nie widać nic.

Salwa za salwą. Przerwa pół minuty i znowu co cztery sekundy salwa. Gra jak harmonia, ani jeden odpał nie spóźniony. Tam z lewej wałą tak, że cała lewa strona w czarnym dymie. Już nie widać nawet błysków wybuchów.

Pół minuty i znowu salwa.

Z prawej, z tyłu, podchodzi piechota. Z lewej wychodzą zza drzew czołgi Czwartego pułku, idą jeden za drugim, prosto na most.

Idzie dziesiąty celownik. Ale jak oni tak poszli, to warci, żeby ich jeszcze osłonić. Taki żołnierz to na wagę złota.

- „Markiza” jeden!

- W prawo szesnaście stopni.

- Więcej dziewięć.

- Po trzy!

- Fire!

W górze smuga i czerwona rakietka. To commando dawało mi znać, że przeszli rzekę.

- Wszystkie stację... „Markiza”!

- Przerwać ogień!

Czołgi Czwartego przeprawiły się przez most i szły już na drugiej stronie.

Bitwa o rzekę Gaiana była skończona.

*

Zgłosiłem się do dywizji. Generał każe stać i czekać.

- Rozkaz odebrałem, zrozumiałem, over!

A tam za rzekę przełazi cały Czwarty i dochodzi do nas tylko huk armatni i ustawiczne ujadanie karabinów maszynowych. Niewąsko się muszą bronić.

No i zaczęło się czekanie. Słońce przygrzewa coraz mocniej. Napiliśmy się wina i zaczęliśmy trochę drzemać. Kowalski był na mnie nastroszony, bo obiecywał sobie cały raj strzelania, a oddał tylko, i to przez lunetę na wprost - trzy strzały pierwszej salwy. Był niewyżyty, zły i burkliwy.

Ja z tego czołgu nie oddałem jeszcze ani jednego strzału w tej wiosennej kampanii.

Minęły dobre dwie godziny, na drugiej stronie już od dawna zrobiło się cicho, gdy przez dywizję Motyka wezwał mnie do powrotu do pułku. Przekazałem chłopcom z Czwartego.

Moja rola zakończona. Schodziłem ze sceny z uczuciem jak Kiepura schodzący ze sceny w tym Pułtusku Obryckiego.

Dowleliśmy się do pułku. W szwadronie już Andrzej czekał na mnie z obiadem. Był ogromnie zadowolony i naturalnie musiałem wszystko dokładnie kolegom opowiedzieć, z moimi uwagami i dodatkowymi komentarzami. Zepsuł mi samopoczucie Skalski, który proroczo określił mi obrazowo, co za to dostanę. Lepiej nie wspominać.

O trzeciej Andrzej prosił do swojego czołgu na herbatę, więc zaczęliśmy się schodzić, gdy znowu cholera przyniosła gońca z dywizji:

- Porucznik Tymieniecki do pana generała.

Chłopaki z miejsca zaczęły mi wieszować:

- No, awansik murowany, wypada to oblać. Ho! ho! już drugi na polu walki.

Wiedzieli, że mam w czołgu nie napoczętą butelkę, ale coś mnie tknęło.

- Dobrze, moi kochani, jak wrócę, to popijemy.

- Weź dingo, bo tam jeszcze strzelają - powiedział Andrzej. Jechałem ogromnie zadowolony z siebie, bo spodziewałem się tylko najlepszego. Dostałem kubek zimnej wody na głowę.

Może z dwieście metrów za rzeką, koło czerwonych budynków, stało kilka czołgów. Podjechaliśmy. Wskoczyłem. Naprzeciw mnie wyszedł pułkownik Monwid-Olechnowicz, zastępca dowódcy dywizji. Wziął mnie za ramię i odprowadził na bok.

Panie poruczniku, niech pan się dobrze przyjrzy. Tu wszyscy potracili głowy. Od godziny nie ma decyzji. Czwartemu spalono jeden czołg z offenrohra i utknął. Dlaczego utknął, nie wiadomo. Generał posłał po pana, a później odwołał. Niech pan do niego nie idzie. Ja panu dam zadanie. Wejdzie pan szwadronem na lewą stronę Czwartego i niech pan idzie na Idice. Przejdzie pan Idice i droga prosta na Bolonię.

- Panie pułkowniku, ja nie jestem dowódcą szwadronu. Szwadronem dowodzi rotmistrz Gromadzki.

- Dobrze, to proszę mu powtórzyć zadanie.

- Rozkaz, panie pułkowniku, ale czy może mi pan określić miejsca szwadronów Czwartego pułku?

- O, tam stoi czołg dowódcy pułku. Jak pan widzi, dowodzi pułkiem z punktu dowodzenia dowódcy dywizji. On da panu wyczerpujące wskazówki.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Było tajemnicą poliszynela, że w dowództwie dywizji jeden pułkownik Monwid-Olechnowicz wiedział, co to jest dywizja pancerna i jak jej należy używać.

Rozkaz był logiczny, jasny i prosty do wykonania. Rozkaz, jaki by w tych okolicznościach wydał Motyka jednemu ze swoich szwadronów.

Podszedłem do czołgu dowódcy Czwartego pułku. Pułkownik Dudziński był u nas w pułku bardzo popularny i bardzo lubiany. Odwiedzał nas często, znał wszystkich, i Motyka bardzo cenił sobie jego przyjaźń do naszego pułku. Przywitaliśmy się jak zawsze z uśmiechem.

- Panie pułkowniku, czy może mi pan określić na mapie odcinki szwadronów pańskiego pułku?

- Wiesz co? Idź do tamtego czołgu, tam Sokołowski da ci wszystkie potrzebne dane.

Wgramoliłem się na czołg zastępcy dowódcy Czwartego, majora Sokołowskiego. Major Sokołowski jadł kawałek białej bułki z prochuto.

- Panie majorze, z rozkazu dowódcy pułku proszę o wskazanie mi miejsc waszych trzech szwadronów.

Podsunąłem mapnik.

- Tu jest miejsce, gdzie stoimy - major Sokołowski palcem zakreślił mi na mapie kółko. - O, mniej więcej tam.

Mnie już to wystarczyło. Zakreślone kółko obejmowało szesnaście kilometrów kwadratowych. Każde następne pytanie było zbędne.

- Dziękuję panu majorowi.

Skoczyłem na dingo. Jedziemy prosto na kierunek niewidocznego przez zadrzewienie Czwartego pułku. Pół kilometra w lewo idzie miętka droga między winnicami.

- Na miejscu w lewo, i gaz!

Ujechaliśmy prawie kilometr. Nie strzelił nikt.

- Stój!

Czwarty Pancerny mam na prawo w tył. Na prawo w przód, o dobre trzysta metrów, palą się duże zabudowania. Trochę w lewo luka między zadrzewieniami. Tamtędy pójdziemy.

Wywołałem dowódcę szwadronu. Powtórzyłem otrzymany rozkaz i zadanie. Podałem współrzędne na dojście szwadronu.

Andrzej potwierdził odbiór i zakończył jednym słowem:

- Wychodzę.

Odesłałem dingo na kierownika ruchu pierwszego idącego plutonu. Ma stanąć w tyle na skrzyżowaniu. Ja zostałem sam. Była godzina czwarta trzydzieści trzy.

Przez chwilę skupiłem uwagę na płomieniach pożaru. Przerażająco wyglądały te ogromne płomienie i czarne chmury dymu. Z prawej z tyłu dolatywały czasem sporadyczne serie ognia maszynowego. Przede mną cisza. Byłem zły, bo wydawało mi się, że coś mi powiedzą przyjemnego, podziękują, pochwalą. Może by się coś zaportkowało. A tu wpakowano mnie w robotę. Co za, jasna cholera, pech mnie prześladowuje. Nawet herbaty spokojnie nie można wypić. Mają całą dywizję. Z tyłu stoi Czwarty, doskonały pułk. Czego oni czepiają się tego trzeciego szwadronu? Co to my magiki? Cudotwórcy? Gala-gala man?⁶²

Z tyłu, dobre dwieście metrów, zatrzymały się trzy carriersy. Do mnie szedł Henio Jedwab z commando. Był dowódcą plutonu i został przydzielony do naszego ruchu. Jedwab był jednym z najbardziej znanych oficerów 2 korpusu. Szła za nim pewnego rodzaju sława jeszcze z Dziesiątego Międzynarodowego. I robiło mu to pewnego rodzaju popularność. Wszyscy mieli do niego słabość. Zналиśmy się jeszcze ze Szkocji.

Nareszcie idą czołgi. Czołowy pluton prowadzi Bohdan Doliński, za nim idzie Jabłczyński ze swoim, Skalski i widać już na zakręcie Andrzeja z resztą szwadronu.

Pokazałem ręką na kierunek. Bohdan poszedł, rozwinął się w linię wozów i stanął. Na jego prawą wchodzi Jabłczyński.

Zawyło w powietrzu. Pocisk nebelwerfera przeszedł nad nami i wybuchł z piekielnym hukiem daleko z tyłu. Chwila - i idzie drugi. Ten już wybuchł dużo bliżej. Skalski właśnie mnie przeszedł, gdy szedł trzeci. Wygląda coś za blisko. Odruchowo rzuciłem się w płytki rowek winnicy. Huku już nie słyszałem. Czerwono w oczach, coś wycisnęło mi płuca w środku.

⁶² Gala-gala man - egipski sztukmistrz.

Dwóch ludzi trzymało mnie pod rękę, rzygałem krwią. Po chwili przyszedłem do siebie i starałem się uśmiechnąć. Podano mi kubek wina. Zamroczenie przeszło, tylko dostałem czkawki z krwią.

Podjechał jak wariat Świtalski na Stuarcie. Tych kilku w rozpoznawczym u Faszczewskiego jeździ rzeczywiście jak wariaty. Jak oni się dotychczas uchowali? Przecież ten Wojtczak i Natali to już prawie chodzą na rękach. Wyścigi sobie urządzają na wojnie.

- Świtalski!

- Tak jest, panie poruczniku.

- Z lewej strony pożaru luka między drzewami, kierunek! Dojść do Idice. Przejść. Zbadać przeprawę. Skręcić w prawo na Budrio. Dojść do głównej drogi i powrót natychmiast.

Stuart aż się zakotłosał, z wyciem silnika rzuciło go naprzód. Poszli, jakby się paliło. Andrzej wyskoczył z czołgu:

- Co ci się stało? Czy jesteś ranny?

- Nie, nic mi chwilowo nie jest. Daj, zapalimy papierosa. Zdam ci relację, mamy dużo czasu. Andrzej kochany, mamy dużo czasu na decyzję, bardzo dużo czasu. Pozwól, że pogadamy.

Czułem się źle. Czułem, że jestem chory, bardzo chory. Tak dziwnie jasno przychodziło mi myślenie. Czułem, że ze mną jest źle.

Spokojnie powtórzyłem mu wszystko. Zorientowaliśmy mapy, Andrzej wyznaczył dwa prawdopodobne kierunki naszego ruchu. Szwadron stał trzema w przód gotowy.

Minęło może dwadzieścia minut. Była godzina piąta czterdzieści. Wraca Świtalski. Idzie jak burza na przełaj. Stanął przed nami, aż Stuarta podniosło do góry.

- Panie rotmistrzu, melduję! Przeszedłem przez Idice. Skręciłem na Budrio. Doszedłem do pierwszych domów i, tak jak rozkaz, wróciłem tą samą drogą. Idice, trochę wody, ale piaszczysty, twardy rozlew. Oporu nie napotkałem.

Andrzej zaczął wypytywać się o szczegóły, a ja odszedłem na bok.

W środku paliło mnie jeszcze jak ogniem. Bolały ramiona. Zmęczenie, pewne rozczarowanie i zawód, niepotrzebna śmierć tego chłopca dziś rano przypomniały mi o naszej tragicznej sytuacji.

Po co ja mam się znowu pchać? Komu ta Bolonia potrzebna? Mówi się, że droga wolna. Ale zawsze może się znaleźć jeden, co naciśnie na spust, jak ci tam z tyłu. I co? Znowu jedno życie ludzkie, dla brawury, dla wykazania się. Dosyć! Count me out.

Podszedł Andrzej:

- No co, Bohdan, idziemy?

- Nie, Andrzejku, ja nie idę, bo iść nie mogę. To nie jest żadna odmowa rozkazu, nie, ale ja jestem ciężko kontuzjowany, jestem chory. Mnie już na nic nie stać. Nie stać mnie na mord z premedytacją. Bo strata w tej chwili jednego życia jest... mordem. Tak jak ten dziś rano.

Na co nam ta cała Bolonia, gdy mamy czerwone flagi nad Warszawą. Idzie już wieczór. Niedługo zacznie się ściemniać. Droga jakoby wolna, ale może tylko dla jednego Stuarta. Czy pamiętasz z dawnych lat: „Uciekający Part siał jeszcze strzały za siebie”. Tam wystarczy jedna panthera w opóźnieniu i zrobi nam ze szwadronu masakrę.

Andrzej pokiwał tylko głową:

- Na co nam tyle słów? Jasne! Dobrze się rozumiemy. Ostatnia twoja uwaga jest decydująca. Szwadron zostaje na noc. Proszę cię, podaj do dywizji.

- Rozkaz, panie rotmistrzu! Wywołałem pułkownika Olechnowicza:

- Melduję, że rozpoznano do Idice. Możliwy opór przeciwpancerny. Ze względu na zbliżający się zmrok dowódca zatrzymał szwadron na podstawie wyścigowej. Over!

Znowu dostałem krwotoku. Pocisk nebelwerfera razi tylko potwornym ciśnieniem powietrza. Na carriersach z tyłu od tego wybuchu zmiażdżyło dwóch komandosów.

Powlokłem się do swojego czołgu, żeby się umyć i zmienić pokrzwawiony kombinezon. Paliło mnie w środku, z trudnością mogłem oddychać. Natychmiast dano mi kubek gorącej kawy, który zaczął powoli stawiać mnie na nogi. Poczułem się znacznie lepiej.

Z tyłu za nami, w zadrzewieniach koło samej Gaiany, aż zanosilo się od trzasku karabinów maszynowych i kanonada przybierała na sile, rozprzestrzeniając się wzdłuż rzeki. To spadochroniarze, których przeszliśmy, uderzyli, chcąc prawdopodobnie przebić się na nasze tyły. Zaostrzyło to uwagę wszystkich i obserwowaliśmy, jak w oddali podjeżdżały w pędzie carriersy, z których jak koty skakali i biegiem wchodzili do walki, niknąc w krzakach, ci wspaniali chłopcy z commando.

Trwało to dobre dwadzieścia minut i zaczęło się powoli uspokajać. Jeszcze jedna czy dwie krótkie serie pistoletu maszynowego - i wszystko ucichło.

Przyszedł Henio Jedwab. Nudziło mu się. Ominęła go walka tam z tyłu i miał ochotę rozpoznać z przodu te jakoby krzaki nad Idice.

- Jedź pan.

Andrzej wiedział, że w nocy jedyne niebezpieczeństwo może nam zagrażać od grup przenikających z tyłu tego świetnego i tak zdeterminowanego żołnierza. Ustawiał szwadron na noc w gwiazdę. Mieliśmy co prawda do osłony Jedwabia z jego plutonem, ale w tej chwili niosło go na Idice, aż wyły silniki carriersów.

Wgramoliłem się do czołgu i po namyśle zacząłem pisać list do Buby. Szła kartka za kartką. Skończyłem i zacząłem pisać znowu.

Miałem za radiostacją całą butelkę whisky. Nie przepadam za whisky i piję tylko ot tak, bez entuzjazmu. Ale teraz musiałem, czułem wprost żądzę napicia się. Trzy dobre łyki, no i jeszcze jeden.

Zacząłem trochę trzeźwieć. To ma być list do dziewczyny? Chyba upadłem na głowę. Cóż, do cholery, może kogoś obchodzić, że ktoś stracił równowagę i wszystko zaczęło mu się walić? Jeszcze jeden łyk. Zacząłem pisać od początku. Musi być trochę uśmiechu. I znowu szła kartka za kartką.

Ruch się zrobił koło czołgu, bo licho znowu przyniosło Jedwabia.

- Co jest?

Na dworze było już zupełnie ciemno. Jak ten czas przeszedł.

- Kolego Tymieniecki, zapraszam pana na dinner do „Papagallo”,

- Jakie „Papagallo”?

- To pan nie słyszał? „Papagallo” w Bolonii, najlepsza restauracja w Europie.

- W Bolonii?

- Ano byłem w Bolonii. Niemcy wyszli przed wieczorem. Na mieście tłumy, że trudno się wyrwać. No co, jedziemy?

To była propozycja ze stylem. Bez względu na stan mego samopoczucia - nie do odrzucenia. Podszedł Andrzej.

- Andrzej, wiesz? Porucznik Jedwab wraca z Bolonii. Zaprosił mnie na dinner. Co myślisz, jechać?

Andrzej chwilę się namyślał.

- To jest cholernie tentująca propozycja, ale na to musisz mieć pozwolenie dane tylko przez Motykę.

- Andrzej, czy mógłbyś się go spytać?

- Ależ naturalnie, poczekajcie chwilę, zaraz wrócę.

Skoczył do łazika i w pięć minut był z powrotem.

- Nic z tego. Kategorycznie zabronił. Pułk w pełnej gotowości. Rozkaz na dzień jutrzejszy dla grupy „Rak”: Bolonia za wszelką cenę.

Cała trójka parsknęła śmiechem. Wesołość ta udzieliła się słyszającej naszą rozmowę załodze. Obrycki zaczął rozlewać wino. To był doskonały kawał - „za wszelką cenę” ... Zrobiło się wesoło.

Dziś mamy dwudziestego kwietnia - to nie prima aprilis.

Była godzina dziewięta czterdzieści.

Kolacji jeść nie mogłem; kubek kawy i wyciągnąłem się na śpiworze. Ten pożar, zamiast wygasać, rozpalał się coraz bardziej. Wiaterek zerwał się od morza i niósł z sobą górą całe płachty ognia.

Czy oni powariowali? Ni stąd, ni zowąd nasza artyleria rozpoczęła huraganowy ogień w kierunku na Bolonię. Do kogo oni strzelają? Co to za kontrofensywa? Przecież u nas spokojnie. Komuś musiało się wszystko pomieszać. A może to imieniny generała Odzierzyńskiego? Nie żałują amunicji na wiwaty.

Nie dawali usnąć, więc wstałem i poszedłem na obejście szwadronu. Część załóg spała, reszta czuwała przy karabinach maszynowych. Było ciemno, tylko ogień pożaru oświetlał przyklepione do krzaków czołgi. W końcu, za zagęstwieniem, usłyszałem przytłumione głosy. Cichutko podszedłem. To kochany

Jedwab wydawał instrukcje swoim wisielcom: „Uwaga, boys, oczy otwarte, w nocy mogą przyjść szwabcy. Ale pamiętajcie, nie strzelać. Załogi czołgów pomęczone. Nie budzić! Wszystko po cichu... nożami”.

Co za piękne maniery mają ci z Dziesiątego Międzynarodowego Commando⁶³, co za delikatność!

Wsunąłem z powrotem za kombinezon wyciągnięte parabellum.

Na drugi dzień rano grupa „Rud”, „pokonawszy silny opór nieprzyjaciela”, zajęła Bolonię. Były mowy na rynku, generalicja, wpisywanie się do ksiąg miasta i wielkie ramtaradara.

Wstać mi się nie chciało, bo - jak to mówią - bolały mnie wszystkie kości, a po śniadaniu znowu mi ta parszywa krew zaczęła cieknąć z gęby.

Przed samym południem przyjechał Andrzej, ogromnie przystojnie odziany.

- Ubieraj się, jedziemy zobaczyć tę Bolonię. Podobno najładniejsze dziewczyny Włoch. Zabierzemy naszego komandosa i zjemy dobry obiad.

Ale nasz komandos już podjeżdżał ze zgrzytem swoim powozem na gąsienicach Naturalnie, samopoczucie z miejsca uległo zmianie.

- Jedwabiu kochany, nie nadajesz się na prokonsula. Ominął cię srebrny wieniec zwycięzcy i tryumf wjazdu w mury miasta. Ale za to zechce pan przyjąć zaproszenie na skromne śniadanie w tym „Papagallo”.

Popruliśmy prosto na Bolonię.

Miasto całe zawałone świętującymi tłumami. Wojsko nasze z kwiatami za siatkami hełmów i w lufach karabinów. Na czołgach Krechowieckiego roześmiane i rozbawione dziewczyny. Gwar, hałas, tłok. Pełno wszędzie Anglików, Amerykanów, Gurków. No, te dziewczyny mają zapewnione utrzymanie na długo. Nie można przejść. Ale ot i „bohaterowie”.

Środkiem rynku paradował oddział partyzantów. Było tego około setki. Obdarte wyrostki uzbrojone od stóp do głów. Po dwa pistolety automatyczne. Przepasani taśmami naboju karabinowych. Rewolwery, sztylety, granaty i diabli wiedzą co jeszcze. Z tryumfem prowadzili dwie obszarpane i zapłakane dziewczyny z ogolonymi głowami. To miejscowe prostytutki, co darzyły swoimi względami Niemców. Trzeciej nie wzięli, bo wypadła na nich pewnie z miotłą, a ich było „tylko” stu. Brawo, bohaterowie. Jak do Niemców, to ich nie było. Przez całe Włochy nie spotkaliśmy choćby jednego przy froncie. Ale zawsze wyłazili na naszych tyłach załatwiać na bezbronnych swoje zadawnione „żale polityczne”.

Tłum się śmiał. Kilku Anglików splunęło z obrzydzeniem. Te dwie biedne, obite i zapłakane dziewczyny mają odpowiadać za cały system. Wstrętne!

Spotkaliśmy kapitana Kulę i zaprosiłem go również na śniadanie.

⁶³ Polska kompania commando miała numerację 6, w Dziesiątym Międzynarodowym Batalionie.

Dwie duże sale restauracyjne ze ścianami obwieszonymi fotografiami sławnych ludzi i dedykacjami. Dwunastu kelnerów w białych smokingach, ustawionych w rzędzie jak do przeglądu. Twarze poważne, niepewne siebie. Przecież jeszcze wczoraj usługiwali Niemcom.

Wybraliśmy stolik na samym środku sali i już krokiem baletmistrza płynął do nas il commendatore. Ukłon do samej ziemi, ręka na sercu.

- Gentlemen! I am honoured! Przerwałem:

- Ecoutez, mon ami - jesteśmy Polacy i przyszliśmy tu zjeść śniadanie, i to dobre śniadanie - vous comprenez?

- Mon commandant, czy pan pozwoli, że będę miał ten zaszczyt dobrać panom menu i odpowiednie wina?

Podano aperitify - i potoczył się obiad o wyrafinowanym układzie potraw. I pstrągi, i langustiny, i karczochy w cudownym sosie. Piersi gołębie z truflami. A baranina podana tak, że mi ze wzruszenia aż oczy zamgliło. Do tego wina z Ometto i Due de Bourgogne 1923. Obsługiwał nas sam maitre i czterech kelnerów, szybkich i cichych jak duchy. Kiedy na deser wniesiono suflet lekki jak westchnienie dziewczyny, a w kieliszkach zaszumił Gordon Rouge, byliśmy wszyscy u krańców możliwości obżarstwa.

Podano czarną kawę. Commendatore zniknął i po chwili ukazał się, z namaszczeniem niosąc pod pachą butelkę, której jedna trzecia złościła się jakimś płynem. .

- Messieurs, jesteście pierwszymi oficerami alianckimi i naszymi liberatori. Messieurs, niech mam ten zaszczyt ofiarować panom po kieliszku tego koniaku. Z tej butelki, proszę panów, pił Clemenceau, pił marszałek Pershing, pił wasz wielki Paderewski. No, naturalnie, panowie rozumieją, że pił i Mussolini.

- A czy admirał Nelson również? - zapytał trochę kpiąco Jedwab.

- Nie, mon commandant - odpowiedział z powagą commendatore - żałuję, ale z tamtej ostatni kieliszek wypił Napoleon Bonaparte.

To była wspaniała riposta. Odpowiedź godna *Uczty Trymalchiona*.

Henio Jedwab rozparł się wygodnie w fotelu. Podniósł do góry bombę pięknego szkła i patrząc pod światło na tych parę kropli złocistego płynu, zwrócił się do mnie:

- No cóż, kolego Tymieniecki, nie mówiłem? Jak dinner, to tylko w „Papagallo”.

Villa Fontana, maj 1945

DIABLI WZIĘLI PIOSENKĘ...

Cudnie tu jest nad tym morzem. Przejdę tylko przez szosę i jestem na plaży. Wczesnym rankiem wracają łodzie z połowu i zrywam się, żeby nic stracić uroczego widoku całej gamy brązowo-czerwonych kolorów sunących żagli. Mieszkam w ładnym, nowym domku pięknej farmy, który bogaty comandino oddał nam na kwatere. Zajmuję cały dom sam, a czołgi i całe bractwo rozłożyło się na plaży.

Wróciłem parę dni temu z kursu dowódców kompanii i batalionów w Benevento i objąłem szwadron. Teraz Andrzej wyjechał na ten sam kurs.

O kursie w Benevento opinię mógłby wydać tylko krytyk teatralny, bo operetka trafiała do mnie tylko melodią piosenki. A tam była operetka - tylko bez piosenki. Jedynym wykładowcą z prawdziwego zdarzenia był nasz Zdziś Zaremba. Reszta wykładowców, nie znając angielskiego, nie umiała się posługiwać ostatnimi regulaminami i... improwizowała, pobudzając nas, kilku zawodowców, do wybuchów śmiechu.

Narzekać nie mogłem, bo widywałem się z Bubą dwa razy w tygodniu, a soboty i niedziele i tak spędzałem w Rzymie. Miałem swojego Opla z kierowcą, więc mimo że się tam trochę naczałstwo krzywiło, byłem zupełnie niezależny.

Włóczyliśmy się po Rzymie, zwiedzaliśmy, co tylko dało się zwiedzić. Wieczory spędzaliśmy w małych kawiarenkach na dalekich przedmieściach. Czasem ranek we Fregene, czasem podwieczorek w Tivoli.

Oświadczyłem się w Termach Karakalli. Zachodziło słońce i pachniało akacjami.

Ślub będzie równo za dwa tygodnie. Mam jednak duże zmartwienie, bo Bubusia jest jednak ciężko chora i matka nie bardzo godziła się na to małżeństwo. Biedactwo ma odmę jednego płuca i ciągły stan podgorączkowy. Ja mam pełną wiarę, że ona musi z tego wyjść. Tak się cieszy na ten ślub w białej sukience.

Już upatrzyliśmy kościółek... cudo! St. Andrea d'Al Quirinale. To też było całe przedstawienie. Bubusia się uparła, że tylko tam i już! Co robić?

Wybraliśmy się z Pierro Tagliavia. Przyjął nas młody, elegancki, o inteligentnej twarzy jezuita.

Panowie, żałuję, to prawie niemożliwe. Tradycja, panowie rozumieją. Ten kościół jest d'Al Quirinale. Tu tylko członkowie rodów królewskich. Panowie, ja naprawdę żałuję mocno.

Przykro mi, mon frère, przyszedłem jak do swoich. Jeden z moich dziadów był generałem jezuitów. Więc myślałem, że...

- Votre grand-père? Podałem nazwisko.

- Proszę panów, w ciągu dwóch godzin zadzwonię. No, naturalnie, to wszystko zmienia postać rzeczy. Panowie chyba nie mają mi za złe.

W godzinę był telefon: kościół i wszystkie potrzebne parafernalia do naszej dyspozycji. Bubusia szalała z radości.

A u nas na Costa Adriatica aż zaroilo się od różnych wymyślnych umundurowali. Jakieś przylepione do czoła pierożki, kabaciki, amerykańskie kurtki, niemieckie spodnie, i gwiazdki, gwiazdki, gwiazdki - jak na choince. To z Niemiec ciągnęły do naszego korpusu stare oficery z Murnau, Armia Krajowa, obozy jenieckie, kobiety, dzieci, rodziny. Codziennie przychodziły całe transporty do punktów przejściowych. Obciążono nas racje żywnościowe, mundurowe, NAAFI. Musimy obdzielić wszystkich potrzebujących. Wiadomo, potrzeba i już.

Zaczęły chodzić słuchy, że będziemy uzupełniać korpus do pełnych stanów, że będzie się tworzyć nowe jednostki, ale na co nam ci oficerowie? Zabraknąć nam może podporuczników, ale mamy swoich, już doświadczonych, oficerów na obsadę czterech takich korpusów.

Rano wezwano nas na odprawę. Motyka był trochę zaaferowany. Przydzielono nam do pułku 81 oficerów, większość wysokich stopni. Trzeba rozdzielić po szwadronach, porządnie zakwaterować i wyżywić.

- Proszę was, moi drodzy, o największy wysiłek. Pamiętajcie, że ci ludzie przeszli całą wojnę w niewoli. Wielu ta niewola złamała. To są nieszczęśliwi ludzie. Ale kiedyś oni byli też młodymi. Proszę o takt.

Na drugi dzień przybyły samochody. Wyszędłem na spotkanie gości.

Wszystko było gotowe: namioty, łóżka, pościel. Mnie przydzielono 24 oficerów.

Jeden z pułkowników stanął, jakby czekał, że mu się zamelduję.

- Witam panów w trzecim szwadronie. Postaramy się, by panowie nie narzekali na gościnność.

Przedstawiłem się.

- Ach tak, dobrze - powiedział pułkownik - dziękuję.

Nie padło żadne nazwisko. Patrzyły na mnie poważne twarze, bez uśmiechu.

Byłem speszony. Tyle wysiłku zrobiliśmy. Każdy z nas oficerów dał, co tylko mógł dać swojego, żeby to jakoś lepiej wypadło.

Józek Jabłczyński popatrzył na mnie i pokiwał głową.

O pierwszej jak zwykle był obiad w pięknej willi, w której mieliśmy kasyno. Ale przed obiadem Motyka prawie zawsze musiał wyganiać nas z baru, bo tam się - zależnie od okazji - zasiadywano.

Nowo przybyli wchodzili na salę jadalną, nie zatrzymując się nawet na chwilę z nami i odmawiając zaproszenia na drinka.

Przykuśtykał Motyka, więc dawaj jednego pod dowódcę pułku, i krzyk się zrobił, bo chcieliśmy mu wmówić, że to on nam zaproponował i naturalnie musi płacić.

- Jazda na obiad!

Weszliśmy gromadą na salę i - tu wszystko zbaraniało.

Przy stole dowódcy zwykle siadaliśmy my, dowódcy szwadronów, zastępca, no i naturalnie kapelan Czorny. Ale teraz układ wyglądał inaczej. Miejsce Motyki i kapelana zostawiono, reszta były zajęta dokładnie według stopni i prawdopodobnie starszeństwa. To samo czoła dwóch pozostałych stołów.

Motyka zaczerwienił się, zawahał, ale zajął swoje miejsce. My siadaliśmy na końcu stołów. Obiad przeszedł w milczeniu.

Ale to był dopiero przedsmak tego, co nas czekało.

Dzisiaj rano Jabłczyński rugnął ostro jednego z młodych oficerów Armii Krajowej, również przydzielonych do nas, za obelżywe zwrócenie się do jednego z tych starszych oficerów.

- Panie poruczniku, pan ich nazywa wojskiem, którym oni dawno przestali być. To pawiany, to zupełnie inny gatunek - bronił się młodzieutki podporucznik. - A pan wie, dlaczego pawiany... Bo to tylko duży pysk i goła dupa. Czy pan wie, że oni już tam, w Murnau, obsadzili wszystkie stanowiska i wszystkie oddziały drugiego korpusu swoimi ludźmi? Oni nas, z Armii Krajowej, nienawidzą, bo ich przejrzelśmy.

Myśmy kpili z ich wykładów, jak się powinno było wygrać bitwę o Monte Cassino. Oni to wiedzieli dużo lepiej od was. Jeżeli pan uważa, że zrobiłem źle, to przepraszam i więcej się to nie powtórzy, ale, panowie, my was ostrzegamy. Dzisiejszy obiad przypomniał mi to małe i nieprzyjemne zajście.

Na drugi dzień rano wygrzewałem się nago na swoim tarasie, gdy wszedł jeden z tych nowo przydzielonych i do tego jeden porucznik rezerwy, Hryniewicz. Stał podstraszony na baczność i zaczął meldować ogromnie posłusznie.

- Spuść, pan, wodę i siadaj. Co za głupie żarty z tym meldowaniem się pana trzymają?

Sprawa była życiowa, prosta jak ta niedola wojny. Żona porucznika Hryniewicza była gdzieś w obozie przejściowym pod Mediolanem. Prosił o przepustkę na trzy dni. Nie widział żony od początku wojny. Miał łzy w oczach.

- A jak pan chce się tam dostać?

- Autostopem.

- Czyś pan oszalał? Pan jest przydzielony do Szóstego Pancernego, a żaden z naszych oficerów ani żołnierzy nie jeździ autostopem.

- Szefa!

- Szefie kochany: łazik, kierowca, żywność na troje, trzy dni. Rozkaz wyjazdu. Za godzinę porucznik Hryniewicz odjeżdża.

Ta cholera o mało mnie w rękę nie pocałował. Wieczorem poszliśmy z szefem na spacer:

- Wie pan co, żal mi się zrobiło tego porucznika Hryniewicza. Nie widzieli się tyle lat. To ja wynająłem ładny pokój w sąsiedztwie, niech się już więcej nie tułają. Na przyjazd zaniesiemy jej trochę kwiatków. Pan rozumie, panie poruczniku, trzeba coś i innym dać.

Tak, rozumiałem.

Minęło tak parę dni tej dziwnej atmosfery dwóch obok siebie, zupełnie odrębnych, systemów wojskowego myślenia. Nasi goście trzymali się wyraźnie osobno, unikali styczności z nami i trzymali nas na dystans swych wysokich stopni. Dziwiło nas, że ich nic nie interesują nasze czołgi, nasze poprzednie działania, nasze życie. Jedynie młody kapitan dyplomowany, Galica, zamęczał naszych podporuczników o najdrobniejsze szczegóły i zmuszał do robienia sobie całych wykładów o wszystkim, co dotyczyło broni pancernej. Ale on był wyjątkiem.

Na trzeci dzień przyszedł porucznik Hryniewicz dziękować za tak miłe przyjęcie jego żony. Ale w rozmowie w dziwny sposób się zaciął.

- Co się stało, co ma pan do powiedzenia?

- A bo, panie poruczniku, mam raport karny.

- Co pan tam narobił? Co za raport? U kogo?

- Nie spytałem się o pozwolenie wyjazdu dowódcy naszej grupy i major Sroczyński przedstawia mnie do raportu karnego.

Mnie aż podniosło:

- Co? Panie Hryniewicz, niech pan przyjmie do wiadomości i powtórzy zainteresowanym, że u mnie w szwadronie jest tylko Pan Bóg, ja i jest mój szef. Jest nas tylko trzech. Rozumie pan? Nikt nie ma prawa, raz przydzielony do mojego szwadronu, urządzać sobie jakichś dowodzeń. Tu nie ma innych dowódców. A o ile pan się ośmieli stanąć do tego błazeńskiego raportu, to za godzinę nie będzie pana w pułku. To jest... rozkaz!

Poszedłem do Motyki. Rozmowa przeciągnęła się długo. Sprawa była delikatna i niesmaczna.

Wieczorem, po kolacji, Motyka zatrzymał wszystkich przy stołach. Zamknięto drzwi.

- Proszę panów, doszło do mojej wiadomości, że panowie-goście urządzają u mnie w pułku jakieś wewnętrzne hierarchie czy dowodzenia, a nawet podobno raporty karne. Przypominam, że u mnie w pułku najwyższą władzą jestem ja i moi dowódcy szwadronów. A jeżeli to komukolwiek nie odpowiada, to proszę zażądać transportu do punktu zbornego w Porto Recanati. Droga wolna.

*

Szedłem trochę niepewny przyjęcia. Bądź co bądź ten swój urlop poślubny przeciągnąłem, i to ze swoim kierowcą, o dobre cztery tygodnie. Jeszcze przed ślubem dostałem przeniesienie z pułku do sztabu naszej brygady, no i teraz szedłem, żeby objąć to dmuchane stanowisko.

Lato było cudne. I zaraz po przyjeździe udało mi się trafić na świetną kwaterę, w pięknym lasku, na samym szczycie wzgórza. Morze i całe Porto Recanati miałem pod nogami. To się dopiero Bubusia ucieszy, jak będzie mogła tu przyjechać. Szkoda, że biedactwo nie może nawet na parę dni odjechać

swojego lekarza. Ta odma płuc to jednak straszna dla tak młodej dziewczyny. Wierzę, że z tego wyjdzie.

Ślub i wesele już były dawno za nami. Naturalnie, jakby się mogło obyć bez Obryckiego.

Na pięć dni przed ślubem jechałem do Rzymu, żeby tam już wszystko przygotować. A zacinalem na wielką pompę. Obrycki jechał razem ze mną i całą drogę znęcał się nad Goleckim, pouczając go o dobrych manierach. Dobrze, że podczas obiadowego postoju nie doszło do bójki.

Po przyjeździe wpadłem - jak się należy - do narzeczonej, a później za szeregiem najrozmaitszych drobiazgów.

Była już dobrze jedenasta wieczorem, siedziałem w barze hotelu z Jankiem Jaxą, Stasiem Holbą, Siemiradzkim i całą bandą kolegów z różnych pułków, którzy już zjeżdżali do Rzymu na mój ślub - gdy wezwano mnie do telefonu.

Przyszła teściowa!

- Bohdan, przyjeżdżaj natychmiast, muszę cię zaraz widzieć.

Jeden skok na pierwszy wóz przed hotelem:

- Zawieź mnie, kolego.

W pięć minut byłem już w Parioli⁶⁴. Otworzyła mi zanosząca się od śmiechu teściowa.

- Wyobraź sobie, tak około ósmej, dzwonek do drzwi. Otwieram. Stoi elegancki żołnierz i z miłym uśmiechem, ale poważnie, zapytuje:

„- Czy tu mieszka pani ministrowa Beckowa? - To ja jestem. - A to moje uszanowanie. Pani pozwoli, że się przedstawię: Obrycki jestem”.

Proszę do środka. Wchodzimy do saloniku, proszę, żeby usiadł, co zrobił z ogromną godnością. Chwileczkę na mnie popatrzył, poczekał i zaczął: - Moja pani ministrowo, tu u pani żeni się mój porucznik, człowiek jak się należy i majątny. Ale wiadomo, że te młode, jak im się żenić zachce, to nie chcę mojemu porucznikowi ubliżyć, ale głupie. To ja tak sobie pomyślałem, a że to i pasuje, to ja przyjdę i z panią ministrowa to wszystko, co należy i co ma być, obgadamy. Bo tak i powinno być”. A mówił z wielkim namaszczeniem i powagą, więc bałam się roześmiać. Zaproponowałam kieliszek whisky. „- Należy się, pani ministrowo”.

Wypiliśmy po kieliszku, wszystko z ogromną powagą i bez słowa.

- A może by pan zechciał poznać narzeczoną porucznika? - I owszem”.

Przyszła Buba, już w szlafroku, przywitali się również poważnie. Buba trochę posiedziała i wyszła. Więc zapytuję, jak mu się podoba przyszła porucznikowa. „- Trochę licha, pani ministrowo, ale obleci”. Mieliśmy oboje rozkoszną rozmowę. Co za wspaniały typ! Takich już nie znajdzie ze świecą.

⁶⁴ Dzielnica Rzymu.

Ślub sam był z ogromną pompą. Jezuici przygotowali kościół jak na koronację: złoczone fotele, dywany, morze kwiatów. Ślub dawał, naturalnie, Czorny. Śpiewała Maria Cunilia. W kościele sześciu ambasadorów, prawie cały mój szwadron, czterech dowódców pułków pancernych dywizji, każdy w asyście swoich oficerów, wszystkich z Virtuti Militari. Nasi i z Karpackiego Ułanów byli prawie wszyscy. Dostaliśmy śliczne prezenty. Ja wychodziłem już z linii - tak mnie żegnali koledzy.

Przyjęcie, a raczej drink, w pięknych salonach Czerwonego Krzyża. Tu znowu zabrylował mój kochany szlachcic z Obrytek. Zaczął asystować ambasadorowej Papée. Pani Lilka Papée miała nieprawdopodobne poczucie humoru i umiała wypić. W końcowym rezultacie oboje się trochę wstawili. Ale nazajutrz Obrycki dostał zaproszenie do Ambasady Rzeczypospolitej na śniadanie. I jak się temu cholera nie ma we łbie przewrócić. Żal mi się zrobiło Kumrausa.

Po ślubie mieszkaliśmy w cudownej willi Fiorentino, na samym szczycie Janicolo. Rzym leżał w dole. A daleko, ponad mgiełkami unoszącymi się nad miastem, daleko na horyzoncie - Góry Albańskie. Całą willę mieliśmy do wyłącznej dyspozycji.

I wieczory przy świeczkach, i wólcęga po okolicznych maleńkich trattoriach, gdzie często sam padrone grał nam na gitarze i śpiewał urocze piosenki.

Tylko ta... odma. Co tydzień dwa razy do Morellego⁶⁵. To był zgrzyt, i to zgrzyt groźny.

W kancelarii brygady niezwykle serdecznie przyjął mnie porucznik Bokun.

- No, nareszcie. Ogromnie sobie miodowałeś, ale tu na ciebie warczą. A Grabowski Dowgiałę to codziennie, jak tylko przyjdzie, o ciebie pyta i listami gończymi grozi. Ja się tam bardzo o ciebie nie boję, ale uważaj, żeby to do generała nie doszło. Choć, cholera ciebie wie, jakie ty masz już usprawiedliwienia.

Wszedł kapitan Dowgiałę, szef sztabu brygady, adept Wyższej Szkoły Wojennej w Londynie. Inaczej mówiąc... dyplomowany. Miał wieczne kłopoty z blond fryzurą i bał się panicznie Grabowskiego.

- Kłaniam się panu kapitanowi.

Dowgiałę skrzywił się na to nie bardzo wojskowe przywitanie. Spodziewał się, że będę mu się meldował na nowym przydziale, może nawet usprawiedliwił z długiej nieobecności.

- Mam pana przedstawić do raportu karnego do dowódcy brygady i to natychmiast po pana zameldowaniu się. Proszę być przygotowanym.

- Do jakiego raportu karnego? Czy panu, oficerowi sztabowemu, jest wiadome, że wpierw musi być pojęcie winy albo przestępstwa, a później raport karny? Pana oświadczenie już jest dla mnie ubliżające i pojęcia jakiegoś raportu karnego nie przyjmuję nawet do wiadomości.

- Jak to? Pan samowolnie przedłużył sobie urlop.

⁶⁵ Światowej sławy lekarz, specjalista chorób płucnych.

- Czy pan oskarża mnie, panie kapitanie, że ja samowolnie złamałem obowiązujące przepisy? Czy panu wiadomo, że zostałem przydzielony do sztabu na stanowisko tactical adviser dowódcy brygady, bo taki jest mój etat według przewidzianej organizacji? Czy panu wiadomo również, że w razie emergency to ja właśnie obejmuję dowództwo brygady na polu walki? I pan mnie, możliwego swojego przyszłego dowódcę, chce oskarżać? I to o winy nie popełnione?

Bokun dusił się od śmiechu i prawie włożył pod stół.

Kochany Dowgiałto odgarniał tylko z czoła niesforne opadające włosy. Był tak świetnie strzelony, że biedak zgubił się zupełnie.

W wojsku, gdy się miało do czynienia z oficerami zawodowymi, „na urzędzie”, bojącymi się z reguły własnego cienia, tupet zawsze popłacał.

- Kancelista! Wpadł plutonowy.

- Panie plutonowy!

Tak jest, panie poruczniku.

- Pisz, pan, pismo!

Plutonowy rzucił się do maszyny:

- Tak jest, panie poruczniku.

Zacząłem dyktować list:

„Do dowódcy Drugiego Korpusu - drogą służbową.

Proszę o udzielenie mi czterotygodniowego urlopu okolicznościowego z powodu niedomagań teściowej”.

Podpisałem i schowałem do kieszeni.

Oszołomiony Dowgiałto, stale poprawiający niesforne włosy, zaczął się powoli pocić.

Bokun zarykiwał się w kułak.

„Warta pod broń!”

Dowgiałto, jak w gorączce, zaczął porządkować papiery na biurku.

Szedł dowódca brygady pancерnej, pułkownik Ziemowit Grabowski, pospolicie zwany „Pieprzem” od groźnego i zawsze skrzywionego, bez uśmiechu, wyrazu twarzy. Był łatwo gniewliwy, wybuchowy, choleryk. Wyglądał raczej na człowieka, któremu gnije wątroba... Miał złote serce.

Znajomość moja z „Pieprzem”-Grabowskim datowała się jeszcze z Biggar w Szkocji, gdzie przez pewien czas był naszym dowódcą pułku, tak zwanego Dziewiątego Ułanów. Polubiliśmy się ogromnie i choć różnica stopnia - od ogniomistrza do pułkownika - była znaczna, na wszystkie co większe pijatyki w Biggar wyprawialiśmy się razem. Powoli wmawiałem w niego, że jesteśmy kolegami, bo

przecież chodziliśmy do tego samego gimnazjum w Mławie, na co po pijanemu zgadzał się i przytakiwał.

Spotkanie nasze na terenie Włoch zaczynało następny rozdział tego „koleżeństwa”. Spotkaliśmy się pierwszy raz w zimie, zaraz po jego przyjeździe, w sztabie brygady. Zobaczywszy mnie, skrzywił się jak zawsze, a widząc moją radość ze spotkania, mruknął:

- Cieszę się, że cię widzę. No i dobrze, że jesteś porucznikiem, choć muszę znaleźć tego głupiego, co cię zaawansował. Ale pamiętaj, ja jestem teraz dowódcą brygady, i żadnych poufałości, rozumiano? I żebyś mi znowu nie wyjeżdżał z tym swoim koleżeństwem.

- Jak to, panie pułkowniku? To ja teraz mam się zapierać, że jesteśmy kolegami?

„Pieprza” aż wyrzuciło zza stołu:

- Jakie koleżeństwo, do jasnej cholery? Ja skończyłem gimnazjum w piętnastym roku, a ciebie dopiero diabli przynieśli w dwudziestym pierwszym, i to do drugiej klasy. Kolegę sobie znalazł. To ja ci mówię, żebyś nawet nie mruknął.

- Panie pułkowniku, chodziliśmy do jednego gimnazjum i to nieważne, do której klasy, zawsze jesteśmy koledzy.

- Co, ty znowu zaczynasz? Ostatni raz ci mówię, wybij sobie z głowy to swoje zasrane koleżeństwo. I jak się tylko ośmielisz spoufalać, to ja cię już urządzę, ty łobuzie. Żebyś mi się nie ważył nawet nosa tu pokazywać.

Zrobiłem ogromnie zmartwioną minę:

- Ano, jak pan pułkownik mnie znać nie chce, to już chyba sobie pójdę.

- Co? - zapienił się Grabowski - coś ty powiedział? Że ja ciebie znać nie chcę? Ja miałem minę bliską płaczu.

- No, no - fuknął - już chyba zostań, zapraszam cię na obiad i jeżeli nie będziesz się spoufalał - tu groźnie nastroszył się - to możemy zagrać małego pokera.

Wiedziałem, że ma do mnie ogromną słabość, i z góry miałem ułożony plan działania.

Wpadł jak burza przejęty Dowgiąłło.

- Panie poruczniku, do pana pułkownika!

Weszliśmy do pokoju dowódcy brygady.

Za dużym stołem - z miną wściekłego psa - siedział pułkownik Grabowski.

Z ogromnie kawaleryjskim fasonem, sprężysto i sprawnie stanąłem przed stołem.

Panie pułkowniku, porucznik Bohdan Tymieniecki z pułku Szóstego Pancernego Dzieci Lwowskich melduje swój przydział na doradcę taktycznego dowódcy brygady.

- Co?! - wrzasnął Grabowski - doradcę taktycznego? Do mnie? Czyś ty oszalał? Łobuza, dezertera mi przydzielono. Doradcę taktycznego sobie wisielec wymyślił. Gwizdzę na twoje meldunki. U raportu karnego jesteś.

- Ja? Przy raporcie karnym? Pierwsze słyszę, panie pułkowniku.

- Dowgiałło! - rozdarł się Grabowski - co to za błazeństwo?

- Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że porucznik Tymieniecki nie chciał przyjąć do wiadomości zawiadomienia o raporcie karnym, motywując brakiem dowodu przewinienia, natomiast zażądał przedstawienia go do pana pułkownika do raportu z prośbą, co do której odmówił mi wyjaśnień.

Dowgiałło cały się trząsł i pot spływał mu z czoła strumieniami.

- Co? Do wiadomości nie chciał przyjąć?

„Pieprz” zerwał się zza stołu. Był wściekły, miał pianę w kącikach ust. Wrzeszczał na całą ulicę:

- Dowgiałło! Ile tygodni on był na tej dezercji?

- Panie pułkowniku, melduję, że porucznik Tymieniecki samowolnie przedłużył urlop o cztery tygodnie.

- Gadaj, psiakrew!

- Panie pułkowniku, melduję, że miałem dwa tygodnie urlopu okolicznościowego, jeden tydzień urlopu zdrowotnego i trzy tygodnie urlopu dodatkowego od pana pułkownika.

- Co? Ode mnie?

- Tak jest, panie pułkowniku. Przedstawiał do podpisania kapitan dyplomowany Łukianiec.

- Łzesz, psiakrew! Dowgiałło! Dawaj Łukiańca!

- Panie pułkowniku, melduję...

- Usraj się ze swoim meldowaniem! - krzyknął Grabowski. - Gdzie Łukianiec?

- W Ankonie, panie pułkowniku.

„Pieprz” zaczął latać nerwowym krokiem między ścianami za stołem. Ja stałem wyprężony bez ruchu. Z Dowgiałły pot spływał galonami.

- To sześć tygodni, a ten siódmy?

- Ten siódmy, panie pułkowniku, teściowa była chora, to się nie liczy.

„Pieprz” zaczął się powoli uspokajać. Stanął za stołem.

- Co to za prośba?

Wyjąłem z kieszeni zapisany arkusz i położyłem na stole.

- Co? Urlop? Ja ci pokażę urlop! Do dowódcy korpusu błazen pisze o urlop, psiakrew! Już ja cię teraz nauczę.

Pochylił się nad stołem: - Hm - fuknął - teściowa chora, no niby powód jest. Tu znowu się udarł na całe Porto Recanati:

- Teściową chorą sobie wynalazł! Tu jest wojsko, a nie teściowe. A wiesz, dlaczego ta twoja teściowa jest chora? Że za takiego drania, łobuza, diabelskie nasienie, córkę wydała. Żal mi tylko tej biednej kobiety. Ale ja ci pokażę, co sobie robię z twoich podań. Ja ci pokażę, gdzie będziesz miał ten swój urlop. Patrz, psiakrew!

Tu Grabowski złapał moje podanie, z pasją porwał na kawałki i znowu zaczął latać nerwowo między ścianami.

- Ładne współczucie pan pułkownik okazuje tej biednej kobiecie, nazywając jej zięcia diabelskim nasieniem.

- Co? Ja tak nie powiedziałem. Dowgiałło! Gadaj! Czy ja tak powiedziałem?

Biedny, zastraszony Dowgiałło zaczął coś pod nosem bąkać. Grabowski stanął przede mną.

- Odkąd mnie ciebie generał przydzielił, to wiedziałem, że nieszczęście spadnie na tę brygadę. Łobuz jesteś, porządną dziewczynę uwiodłeś, a teraz my wszyscy ponosimy konsekwencje. Szanuję twoją teściową i tylko z żalu i współczucia dla niej dam ci dwa tygodnie. Ale nie teraz, za dziesięć dni. W niedzielę przyjecie w Krechowieckim, zabieram cię z sobą.

I tu wrzasnął znowu:

- Tylko pamiętaj, nie nadużywaj mojej cierpliwości, bo cię zgnoję! A teraz - tu głos mu się zmienił zupełnie - chodź na obiad, bo dzisiaj wieprzowina.

Jak mogłem nie kochać takiego dowódcy?!

Jak na złość przyjęcie w Krechowieckim przestawiono na następną niedzielę. Zanościło się na więcej niż dziesięć dni. A jak się Grabowski do mnie przyzwyczai, to mnie będzie trzymał, wymyślając różne nie istniejące zajęcia. Jak go się pozbyć choć na dwa dni?

Następnego dnia rano graliśmy z Bokunem w sześćdziesiąt sześć. Dowgiałło wyjechał do dywizji. Na „Pieprza” było jeszcze za wcześnie.

Przed domem dowództwa kapela wędrowna zaczęła zagrywać jakąś włoską piosenkę. Coś mnie tknęło i wyszedłem pogadać sobie z grajkami. Gruba dziewczyna, o czerwonych nogach, grała na gitarze i była zapiewająką. Sam maestro, malutki, czarny, z kwicistą chustą na szyi, oprowiał harmonię. Trzecim był chłopiec wtórujący im na bębenu. Podszedłem:

- Senti maestro, gracie pięknie. Już dawno nie słyszałem tak bella musica, jestem zachwycony. - Tu wręczyłem mu dwieście lirów. - Signore artista, chciałbym urządzić mały popis waszego talentu. Gdyby pan mógł to zorganizować. Może trzy albo więcej zespołów takich jak wasz. Gotów jestem zapłacić za udział w koncercie po pięćset lirów, a dla najgłośniejszej - specjalną nagrodę jednego tysiąca.

Twarz tego muzykanta o wyglądzie pospolitego mordercy rozjaśnił uśmiech prawie aż rozkoszy.

- Signore! Per uno tale ammiratore d'el arte facciamo tutto.

Omówiliśmy szczegóły.

Już od samego rana następnego dnia zaczęły przed dowództwo ściągać zespoły, biorące udział w koncercie „eliminacji”. Było ich razem pięć.

Jak oni się tak szybko skrzyknęli? Widać dobrze trafiłem na rozprowadzającego.

Mój maestro uważając się za starszego, jako że on był przecież organizatorem, ustawiał zespoły w ordynku. Całość wyglądała pokaźnie, a główną atrakcją było ogromne psisko, ciągnące przemysłny zaprzęg z potężnym bębniem. Różnorodność instrumentów... nieprawdopodobna.

„Warta pod broń!”

Zajechał wóz z dowódcą brygady. Wyczekałem, aż wejdzie na schody. Z okna machnąłem ręką...
Avanti!

To przeszło nawet moje oczekiwania. Aż zatrzęsły się szyby. Z gabinetu Grabowskiego przeraźliwy wrzask:

- Tymieniecki!

Ja buchnąłem do ustępu. W drzwiach zderzyliśmy się z Bokunem. W końcu korytarza mignął się nam pierzchający Łukianiec.

- Bokun!

Zatarasowaliśmy się i choć było sakramencko ciasno, zawiśliśmy na okienku.

- Dowgiałło! Psiakrew, Dowgiałło! Warta! Rozpędzić natychmiast tę hałastrę! Dowgiałło!

A oni grali i to tak pięknie, że w uszach pękały bębni. Wspaniali. Na lewym skrzydle stał nasz pierwszy zespół i dziewczyna aż darła struny w gitarze. Pies łeb przekrzywił z radości, że jego instrument jednak najgłośniejszy.

Wartownik podbiegł do śpiewaczki. Ona nic nie słyszała, upojona gorączką współzawodnictwa. Chłopak był nieostrożny, chciał wziąć ją za ramię. Dziewczyna, nie przerywając śpiewu, zamachnęła się gitarą. Myśmy z Bokunem zamknęli oczy. Huk doleciał aż do nas. Na środku ulicy ślaniający się wartownik, beret poleciał gdzieś do ogródka.

- Dowgiałło!

Na domiar złego koncertujący, widząc w oknie drącego się Grabowskiego, podgrażali mu od czasu do czasu pięściami.

- Dowgiałło! Strzelać każę!

Ale kapitan Dowgiałło telefonował na wartownię.

Już z końca ulicy biegł dowódca warty z ośmioma ludźmi. I tutaj zmienił się front. Pierwsze dwa zespoły z lewego skrzydła przygotowywały się do odparcia ataku. Chłopak od bębna w pośpiechu wyrwał z płotu sztachety. Pies z bębniem pokazał ogromne kliska i ruszył naprzód. Warta zatrzymała się. Z ludźmi daliby sobie łatwo radę, ale pies? Na domiar złego grający na tym wielkim bębnie muzykant, z ogromnymi wąsiskami jak Ali Baba, zaczął wypręgać wyrrywającego się brytana. Wartownicy byli z naszego pułku, portki mieli pięknie wyprasowane. Z tym psem to jednak było poważne ryzyko.

Myśmy płakali ze śmiechu, ale dawałem rozpaczliwe znaki mojemu organizatorowi do rejterady, bo widziałem jasno, że każdy szwank poniesiony na instrumentach może mnie poważnie zrujnować.

- Naprzód! - ryczał Dowgiałło.

Całe szczęście, że nasi chłopcy byli rozważni. Pies przedstawiał zbyt wielkie niebezpieczeństwo i przechylił szalę. Zaczęły się pertraktacje ugodowe. Ale trzy prawoskrzydłowe orkiestry, mimo zagrażającego niebezpieczeństwa, nie przerwały nawet na chwilę.

Nareszcie maestro zauważył moje sygnały. Z godnością ustalał teraz z dowódcą warty warunki pokojowe. Dał sygnał i zaczął odprowadzać swoje zespoły w boczną uliczkę. Nie minęły trzy minuty, jak wszystkie pięć orkiestr zagrało *Giovinazza*.⁶⁶

„Pieprz”-Grabowski jak oszalały zleciał ze schodów. Na dworze wcisnął beret na głowę i skoczył na łazika:

- Do Krechowieckiego!

Wyszliśmy obaj z Bokunem, obydwaj byliśmy mokrzy. W tej ciasnocie było cholernie gorąco.

Poszedłem rozstrzygnąć konkurs i wypłacić nagrody.

Mój rzezimieszek z dumą prezentował mi wodzów zespołów. Tysiąc lirów przysądziłem z ogólnym uznaniem zespołowi z sobaką. On uratował całą imprezę od klęski. Biedny mój wódz ściągnął na siebie nienawiść całego świata sztuki.

- Questo colonello molto brutto, brutissimo, uno mascalzone!

No, teraz jestem wolny. Wiadomo, „Pieprz” pojechał do Krechowieckiego. Tam Kazio Zaorski podejmie go godnie jak zawsze. Będą pić do rana. Jutro mój brygadier będzie niewąsko chory, czyli pokaże się dopiero pojutrze.

Poszedłem do dowództwa. Przy biurku siedział Dowgiałło z głową opartą na rękach. Miał twarz i spojrzenie człowieka zupełnie wykończonego.

- Panie kapitanie, wezwano mnie nagle. Teściowa gorzej. Proszę powiadomić pułkownika Grabowskiego.

Miał twarz tak zrezygnowaną, że nawet nie mrugnął okiem. Przejrzał wszystko.

⁶⁶ Hymn faszystowski.

W pół godziny niosło mnie do Rzymu, aż wyły opony na zakrętach. A to się Bubusia ucieszy!

*

Był wredny wieczór, ciemny, mglisty i mżyło. Droga była mokra i śliska. Prowadziłem swego Opla sam. GołECKI też musi mieć swoją niedzielę. Jechałem z Ankony do Montefano odwiedzić wszystkich przyjaciół w Szóstym Pancernym.

Od kiedy zostałem przeniesiony do sztabu korpusu, tylko z rzadka, i to przypadkiem, widywałem swoich kolegów. Stale mieszkalem w Rzymie, a dojeżdżałem do Ankony tylko na specjalne wezwanie. Pełniłem funkcję oficera do zleceń szefa sztabu 2 korpusu, generała Wiśniowskiego. Nosiłem odznaki stopnia majora, inaczej mówiąc, byłem acting major, bo taki stopień był przywiązany do mojej nowej funkcji.

Ten nowy stopień bardzo mi pochlebiał, był typowym stopniem tej wojny, gdzie przydatność człowieka decydowała o jego randze, a nie urzędnicza ilość wysłużonych lat. Byłem oficerem rezerwy i ten stopień miał dla mnie prawdziwą wartość. Tym bardziej że kiedy zameldowałem się w adiutanturze generała Andersa i adiutanty podniosły wielki krzyk, generał Anders z uśmiechem podając mi rękę powiedział:

- Cieszę się, że widzę pana już jako majora, winszuję, majorze!

Masę rzeczy i nowych problemów nagromadziło się ostatnimi czasy - spraw, które należało nie tylko omówić i rozważyć, ale w razie konieczności przygotować rozwiązanie.

Ostatnio na szereg zmian nie mieliśmy zasadniczego wpływu, ale sprawy te odbijały się bezpośrednio na nas i nas bolały. To nie był już ten nasz 2 korpus wojsk zwartych, zespolonych i zdyscyplinowanych. Ostatnie zmiany przeprowadzone przez nasze władze zaczęły przynosić fatalne rezultaty.

Już na jesieni, bez żadnego uprzedzenia, zdjęto z dowodzenia Kazia Zaorskiego z Krechowieckiego i pułkownika Dudzińskiego z Czwartego Pancernego. Odsunięto ich na jakieś dęte stanowiska, a na ich miejsce wyznaczono dwóch oficerów z „pawianów”. Zagotowało się we wszystkich pułkach pancernych. Obydwaj ci pułkownicy byli nie tylko bardzo popularnymi, ale i bardzo lubianymi dowódcami. To, że myśmy na nich od czasu do czasu pyskowali, nie miało żadnego znaczenia. Nam wolno było pyskować, bo oni byli naszymi ludźmi. Przeszli z nami całą wojnę. Łączył nas z nimi sentyment i pełne zaufanie żołnierza. A tu na ich miejsce, na pułki pancerne, przychodzą jacyś nic nie mówiący nam pułkownicy kawalerii, którzy nie wiadomo, czy widzieli czołgi w swoim życiu.

Ten sam numer zaczął się powtarzać w innych oddziałach naszej dywizji. Brygada Pomorska, pułki artylerii, służby! Sytuację ratował tylko autorytet Andersa. Ale sytuacja stawała się tak naprężona, że wystarczał jeden incydent do przeciągnięcia struny.

Już Piąta Dywizja Kresowa pokazała zęby i z trudem udało się dowódcy korpusu załagodzić wrzenie. Tam, co prawda, był głębszy powód, ale miał za sobą nas wszystkich.

Myśmy wierzyli, że te zarządzenia idą z góry. Wodzem naczelnym został Bór-Komorowski. Z nami nie łączyło go nic. Wiedzieliśmy, że został tym wodzem tylko ze względów polityczno-koniunkturalnych.

Każde, jakiegokolwiek drastyczne pociągnięcie mogło postawić dowódcę naszego korpusu w trudnej sytuacji. Do tego nie mogliśmy dopuścić.

Nie mieliśmy wielkiego szczęścia do naczelnych wodzów. Sikorski był więcej mężem stanu czy politykiem, a nieszczęśliwe wewnętrzne rozgrywki polityczne i zgraja oportunistów i mętów politycznych, która dorwała się koryta, oddaliła go od nas tak, że zagadkowa śmierć jego przeszła w armii bez wrażenia. Sosnkowski budził sceptycyzm swoją jakby tragiczną sylwetką, odzianą w płaszcz hamletyzmu. Na Bora-Komorowskiego wzruszaliśmy ramionami. Nam, armii, niepotrzebny był polityk, Hamlet czy pionek „of convenience”. Myśmy chcieli żołnierza. Żołnierzem był Anders. Anders był naszym dowódcą. Był z nami. Znał wszystkich swoich młodszych oficerów liniowych. Każdy bez względu na stopień miał do niego wstęp - at any time. Szedł za nim sentyment mas żołnierskich, a za sentymentem... wiara. For better and for worse, ale Anders!

I dlatego warczeliśmy, ale staraliśmy się nie psuć.

Nieszczęście, że do świadomości generała Rakowskiego nic nie trafiało. Nie przyjmował żadnych ostrzeżeń, nie chciał nawet słuchać o nastrojach. W tej ciasnej mentalności istniało tylko jedno pojęcie: tak jest! Tak musi być, jak on chciał to widzieć, i już. Kiedy pułkownik Grabowski raz jeden ośmielił się delikatnie zwrócić generałowi uwagę na możliwe konsekwencje tych zmian, generał odwrócił się tyłem i nie chciał gadać.

W całej naszej dywizji pancernernej pozostały tylko trzy oddziały liniowe, jeszcze nie obsadzone przez murnauskich pułkowników: nasz Szósty, Karpackich Ułanów i zmotoryzowany batalion commando. Wiedzieliśmy, że już kilkunastu z tych „pawianów” aż przebiera nogami, szykując się na te dowodzenia. Generał ze wszystkich swoich pułków dywizji najlepiej znał nasz. Znał dobrze nas wszystkich, lubił nas i bardzo cenił. Zdawał sobie sprawę, jak twardo staliśmy za Motyką. Tu ryzyko było zbyt wielkie. Z Karpackim Ułanów nie było łatwiej. Tam dowódcą był Zakrzewski, świetny oficer, ale bez kompromisów. A za nim stał pułk, najlepszy Polskiej Armii. Pozostawało commando. Młody oddział, młody dowódca, bez żadnych koneksji, powiązań, protekcji. Już wyszedł rozkaz mianujący nowego dowódcę, bodaj że brata generała Andersa. Już „witano się z gąską”.

Jednej rzeczy generał Rakowski ślepo nie przewidział. Batalion tych komandosów był utworzony z żołnierzy służących uprzednio w armii niemieckiej, z ochotników z partyzantki w Jugosławii i dwóch plutonów Litwinów z własnymi oficerami. Był stworzony i nieprawdopodobnie wyszkolony i zdyscyplinowany przez wspianego oficera, jakim jest Smrokowski. Dla nich Smrokowski był bogiem. Wojna była skończona. Temu żołnierzowi nie trafiały do przekonania żadne inne względy. Wystarczyło pewnie jedno słowo... Zabierają nam dowódcę, a jak zabierają, to znaczy robią mu krzywdę. Batalion commando stanął dęba! Zanosilo się na katastrofę. Rakowski musiał ustąpić. Rozkaz odwołano.

Ale, jak mówią Anglicy, „mleko zostało rozlane”.

Ci nowi dowódcy nie mieli żadnego autorytetu. Nie rozumieli zupełnie żołnierzy, którymi chcieli tak uporczywie dowodzić. Dyscyplinę z miejsca diabli wzięli. I tak szczęśliwie, że całą naszą młodzież oficerską rozesłano od razu po zakończeniu działań na kursy maturalne i na włoskie uniwersytety. Inaczej doszłoby do ostrych incydentów. Tej młodzieży zablokowano - siłą rzeczy - należne awanse. Działo się to jej kosztem. Ci nowi pobierali pełne pobory swoich stopni. Pozostawało pytanie... za co?

Był to element, który według oceny naszej - żołnierzy tej wojny - nie nadawał się do żadnej armii nowoczesnej. Na żadne stanowiska, nawet na podoficersko-administracyjne. Były to nieszczęśliwe, ale i typowe ofiary utraty szybkości życiowej, jakie dała wojna. Małe wyjątki młodszych oficerów nie mogły się nawet liczyć.

W razie gdyby w tej chwili wybuchła nowa zawierucha, na którą się ciągle zanosilo i o której się ciągle mówiło, to nasz korpus, z wyjątkiem kilku oddziałów, bez kompletnej reorganizacji nie przedstawiałby żadnych wartości bojowych.

To zagadnienie spędzało nam wszystkim, dawnym oficerom liniowym, sen z powiek.

Drugi powód był głębszy... Bo to pierwsze obchodziło nas i bolało raczej ambicyjnie i połączone było bezpośrednio z troską o wojsko. Natomiast problem, który tak podniósł Kresową Dywizję, był prawie że problemem narodowym. Było to czekające nas rozbrojenie i przejście do mającego się utworzyć na terenie Anglii ośrodka czy obozów przysposobienia do życia cywilnego.

Jak to tłumaczyć? Czy to jest rezygnacja ze wszystkiego, co nami kierowało? Czy zapłatą za ofiary i życia ludzkie mają być uposażenia i emerytury? Co za tym się kryje?

Nikt nie umiał czy nie chciał dać wyczerpujących wyjaśnień. Mnie nie chciało się nawet o tym myśleć, ale musiałem, bo ciągle mnie o to nagabywano, tak koledzy, jak i moi starzy żołnierze.

O sobie wiedziałem jedno: że muszę za wszelką cenę oderwać się od żołnierki. Wojna się skończyła. W drugą nikt z nas młodszych nie wierzy. Jak się nie oderwę, to popłynę z falą... Za żadne skarby! To trzeba już! A mnie wciąż nie stać na decyzję. Ciągle z dnia na dzień. A co dzień... dalej z wodą.

Dobrze to było facetowi, jak stały za nim zbrojne kohorty legionów, nadąć się jak Mussolini i wygłosić swoje, jakoby wielkie, „Alea iacta est”. A w Rubikonie wody nie było nawet żabie po kostki.

Dlaczego w tym Rubikonie mojego małego życia wody do cholery? Teraz dopiero widać, że z tym końcem wojny to człowiek schodzi na psy.

Wjeżdżałem już do Recanati. Chciałem, ot tak przez sentyment, odwiedzić mojego starego wodza. Ale pułkownik Grabowski pojechał jak zwykle do Krechowieckiego, a reszta moich sztabowych koleżków rozlała się po mieście i po kominach.

Jadę do Montefano. Cieszyłem się bardzo na spotkanie z Gromadzkimi. Wesele to już mieli na sto dwa! Buba ze mną wydawaliśmy „Kwiatuszka” za mąż. W tej mojej willi na górze, w Porto Recanati, ponad sto dwadzieścia osób. Takiej pijatyki brygada pancerna nie pamiętała. Buba nie może mi darować tej mowy. Gdzie ona te świątwa znalazła?

Ciemno i mgła coraz gorsza i tak się jeszcze ta moja wizyta skończy, że wylecę na którymś zakręcie. A światła jeszcze nie widać.

Ostatnio tak bardzo się rozluźnił mój kontakt z kolegami. Ale jak ich zastać teraz w niedzielę? Dolka Jadwisiaka nie widziałem chyba z pół roku. Zaszły się w Gubio, a mnie to Gubio za bardzo z drogi.

Ale chłopaki się mną ucieszą. Muszę odwiedzić obydwie załogi Żeby tam tylko mój Obrycki czego znowu nie wymyślił. Żeby go drzwi ścisnęły! Za to ostatnie przedstawienie to trzeba go było w ucho wyciąć.

Już dobrze parę tygodni, jak spotkany w Ankonie Andrzej Gromadzki przywitał mnie na wstępie wiadomością nie bardzo zadowalającą:

-- Czy wiesz, że ten twój szlachcic z Obrytek siedzi w kryminale?

- Jak to w kryminale?

- Pułk nasz z kolei wystawiał wartę przy magazynach angielskich. No i tam twój Obrycki przyzwyczał się do worka cukru. Angliki złapały i osadzono go do sprawy w Maceracie.

- Winny czy nie winny, cukier nie cukier, ale cokolwiek było, jesteśmy z jednej załogi. Ja nie Pan Bóg, sądzić nie będę. Wiem jedno: choćbym miał go odbić siłą, w więzieniu mój Obrycki siedzieć nie będzie.

Gdyby tu był Benek Lipkowski, on by go wyciągnął diabłu spod ogona. Ale Benka nie było. W takim kurewskim bałaganie, za głupi worek angielskiego cukru! Niedoczekanie ich.

Poszedłem do Władka Żebrowskiego, dobrego frienda, który był dowódcą oddziału kontroli ruchu 2 korpusu. Chłopak był sprytny i choć dyplomowany, to na dobrej stronie. Wyłuszczyłem całą sprawę.

Władek zatarł ręce:

- Mój kochany, w tym burdelu, jaki teraz zrobiono, to jak się nam tylko podłożą, wszystko się uda. Najważniejsze wyciągnąć go z więzienia. Zadekować w pułku. Niech cicho siedzi. Za dwa czy trzy miesiące korpus ewakuują do Anglii. Tam go już nikt nie znajdzie, bo i papiery w tych przeprowadzkach się zawieruszą. Nic się nie martw, mamy go tego, jak mu tam, Obryckiego.

- Pruj do baru w kasynie i czekaj na mnie. Razem zjemy obiad.

Po dobrej godzinie Władek był z powrotem. Na wstępie wyciągnął papiery.

- Masz bumażkę wystawioną na majora Piwko, z korpusu sądownictwa, to ty jesteś. Podpis pułkownika Rohma, że sam by nie poznał. Co prawda pieczętka urzędu ruchu, ale tam murnauczyc na urzędzie, to ciemniak. Weźmiesz mojego łazika ze znakami korpuśnymi. Po obiedzie dam ci trzy zielone berety. Bo musisz mieć i eskortę. Odprujcie znaki pułkowe.

- Radzę, bądź w Maceracie wcześniej rano. Reszta - to wiesz już sam.

Wieczorem byłem już w Montefano.

Rano, niby ja, ten major Piwko, GołECKI i Kumraus z tommygunem, zajechaliśmy przed więzienie w Maceracie. Wyszedł porucznik żandarmerii, już dobrze w latach, i tak się przed majorem Piwko wyciągnął, że bałem się, że mu portale spadną.

Z rozkazu szefa sądownictwa proszę o wydanie mi aresztanta Obryckiego celem doprowadzenia na przesłuchanie przez władze angielskie w Ankonie. Proszę, oto dokumenty.

Tak jest, panie majorze! Natychmiast! A czy pan major ma eskortę? Bo aresztowany trochę niespokojny.

Pokazałem przez okno na stojącego przy łaziku Kumrausa.

W trzy minuty wyprowadzono mi tego cukrzanego złodziejaszka. Aktor to on cholera i jest. Na nasz widok nawet mu gęba nie drgnęła. Ładowaliśmy się do łazika z całą asystą. Nie było czasu do stracenia. Jeszcze nie wzięliśmy pierwszego zakrętu, jak w tyle już się pokłócili.

Co, cieszyłeś się, swolciu, że mnie takie nieszczęście dopadło? Letko ci beze mnie było? Jeszcze cię tu przyniosło, żeby na ludzką krzywdę ślepie wytrzeszczać.

Co, jeszcze ci mało? - krzyknął Kumraus. - To cię możemy zostawić. Angliki go złapały. To aż śmiech na cały pułk. Worek cukru, pierunie, zmarnowałeś. I to my z majorem o takiego dziada tyle rwetesu narobili.

Wylecieliśmy za Maceratę, więc ja na Obryckiego:

- Coś ty, cholero dziadu, narobił?

- Dokumentnie to było tak, panie majorze. Staliśmy przy onym cukrze. A Angliki to worami na te włoskie camioncino ładowali. Nie przeszkadzało się, bo wiadomo, ich cukier, nie nasz. To jak odjechali, chciałem i ja sobie jeden woreczek na pamiątkę, bo to cenę można dobrą dostać. To mnie przykaraulili i prosto do tego pierdla. Nie robiłem żadnej draki, a nawet spokojny byłem, bo wiedziałem, że za trochę cukru pan major zgnoić mnie nie da. Nawet temu porucznikowi to się i ubliżyło, ale nie bardzo, tak tylko, żeby go od towarzystwa odstraszyć. Siedzi w tym kryminale paru większych złodziei. Ale sposób mają dobry. Jak tylko wyrok nie po myśli, to zgłaszają się do Polski. Muszą ich zaraz wypuścić i do Rzymu odsyłają, że to niby „politycznie zasłużeni”. Ale oni wszyscy z tego nowego przybytku. Bo tych paru starych, jak ja, to już wolą siedzieć. My to już wszystko widzieli, niech frajerów szukają. A ty, cholero Kumraus, nie śmiejesz się!

Miał rację Władek. Nie wiem nawet, czy go bardzo szukali. Komu to dziś w głowie worek cukru?

Jak na złość nikogo nie ma. Andrzejowie wyjechali do Gubio. Cała nasza młodzież wyniosła się na jakąś wielką zabawę. W kasynie siedział tylko Stryjewski i narzekał na zęby. Szmidt był już na kursie maturalnym. A Obryckiego z Kumrausem też gdzieś wyprowadziło.

Powlokłem się do pierwszego szwadronu. Tam, naturalnie, cała załoga poszła na pokera do drugiego szwadronu. Wracając zobaczyłem za drzewami, pod murem, cienie czołgów. Podeszedłem.

Wartownik, widząc mnie, rozjaśnił twarz:

- Dawno nas pan nie odwiedzał. Przyszedł pan porucznik, przepraszam, pan major, popatrzeć na swoje czołgi. Niedługo zdajemy. Już jest nawet rozkaz. O, tam stoi ten pana. Szkoda. Dobrze były te nasze czołgi, dobre, aż nawet smutno.

Podszedłem bliżej. Jak bym go mógł nie poznać! To, że wieża okryta plandeką i kaptur na lufie? Zacząłem zdejmować kaptur z wylotu. Rzemienie były mokre i śliskie. Ot, tak jest lepiej. Po staremu wgramoliłem się na przód. Wartownik popatrzył się i odszedł.

Odsunąłem trochę plandekę i usadowiłem się, opierając plecy o osłonę obsady lufy.

Bubusia w Rzymie, wszyscy koledzy się rozbiegli, pusty pokój w Ankonie. Czy mi to z nią źle? Posiedzimy jak dawniej. Dobrze nam było razem. Już dopasowaliśmy się tam w Ikingi Mariut. Trzy strzały AP na tysiąc jardów, wszystkie bull's eye. Aż oko Świetlickiemu zbiełało. A później to już nam szło. Boże! Tyle pocisków! Nawaliłaś mi tam pod Osimo. Prawda, że było ponad osiem tysięcy, ale patrzyły na nas te Królewskie Huzary. A ja im przechwalałem się, żeś najlepsza seventy five na całe Mediterranean. Dopiero za siódmym pociskiem. Aż dach podniosło. Głupie gadanie - good show - my powinniśmy być za trzecim. Butelka whisky jak w kaczy kuper.

Cholera, deszcz coraz gorszy. Z drzewa kapotało mi na kark. Podniosłem kołnierz płaszcza. Co? Już dziesiąta? Żeby tak teraz koncert szakali i nie ten deszcz, to byłoby tak jak z moją Lily. Też było dobrze. Może trochę inaczej, ale dobrze.

I szczęścia się trochę miało. Dwa razy nas złapali na skrzyżowanie nitek. Tam pod Chiaravalle to szliśmy na cholernym gazie i przez krzaki, zgórował, wystarczy te sześć cali. Ale brownig wieżowy ucięło jak kawałek sera.

A o Ankonę? Tam miał nas ten jaeger pod słońce. Też mu nie wyszło, a mogło, antenę tylko uciął.

Pomyśleć tylko, tyle pocisków! No i co? Koniec. Wszystko się zawsze kończy.

A dziś to tak wygląda jak to *Adieu aux armes*, jak ten *Ostatni jeszcze raz*. Ano już tak musi być, „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”.

I na nas przyszedł czas. Schodzimy oboje z tego, tak jednak cudownego ringu. Z ciebie jeszcze gdzieś w dalekich hutach Pensylwanii odleją drugą armatę. Armatę może tak piękną jak ta seventy five ze special long barrel. A ja? Dla mnie w tej chwili jutro, w które idę, czarne jak ta parszywa noc i ten deszcz.

Już czas, trzeba iść. Zsunąłem się z czołgu.

Dawnym odruchem położyłem obydwie dłonie na pierścieniu wylotu lufy. Stal była zimna, mokra... martwa.

Halas! - Przepadło!

Diabli wzięli piosenkę...

Rzym, Ankona, Villach, 1946

EPILOG

W broni pancernej armii alianckich było niemal zwyczajem nazywanie czołgów, przeważnie imieniem dziewczyny któregoś z członków załogi. Malowano te imiona zwykle na boku wieży czołgowej albo kadłuba, w żadnym wypadku na lufie armatniej.

Lily była odosobnionym wyjątkiem w szkole strzelców czołgowych Królewskiego Korpusu Pancernego w Abbasya koło Kairu i zwracała uwagę otoczenia nie tylko tą odrębnością, ale także rzadko spotykanym imieniem.

W końcu sierpnia 1986 roku, ulegając namowom przyjaciela, który podobnie jak ja był oficerem broni pancernej w czasie drugiej wojny światowej, pojechaliśmy na pokaz najnowszych czołgów do Bovingtonu, centrum wyszkolenia tej brom jeszcze z początków pierwszej wojny światowej.

Kiedy pokaz się skończył, kolega zaciągnął mnie do miejscowego muzeum czołgów, jednego z największych w Europie.

Zaczęliśmy błądzić po ogromnej hali. Ja poszedłem się pogapić na żelazne potwory starszej daty, a kolegę interesowały bardziej czołgi, na których chodził do walki. Po kilkunastu minutach zaczął mnie gorączkowo przyzywać do siebie i pokazując ogromnego „Centuriona” ze wspaniałym działem o długiej lufie krzyknął, aż się wielu zwiedzających zatrzymało:

- Bohdan, patrz! Przeszedłem na drugą stronę czołgu.

Na pięknej długiej lufie armaty, tuż przy obsadzie, białą farbą... Lily!

Wrażenie wstrząsające. Zabrakło mi powietrza w płucach. Przez mózg przemknęło ostatnie pożegnanie.

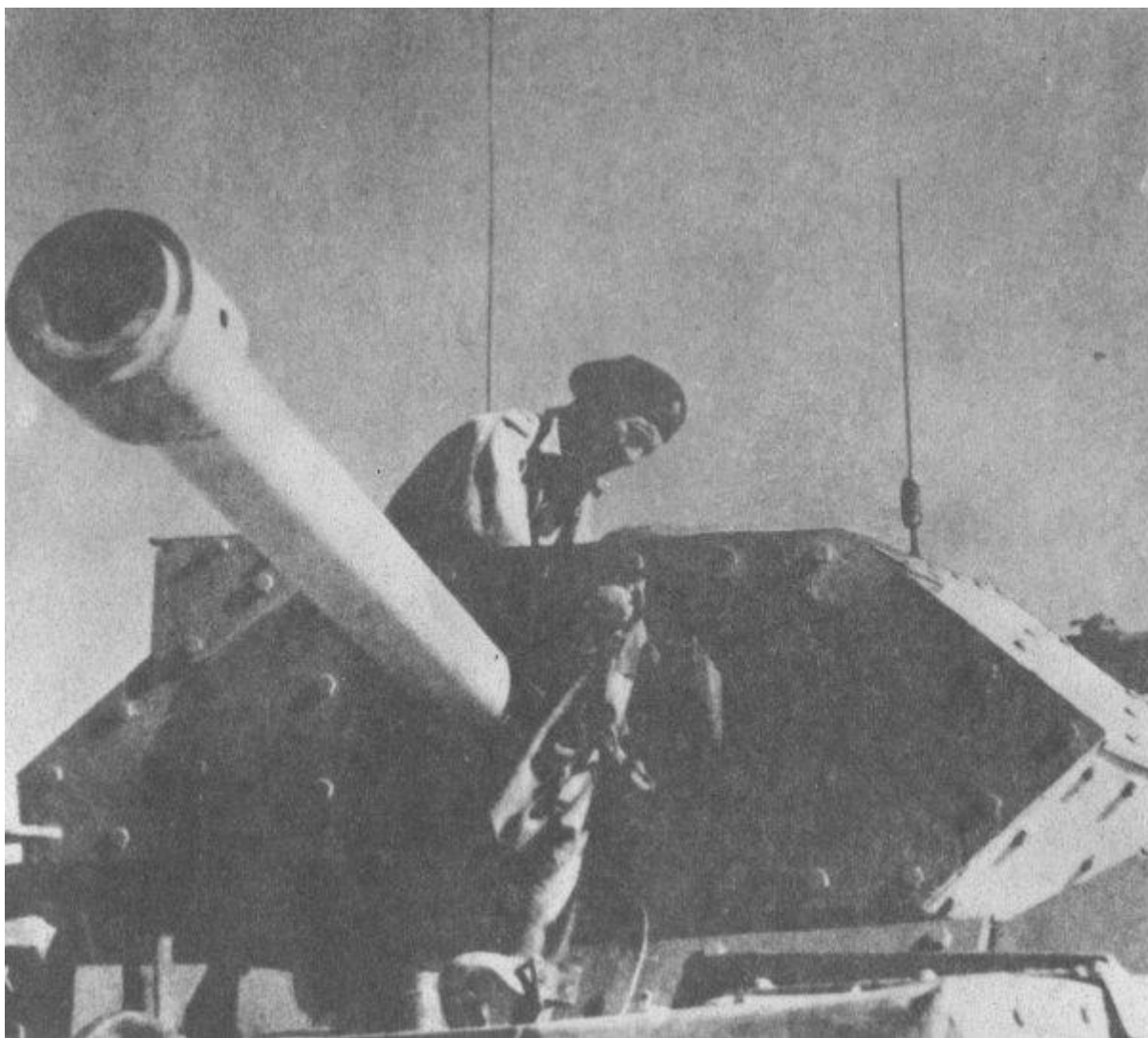
„...Z ciebie jeszcze gdzieś w dalekich hutach Pensylwanii odleją drugą armatę. Armatę może tak piękną jak ta seventy five ze special long barrel...”

- Bohdan! - krzyczał kolega - ten czołg ma metrykę. Musimy zbadać, musimy dojść, jakim sposobem... To nawet nie jest prawdopodobne. To jest niesamowite!

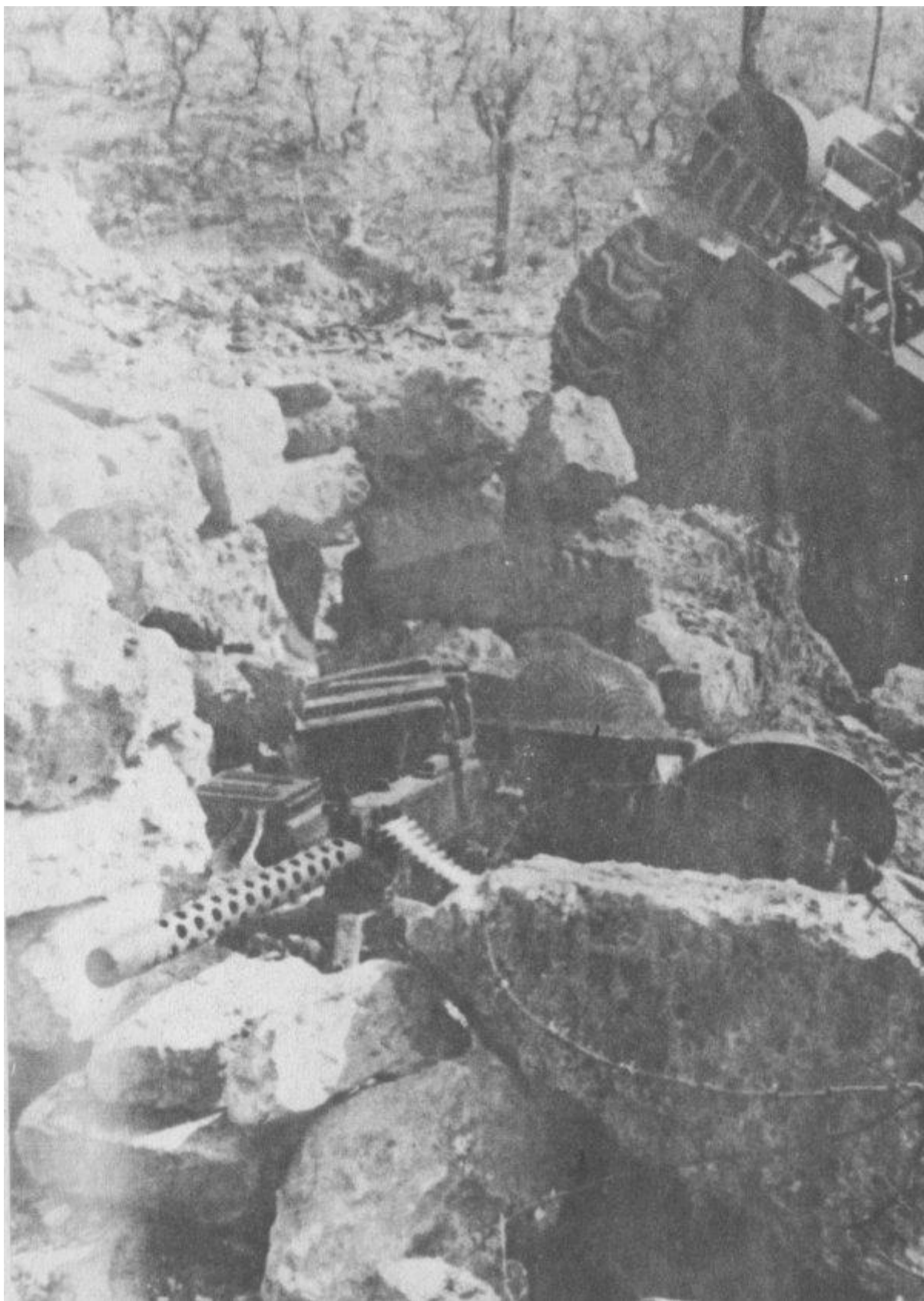
Odzyskałem panowanie nad sobą.

- Nie, mój drogi, nie będziemy ani badać, ani dochodzić. Tak to musiało już być, i niech tak już dla mnie pozostanie. Bo widzisz, carissime, na końcu naszego przebiegu, kiedy już prawie kładziemy rękę na klamce furty cmentarnej, to jednak jeszcze „*on revient toujours à ses premiers amours!*” I to jest miłość.

Londyn, jesień 1986



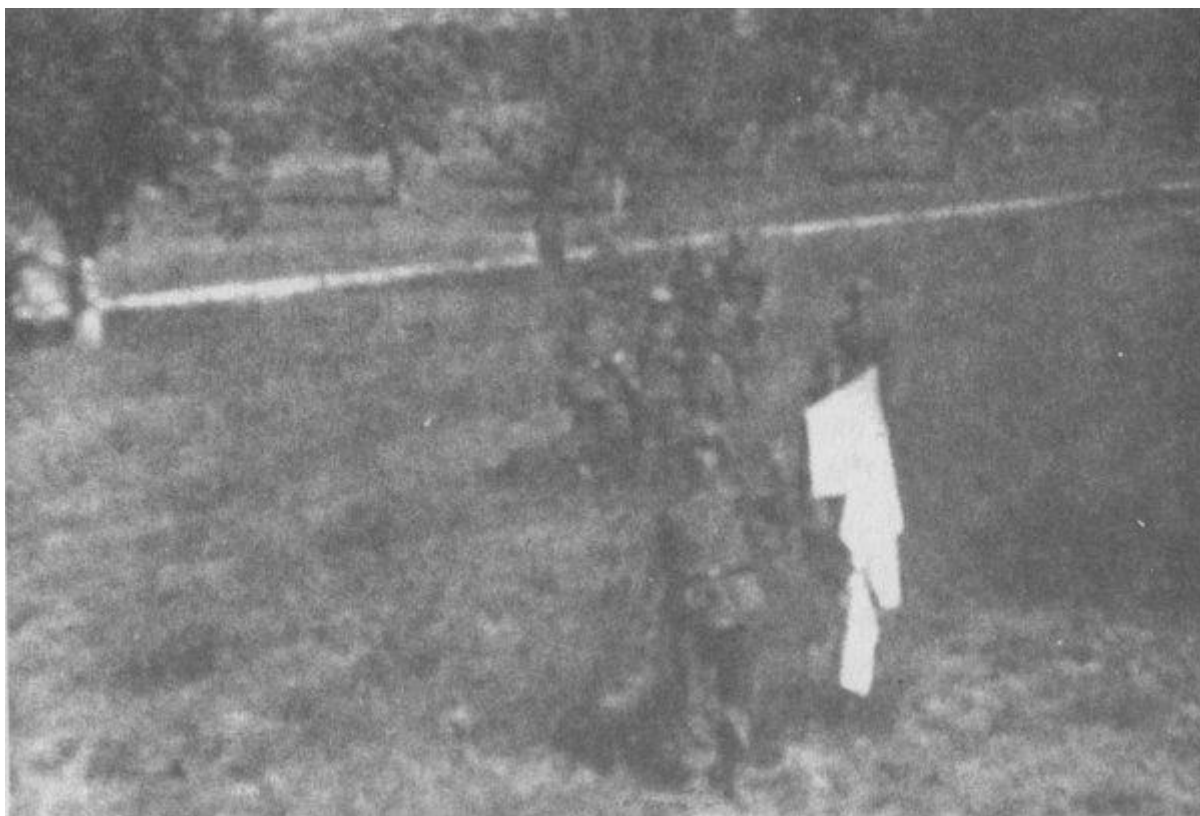
Armata nazywała się Lily



Białe od kurzu twarze Jodisa i Stapińskiego



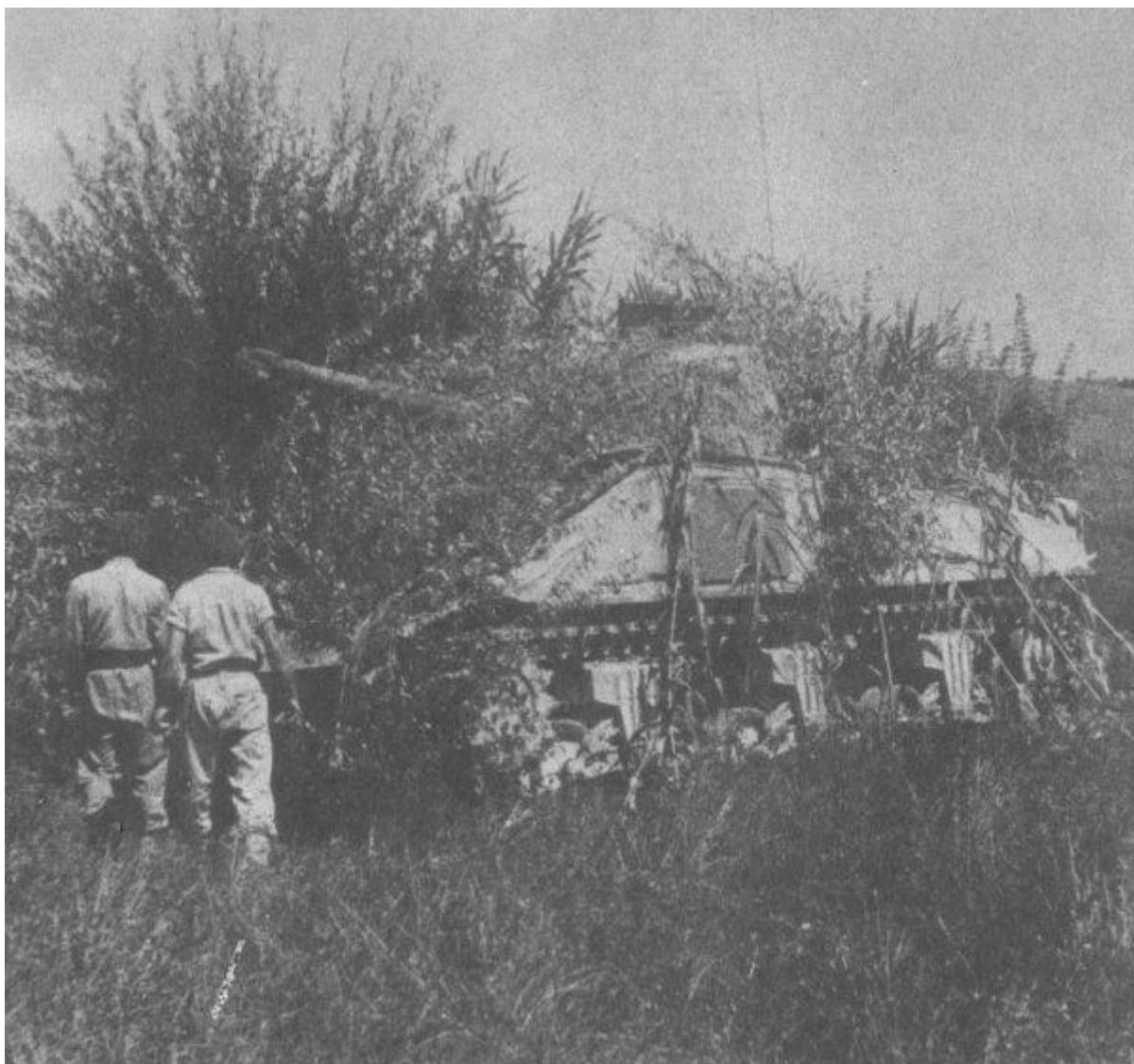
Załoga (od lewej): Kobierzycki, autor, Jodis, Stapiński; na czołgu Rusinek



Dwóch, trzech, pięciu... cała gromada



Dwóch, trzech, pięciu... cała gromada



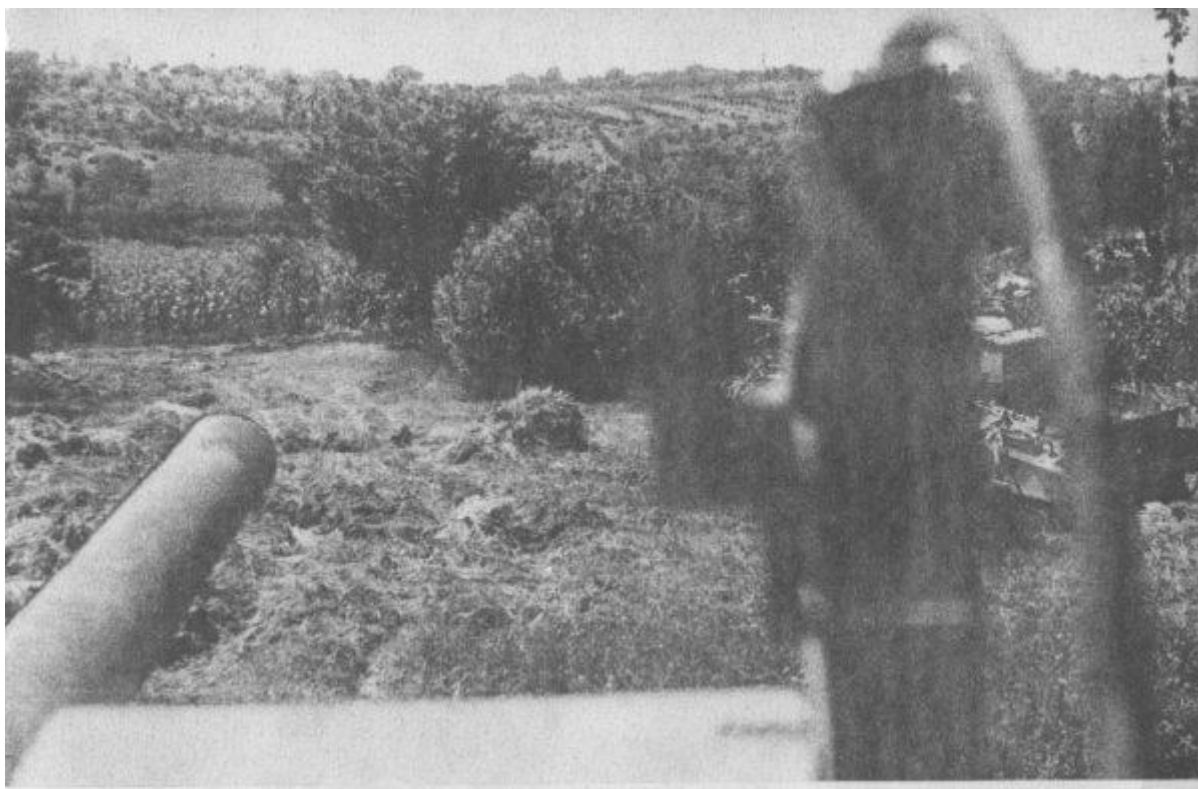
A my... w krzakach



Spóźnienie o parę sekund mogło spowodować katastrofę



Pułkownik Bobiński na punkcie obserwacyjnym pod Chiaravalle



Ostatni czołg szwadronu zakołysał się na zejściu w dół



Czołg Dolka Jadwisiaka po drugiej eksplozji



... Prześwitujące przez kurz nowością farby



Na rany Chrystusa... To Wankiewicz!



Płaska wieża i długa, cienka lufa



Mogiła załogi czołgu Wankiewicza



Osiemnasty... lufa już zupełnie na prawo, idzie ostatni



Wychyliłem się wysoko z czołgu



Wspaniale, Kobierzycki! Z radości kopnąłem go w plecy



Zostanie za nami duch Wankiewicza



Panthera uzbrojona w seventy five ze special long barrel



Dwa razy wychodziłem z nimi alarmem na pustynię



Co? Za te pisklęta czterysta lirów? Od lewej: Obrycki, Kumaraus, koło czołgu Kowalski



Poranki bywają jeszcze chłodne



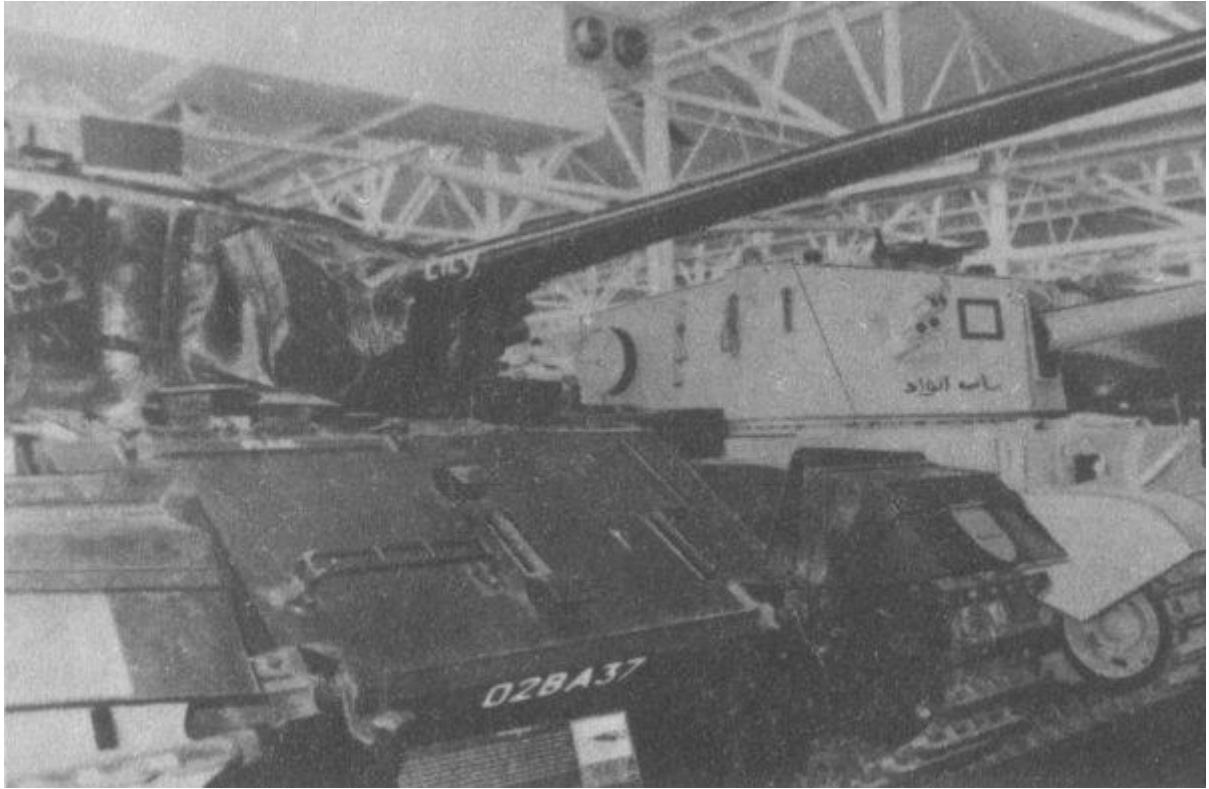
Odwiedziny przy czołgu. Siedzą (od lewej): ppor. Jabłczyński, rtm. Gromadzki, mjr Stryjewski, kpt. Jadwisiak, Hanka Jadwisiakowa i "Kwiatuszek"; leży por. Kmiecik



... idą czołgi!



Linia Gotów



Lily?...

Spis treści

Wprowadzenie	2
TAK WYPADAŁO Z TRADYCJI	7
PRZEBIŁEM.....	11
CZARNY ROK	18
„BARON”	27
LILY.....	33
BY THE BOOK	39
ON VOUS ATTEND POUR LE DINER.....	41
NA DZISIAJ BITWA BYŁA PRZEGRANA.....	54
SERGEANT... YOU NEVER MISS.....	71
METAURO RIVER	82
SOŁDACKIE ŻYCIE.....	103
TĘDY PRZESZŁY CZOŁGI.....	112
JAK DINNER TO TYLKO W „PAPAGALLO”	124
DIABLI WZIĘLI PIOSENKĘ... ..	149
EPILOG	167

Obwolotę projektował BOHDAN TYMIENIECKI

Zdjęcia JAN BIENKIEWICZ, TADEUSZ SZUMAŃSKI BOHDAN TYMIENIECKI

Redaktor HANNA KOŁODZIEJSKA

Redaktor techniczny RENATA WOJCIECHOWSKA

© Copyright by Bohdan Tymieniecki Londyn 1971

ISBN 83-11-07448-8

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1987. Wydanie II uzupełnione

Nakład 30 000+280 egz. Objętość 14,11 ark. wyd., 13,5 ark. druk. (z wkładkami). Papier offsetowy III kl. 70 g, 61X86/16. Oddano do składania w grudniu 1986 r.

Druk ukończono w lipcu 1987 r. Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie. Zam. nr 8519

Cena zł 290.-

K-12

